# ATENEUM

## PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XLVI

ROK XII.

TOM II. — ZESZYT I.



Kwiecień.



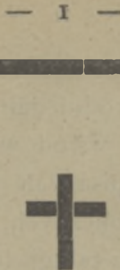

WARSZAWA.
Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

1887.

# SPIS RZECZY.



*Druk ukończono 2 Kwietnia 1887 r.*



# Józef Ignacy Kraszewski

urodzony 28 lipca 1812 roku w Warszawie, zmarły 19 marca 1887 w Genewie.

---

Legł niestrudzony pracownik na niwie literatury ojczystéj pod skombinowanemi ciosami wieku, wysileń ducha, więzienia; cierpień fizycznych i moralnych.

Tak przywykliśmy widzieć go przy niezmożonéj niczém robocie, tak nam żywotność jego umysłu na każdym kroku rzucała się w oczy, że zapominając o liczbie lat jego życia i liczbie lat pracy, na wieść o jego zgonie musiało nas bolesne ogarnąć zdumienie.

Jak to? Ten olbrzym pracy, który przez lat 57 rok rocznie rozrzucał wśród publiczności myśli i uczucia całemi tomami, ten, co tworzył przynajmniéj za dziesięciu, miałby nas osierocić, miałby przestać działać? I któżby go nam zastąpił?...

Istotnie, gdy się zastanawiamy nad zasługami Kraszewskiego dla narodu, na pierwszém miejscu, przed wszystkiemi innemi, widnieje ta, że był dla nas niedoścignionym, potężnym wzorem pracy i wytrwałości. My, którzy tak łatwo zrażamy się trudnościami, tak łatwo popadamy w zobojętnienie i ospalstwo, którzy poczynając rzecz niejednę z nadzwyczajném zajęciem i zapałem, stajemy z założonemi rękami nie wpół ale w ćwierć drogi, z podziwem patrzyć musieliśmy na to niesłychane u nas zjawisko, że ktoś od 18-go roku życia aż do zgonu, potępiany czy wielbiony, ani na chwilę nie ustawał w pracy, ani na chwilę nie rzucił pióra, które mu zastępowało i katedrę publiczną i ławę

sejmową i wszelkie inne środki, jakiemi rozporządzają narody rozwijające się normalnie wśród warunków cywilizacyjnych. Półtysiąca zgórą tomów napisanych w ciągu życia przy innych zajęciach domowych i publicznych, to jest 10 tomów rocznie w przecięciu, wymową cyfr tak głośno świadczą o niezmordowanéj wytrwałości w pracy, że byłoby najzupełniéj zbyteczną rzeczą rozwodzić się nad donioslością tego przykładu społecznego, jaki dał nam autor tego mnóstwa książek. Gdyby każdy poszedł jego torem i w swoim zakresie działania dał dowód takiego nieznużonego dążenia do celu, nie potrzebowaliśmy boleć nad temi stronami naszego bytu narodowego, które są wynikiem lenistwa i niedbalstwa. Wzór Kraszewskiego nazwaliśmy niedościgniony m, gdyż była-to niewątpliwie organizacya wyjątkowa, jakiéj nie tylko w naszéj ale i w obcéj literaturze szukalibyśmy napróżno; w każdym jednak razie wzór ten może i powinien oddziałać dodatnio, wlewając w umysły nasze poczucie możności zapełnienia wytrwałą pracą wielu braków naszego życia. Jesteśmy społeczeństwem, które musi wymagać od członków swoich wysileń natężonych, ażeby mogło dźwignąć się i podążać za narodami lepiéj od natury losów uposażonemi — w wysileniach tych Kraszewski przykładem swym świecił nam jak jasna gwiazda i świecić nadal powinien.

Działalność jego była tak rozległą i tak różnostronną, że w doniosłości swojéj i znaczeniu ledwie ogarnąć się daje umysłem jednostki. Zaczął on pisać w tych czasach, kiedy specyalizacya rozmaitych zawodów naukowych ledwie się u nas tu i owdzie ukazywać zdołała; poczytał więc sobie za obowiązek obywatelski wedle sił gromadzić materyały ze wszystkich działów umiejętności humanistycznych i obrabiać je w sposób przystępny, pociągający, zmuszający do czytania takich nawet, co dotychczas tylko najlżejszą strawę umysłową przyjmować mogli. Z téj dążności do pociągania nas ku wyższemu życiu idealnemu wynikały jego prace historyczne, podróżnicze, archeologiczne, krytyczne, filozoficzne, polityczne. Dla nas dzisiaj takie przerzucanie się z jednéj dziedziny badań do drugiéj jest

już i niemożliwe i niepotrzebne, ponieważ wzrost liczby pracowników specyalnych i rozszerzanie się ustawiczne dziedziny poznania poszły z sobą w parze; ale przed laty 50, kiedy Kraszewski pierwsze swe dzieło naukowe ogłaszał, było-to niepospolitéj wagi rzeczą, iż do prac erudycyjnych wziął się pisarz z wielkim talentem literackim i tę sferę, dotychczas dla uczonych tylko dostępną, szerszéj publiczności otworzył i niejednego do naśladowania lub wogóle do pójścia w tym kierunku pobudził.

A jeżeli w badaniach naukowych uznać winniśmy ten ożywczy, pobudzający wpływ talentu Kraszewskiego, to w pracach twórczych obok niego przemożną siłą ciśnie się do myśli i pod pióro wyraz hołdu i uwielbienia, jako twórcy nowożytnéj powieści polskiéj. Zastał ją w kolebce, doprowadził do wieku dojrzałości. Te cechy, które ją dzisiaj znamionują i stawiają niekiedy narówni z pierwszorzędnemi utworami zagranicy, albo jéj nadał, albo istniejące udoskonalił wielki nasz powieściopisarz. Dokładna obserwacya życia, plastyka w odtwarzaniu postaci, prawda i naturalność w zawiązywaniu i rozprowadzaniu wątku, tło i duch swojski narodowy, wglądnięcie we wszystkie ważne sprawy społeczne, obrona interesów idealnéj natury wobec powszedniości lub zwierzęcości objawów materyalizmu praktycznego, zespolenie się w uczuciach i dążnościach z większością inteligencyi, wchłanianie prądów świeżych i zastosowywanie ich do potrzeb krajowych: oto główniejsze znamiona artystyczne i społeczne tego ogromnego szeregu powieści, któremi Kraszewski, uważając je za przygotowanie do karmi pożywniejszéj, zaspokajał głód umysłowy tysięcy.... Instynktowo, cudownie prawie odgadywał potrzebę danéj chwili i śpieszył z poradą wypowiadaną ciepło, serdecznie i w téj formie popularnéj, zrozumiałéj dla największych tłumów, któréj on sam przeważnie popularność tę swoim sympatycznym sposobem pisania wyrobił.

Bo sympatycznym dla ogółu narodu był on zawsze. Wrażliwa jego natura miała ten wybitny rys, że nigdy długo w je-

dnostronnym kierunku wytrwać nie mogła i zawsze dążyła do zharmonizowania dysonansów; a ponieważ był głęboko narodowym pisarzem, ponieważ wchłaniał w siebie ideały i dążności w danéj chwili wśród narodu przemagające, zharmonizowanie owo wypadało zazwyczaj zgodnie z nastrojem ogólnym. Stąd wynikało, że po pewnéj chwili niechęci doświadczanéj od tego lub owego stronnictwa, w ostatku zawsze znajdował wszechstronne uznanie, zawsze w nim widziano jakby sumienie narodowe, przemawiające słowy prostemi, ale dobytemi z pod serca. Nie zacieśniając swojéj działalności do szczupłych ram jednéj wyłącznéj doktryny i nie hołdując jednemu stronniczemu hasłu, zostawiał sobie zawsze możność skupiania rozróżnionych umysłów pod stałym sztandarem miłości kraju. Każda szlachetna idea, każda dążność z gorącego uczucia płynąca znajdowała w nim wymownego apostoła lub wyznawcę. Tak było z kwestyą wyzwolenia włościan, tak było z równouprawnieniem żydów.

Byli u nas niewątpliwie ludzie od Kraszewskiego gienialniejsi, którzy wywarli na naród wpływ trwalszy i głębszy; ale nie było żadnego, któryby tak długo i tak stale zżył się z potrzebami narodowemi, z jego dolą i niedolą, któryby wziąwszy na siebie obowiązek zadośćczynienia codziennym i powszednim potrzebom narodu, tak się z niego wywiązywał sumiennie i niespracowanie. Sławę wielkiego artysty, którą mógłby łatwo pozyskać przez opracowanie kilku dzieł sztuki, poświęcił dobrowolnie, ażeby za pośrednictwem wzmożonéj twórczości dopomódz rozwojowi oświaty wśród jaknajliczniejszych gron społecznych. To też wiadomość o śmierci tego męża odbiła się bolesném echem wśród warstw wszystkich, do czytania przygotowanych. Odczuły one i zrozumiały wielką stratę narodową. Pamięć pisarza i obywatela szlachetnego, w ich sercach zapisana, odradzać się będzie z pokolenia w pokolenie. Głowa i ręka jego, co tyle wytworzyły, działać przestały, ale duch jego w utworach przechowany żyje i żyć będzie. *Abiit, non obiit.*



# KIERUNKI NASZYCH CZASÓW.

## III. ŚRODKI OBRONY.

W tej walce pomiędzy istniejącym rzeczy porządkiem a socyalizmem rewolucyjnym, jaki zagraża Zachodowi Europy, być może całemu światu, któż może stanowić o losach przyszłych, kto może dać dostateczną siłę oporu przeciw zamachom tak zwanego czwartego stanu.

Szukać materyalnéj siły oporu pośród samych klas bogatych, wszędzie nielicznych — byłoby trudno i zawodnie. Walka skończyłaby się klęską, jaką przepowiedział wieszczy, jasnowidzący Zygmunt. Tę materyalną siłę dać może przeważnie klasa mniéj posiadająca, za to znów liczna, a taką jest klasa włościańska.

Moralna siła oporu społeczeństw leży w mocno rozwiniętém uczuciu narodowości.

Zwalczanie wreszcie doktryn i kierunków krańcowo - socyalnych byłoby nader trudném na drodze zaprzeczenia potrzeby wszelkiéj reformy. Tym doktrynom i kierunkom przeciwstawić należy stopniowe a nieustanne przeobrażanie społeczeństw, tudzież ich prawodawstw w duchu sprawiedliwości i miłości chrześciańskiéj. Zadanie to przypada na udział klasom oświeconym i rządom.

Zatém do wydobycia sił potrzebnych na opór skuteczny zamachom wywrotowym należą trzy warunki.

Pilna i nieustanna praca w kierunku stopniowego zacierania zbyt rażących ekonomicznych przeciwieństw i dysonansów w danem społeczeństwie, czyli stosowanie kierunku społecznego—stanowi warunek pierwszy.

Drugi warunek, to wzmocnienie żywiołu włościańskiego, zdrowego, przywiązanego do ziemi i do istniejącego prawnego rzeczy porządku.

Wzmocnienie poczucia narodowości, normalnego, opartego na miłości do rzeczy swojskich, nie zaś chorobliwego, wyrastającego na nienawiści do obcych — stanowi warunek trzeci.

## 1. **Kierunek społeczny.**

Nie od dzisiaj dążą umysły szlachetne do wyrównania warunków istnienia w społeczeństwach, w celu ułatwienia klasom uboższym starań ich własnych ku poprawie swego losu, a wydobycia z otchlani tych, którzy giną pod naciskiem stosunków ekonomicznych. Dążenia te stały się wyrazistszemi od połowy zeszłego wieku, kiedy pojęcie o ludzkiéj równości opanowało umysły i dokonało nieprzeliczonych przeobrażeń w najrozmaitszych sferach. W zasadzie tych dążeń leży chęć zmniejszenia sumy cierpień w każdém społeczeństwie, drogą stopniowéj reformy. Taki kierunek, który nazwać trzeba właściwie społecznym, stopniowo przekształcającym, jest rozumném przeciwstawieniem względem socyalizmu rewolucyjnego—wywrotowego.

Od połowy naszego wieku rządy świadomie ujęły w swoję rękę te dążenia i postawiły je w pierwszym rzędzie swoich zadań i obowiązków.

Owocem takiego zwrotu jest cały szereg praw, które regulują stosunki robotników z pracodawcami, określają długość dnia roboczego, zapewniają warunki higieniczne robotnikom, nakazują święcenie niedzieli, zabezpieczają los robotników na wypadek choroby i na starość, ustanawiają sądy pośredniczące pomiędzy robotnikami a pracodawcami.

Z drugiéj strony rządy dążą do wykorzenienia lichwy i do większego niż przedtém opodatkowania kapitału za pomocą opłat od ruchu kapitałów i spadków.

Ze swojéj strony społeczeństwa starają się o poprawę stosunków, już to biorąc sobie za podstawę pojęcie samopomocy, już chrześciańskiego braterstwa, już obu tych pojęć razem.

Szczupłość zakresu mojéj pracy nakazuje mi poprzestać na wymienieniu stowarzyszeń robotniczych współdzielczych i spożywczych, kas zaliczkowych Schulze-Delitzscha i Reiffeisena (tu należą kasy rzemieślniczo-pożyczkowe warszawskie), zakładania domków robotniczych, kas ubezpieczenia, prac podjętych ku odbudowaniu na nowych podstawach cechów rzemieślniczych i zaprowadzeniu syndykatów robotniczych. Wspomnę wreszcie o związkach chrześciańsko-społecznych: protestanckim i katolickim, z których ostatni wybornie jest prowadzony.

Kierunek chrześciańsko-społeczny wychodzi z pojęcia, że zimny egoizm, leżący u podstaw szkoły menczesterskiéj, która wyrobiła jednostronnie doktryny Smitha, jest wprost przeciwny braterskiemu duchowi chrystyanizmu i tradycyom pierwszych wieków chrześciaństwa. Należy powrócić do tych tradycyi, a zaufanie klas zarobkujących powróci samo z siebie. Należy też wciągnąć w ruch wszelkie koła, którym zagraża wywrot, zakładać przy ich udziale stowarzyszenia, banki, kasy rzemieślnicze i robotnicze, a przedewszystkiém stawiać przed oczy zarobkującym ideał możliwy do osiągnięcia, który będzie najlepszém lekarstwem na złudzenia.

Wytrwała praca, doskonałe, a najczystszym duchem chrześciaństwa natchnione kierownictwo, sprawiły, że w prowincyach Nadreńskich, odznaczających się gęstością zaludnienia i rozrostem przemysłu, związki socyalno-wywrotowe, według niepodejrzanego świadectwa Rudolfa Meyera, nie mogą już walczyć przeciw związkom socyalno-katolickim, do których zaciągnęło się mnóstwo robotników, i na wyborach do niemieckiego sejmu, przy głosowaniu powszechném, kandydat partyi społeczno-katolickiéj bierze górę. Laveleye w swojém dziele o socyalizmie podnosi również znaczenie i zasługi związków katolicko społecznych.

Dążenie społecznéj naprawy z dorobkami swemi stanowi broń potężną przeciwko socyalizmowi wywrotowemu. Może być jednak ono prostém poparciem wywrotu, jeżeli pobudza pożądliwość, lub też ją drogami niesprawiedliwości zaspokoić pragnie.

Do najnowszych dziwolągów społecznych, wywołanych przez krytykę istniejących porządków, należy antysemityzm, zastanawiający tą stroną, że jest zarówno walką narodową, jak socyalno-wywrotową, a więc łączy w sobie dwa najprzeciwniejsze pierwiastki.

---

Antysemityzm jest jedną z tych niewielu kwestyi, których rozwiązanie wielce od nas zależy, z tego powodu poświęcę mu nieco obszerniejsze miejsce.

Jeżeli potrafiłem przekonać, że uczucie narodowości jest oparte na świadomości spójni, wynikającéj z szeregu jednorodnych popędów i dążeń wśród licznego zbiorowiska ludzi, związanych wspólną tradycyą, a daléj, że to uczucie wspólności wyrabia się przez rodzinę, szkołę, powagę i opinię, to łatwo będzie mi dowieść, że Żydzi jakkolwiek nie posiadają własnéj dziedzicznéj siedziby, niewątpliwie jednak stanowią narodowość. Uczucie rodzinne mocne, szkoła wyłącznie oddana studyom odrębnego religijnego kultu i przeszłości, uszanowanie powagi, przechodzące zwyczajną u innych narodów

miarę i wreszcie nieprzeparta potęga opinii publicznéj, posuwająca się aż do czynnego prześladowania każdego odstępcy, oto są pierwiastki wyrabiające u Żydów jednorodne popędy i wspólność tradycyi. Zawartość tejże jest pełna doniosłości i znaczenia, a rola—jaką zajęli Żydzi w dziejach ludzkości — pierwszorzędna. Jeżeli jako naród nie posiadają swojéj siedziby, témbardziéj za to kochają swoję idealną ojczyznę, na wspólności interesu materyalnego i moralnego polegającą. Jest to narodowość, któréj brak jednego potężnego czynnika, ale któréj czynniki pozostałe spotęgowane są bardzo.

Z drugiéj strony od najdawniejszych czasów Żydzi budowali swoję spójnię nie tyle na miłości do swoich, ile na bezwzględnéj odrębności względem obcych. Organiczna ta wada żydowskiéj narodowéj indywidualności jest jéj słabością i siłą: słabością, gdyż Żydzi mają zawsze przeciw sobie wszystkie narody, siłą, gdyż przeciw obcym działają z jednością spólników firmowych.

Kiedy w obecne czasy nawet dla powierzchownych badaczy stało się jasném, że społeczeństwo ludzkie, zamiast wszelkich dawnych ekonomicznych i towarzyskich stopniowań, zaczyna rozpadać się stanowczo na dwie tylko kategorye: wielkich kapitalistów i proletaryat, a pośrednim klasom właścicieli grozi zniknięcie, to zdwojona uwaga zwróciła się na wielkich kapitalistów, jako tę potęgę, któréj siła i żywotność wielce stanowi o przyszłych losach walki.

Wrodzone rasie żydowskiéj, a raczéj odwieczną cywilizacyą nabyte zalety, wady i właściwości, jako to: wytrawność, oszczędność, wytrwałość, przebiegłość i brak w ciemniejszéj masie żydowstwa wszelkich w stosunkach z obcemi skrupułów, sprawiły, że na całym świecie żaden naród nie posiada odpowiednio do swojéj liczby tylu wielkich kapitalistów, co żydzi.

Niedość na tém,— niezmierny rozwój produkcyi i obrotów handlowych XIX wieku i wzmożone potrzeby państwowe wywołały we wszystkich krajach nader silną potrzebę kredytu, wskutek czego gotowy pieniądz, jako najlepszy materyał do zysku, jako prawdziwy reprezentant ekonomicznéj niezależności, jako wartość wszechwymienna, stał się nieporównanie pożądańszym od wszelkiéj innéj wartości. Żydzi, wskutek swoich losów historycznych mając mało popędu do nabywania ziemi, do produkcyi w znaczeniu właściwém, a zakładając swój interes głównie na zdobyciu bogactwa, doszli do tego, że są faktycznie w posiadaniu wielkiéj części papierów państwowych, na procent od których w pocie czoła pracują wszyscy. Wskutek zbiegu tych okoliczności, Żydzi są w ekonomicznem znaczeniu, co się zowie panami, więc ulegają palącéj zawiści tych wszystkich, którzy dążą do niezależności, a zdobyć jéj nie mogą,

i w zażartym antagonizmie ekonomicznym czasów obecnych, zachodzącym pomiędzy kapitałem a pracą, jaskrawo wysunęli się na widownię.

Wyjątkowe stanowisko Żydów w społeczeństwie europejskiém, gdy są panami bez własnéj narodowéj siedziby, sprawia, że mają przeciwko sobie tak dobrze skrajnych narodowców, jak i socyalistów. Ci i tamci, na innych punktach niezgodni, w tém jedném, z odmiennych pobudek, wspólnego w nich widzą nieprzyjaciela.

Antysemici, w tém są podobni do socyalistów, że nie mają przed sobą jasno wykreślonego celu, to pewna jednak, że zaspokoić by ich mogło jedynie wyrzucenie Żydów ze społeczeństwa, od chwili, jak przeszło w ogólne ich przekonanie, że przyjęcie przez Żydów chrześciaństwa w niczém położenia nie zmienia. Że socyaliści wrogiego swego względem Żydów stanowiska nie porzucą, rzecz to widoczna i niezawodna, skoro do tego musieliby wyrzéc się swoich zasad. Narodowcy zmieniliby stanowczo usposobienie, gdyby Żydzi przyjęli, uszanowali i ukochali tradycyą téj ziemi, którą, zamieszkują, możliwości czego już niejedna z żydowskich jednostek, i to najszlachetniejszych, dała dobitne dowody. Przywiązanie lub wstręt do danéj tradycyi stanowią bowiem wprost o przyjęciu lub nieprzyjęciu danéj narodowości.

Ze stanowiska narodowego, antysemityzm jest zjawiskiem chorobliwém, gdyż działa najzupełniéj w duchu socyalizmu wywrotowego. Beznamiętne dążenie ku temu, aby Żydzi przyjęli swojską tradycyą zupełnie jest usprawiedliwione. Gwałtownie tego się domagać nie mamy prawa, bo kto szanuje własną narodowość, nie powinien od nikogo żądać, aby porzucił swoję. Co innego jest tępić wady i usterki, gdzie się napotkają, a co innego ryczałtowo prześladować cały naród za to, że te wady napotykają się w nim często, i w jedném potępieniu łączyć tych, którzy zawinili, z tymi, których wina jest żadną. Jeżeli więc pożądaném jest to tylko, aby Żydzi stopniowo byli wchłaniani przez swojskie społeczeństwo, to pamiętać należy, że na téj drodze antysemityzm stanowi nieprzełamaną zaporę.

Wszelka silniejsza akcya wzbudza reakcyą, a reakcya w kierunku narodowym, to nietylko wzmocnienie spójni między swemi, ale też ściślejsze zamknięcie się społeczności przed wpływami obcemi zewnętrznemi. Przypuśćmy nawet, że przyswojenie Żydów jest nader trudne i długiego wymaga czasu, to i wtedy jeszcze, któżby przekładał niezawodny pierwiastek słabości wynikający z wrogiego stanowiska Żydów, które przez antysemityzm jest wzmacniane i może doprowadzić do rezultatów zgoła nieoczekiwanych, nad możliwy element siły w razie ich przyswojenia, które niepodobném nie jest,

jeżeli względem nich rządzić się będziemy bezstronną sprawiedliwością. Z drugiéj strony od postępowania Żydów, od ich uszanowania dla swojskiéj tradycyi, od starannego unikania przez nich wszelkich powodów zadraźnienia, zależy możność utrzymania bezstronnéj sprawiedliwości w otaczającym ich narodzie.

## 2. Kierunek agrarny.

Kto wzmacnia pierwiastek własności ziemskiéj ten w każdym czasie i na każdém miejscu wzmacnia uczucie narodowe. Najmniejsza ruchliwość téj klasy narodu, związanie jéj materyalne z najstalszym elementem tradycyi—ziemią, sama konieczność pracy z pokolenia w pokolenie w jednakowym kierunku, przywiązanie do tych kątów ukochanych, gdzie zasiadali jeszcze ojcowie, gdzie nas błogosławili na drogę żywota, wszystkie te czynniki materyalne i moralne składają się na to, aby zawsze i wszędzie w pierwszym rzędzie obrońców narodowości stawali ziemianie.

Motywa te są tak widoczne i tak silne, że one to raczéj niż wszelkie pobudki ekonomiczne wyprowadziły na świat nowotwór: kierunek ekonomiczno-agrarny.

W obecném położeniu własności ziemskiéj przy istniejącym w Europie podziale ziemi pożądaném jest należyte ustosunkowanie własności wielkiéj, średniéj i małéj do ogólnéj powierzchni urodzajnéj kraju a więc utrzymanie większéj własności, gdyż bez niéj właścicielowi małéj osady utrudnionym byłby postęp tak w gospodarstwie rolném jak i w dobrobycie wskutek usunięcia dodatkowego zarobkowania.

Co większa, w zdrowo pojętym interesie społecznym koniecznêm jest zachowanie klas pośredniéj zamożności. Skoro oprócz ludzi ubogich znajdują się sami bogacze, to rozdarcie społeczne jest nieuleczalne i nieuchronne.

Gdy jednak dla wielkiéj własności wymyślono dotąd tylko cła ochronne zbożowe, będące środkiem dla klasy ubogiéj uciążliwym, a więc antyspołecznym,—gdy większe związanie ziemi z rodziną, osłabienie chorobliwego uruchomienia, w jakie popadła ziemia, i środki przeciwko jéj podziałowi w drodze dziedziczenia są dopiero w stadyum odległych projektów, zwrócę więc tu uwagę na to, co uczyniono, lub podjęto dla własności włościańskiéj.

W nowszych czasach, cztery spotykamy poważne zjawiska wykazujące świadomą dążność społeczną ku wzmocnieniu włościańskiego stanu i ugruntowaniu tegoż na zdrowych podstawach.

Wyzwolenie włościan Europy zachodniéj z więzów feudalnych i nadanie im na własność ziemi, którą posiadali na warunkach odrobku, lub czynszu, stu lat nie sięga. Téj epoki dość było, aby mała własność popadła w najstraszniejsze długi, i przyszła do rozdrobnienia na karłowate działki niezdolne do wyżywienia posiadacza. Nasamprzód dołożyła się do tego nieoględność samych włościan, łatwo zrozumiała w klasie, która niedość jasno pojęła, że obok uzyskanych praw, zaciążyły na niéj nowe obowiązki, następnie poskutkowało prawo nieograniczonéj podzielności przy spadkobraniu, czego następstwa jasno i dosadnie wykazał dr. Milewski w początkowych zeszytach Niwy z r. b., wreszcie wywarł też wpływ niemały europejski system podatkowy, po macoszemu traktujący ziemię. Według świadectwa Schorlemer-Alsta, kiedy wartość w kapitale ruchomym obciążona jest w Niemczech trzema procentami podatku, to opodatkowanie téj saméj wartości w ziemi wynosi dziewięć procent. W rezultacie niepodobna przeoczyć ruiny grożącéj włościańskiemu stanowi z rąk nielitościwych lichwiarzy, polujących z trutką na prostoduszne ryby.

Zaszczyt należy się Ameryce, że pierwsza zrozumiała nieobliczone następstwa zubożenia stanu włościańskiego dla młodzieńczéj swojéj narodowości, dla równowagi społecznéj, dla uspołecznienia, i śmiałą ręką zaprowadziła nieobdłużalność osady włościańskiéj z koniecznym przy niéj inwentarzem, w moc czego wierzycielowi z góry wiadomo, że remitentem jego, materyą kredytową nie będzie nigdy prawem określony obszar gruntów dłużnika. Nikt nie jest oszukany, a włościanina wyparować z gruntu niepodobna, i to jest w krótkich rysach „homestead-exemption“, prawo bezpieczeństwa zagrody. Niszczy takie urządzenie kredyt, na nieruchomości oparty, ale ułatwia i czyni tańszym kredyt osobisty, a więc nikt nie ma prawa do skargi.

Stara Europa, zarażona ślepém ubóstwieniem kredytu, nie uczyniła w tym kierunku jeszcze ani kroku, chociaż wié dobrze, iż stan włościański, bezpieczny, nikomu nie zazdroszczący, po niczyje dobro rozkiełznaną nie sięgający ręką, a prostém sercem miłujący rodzinną zagrodę, jest najgłówniejszym warunkiem równowagi społecznéj. I tak w Niemczech „prawodawstwo pracuje nad uruchomieniem własności ziemskiéj, nowe prawo hipoteczne zamienia własność ziemską na rodzaj monety papierowéj, przez co można ją alienować cząstkowo, w biletach np. 100 lub 150 talarowych, co wywołało u starego Waldecka wyrażenie, iż zdaje się, jak gdyby własność ziemska istniała jeszcze po to tylko, aby ją można było subhastować“ (1).

---

(1) R. Meyer. Emancipationskampf des vierten Standes, I. 350 (2-gie wyd.).

W innym, bardzo zbawiennym kierunku poszły Prusy. Pod wpływem Hannoweru (po jego przyłączeniu) zaprowadzają po swoich północnych prowincyach „Anerbenrecht“, prawo faworyzowania spadkobiercy, włościanom udzielone. Wiekami doświadczenia wypróbowane w północnych Niemczech, prawo to łagodzi skutki zabójczego dla włościan rzymskiego prawa spadkowego. Wyznaczony spadkobierca odbiera większą część spadku, a głównie: w całości otrzymuje osadę. Spłaca współsukcesorów w rozsądnych terminach, podług oszacowania dochodowéj, nie zaś sprzedażnéj wartości ziemi, i przy oszczędności, a głównie przez roztropne małżeństwo ma możność władać osadą bez długów. Współspadkobiercy, zamiast oglądać się na marny szmat ziemi, któryby przypadł im w podziale, od dzieciństwa gotują się do innych zawodów. Prawda, że zaprowadzane prawo jest połowiczne, gdyż wolno włościaninowi nie korzystać z możności ustanowienia dziedzica—w każdym razie znamionuje ono jednak społeczny postęp i zrozumienie jego potrzeby.

Też same Prusy nie skąpią pieniędzy w celu doprowadzenia gruntów włościańskich do zwarcia (kommassacyi), gdyż trafnie uważają, że rozbicie osady włościańskiéj, nawet niemałéj, na kilka lub kilkanaście drobniuchnych działek, zabija dochód włościanina.

Wreszcie na Węgrzech kilku magnatów, poważnie traktujących ciążące na nich wielkie obowiązki społeczne, tak ściśle związane z przysługującemi im prawami, dąży do przeprowadzenia prawa o uwolnieniu gruntów włościańskich od długów, za pomocą skupu przez państwo ciążących na włościanach wierzytelności prywatnych i zastąpienia onych pożyczką państwową, słabo oprocentowaną, umarzalną, sięgającą niemal do całéj wartości osady. Wierzyciele prywatni, niespłaceni pożyczką państwową, muszą czekać cierpliwie, dopóki stopniowe umorzenie pożyczki rządowéj nie uwolni dla nich korzystnego miejsca hipotecznego, a tymczasem zabierać mają z dochodu resztę pozostałą od utrzymania włościanina z rodziną, po zapłaceniu raty pożyczkowéj. Położenie tych wierzycieli nie pogarsza się lecz znacznie poprawia przy takiém urządzeniu. Inaczéj, wystawiając osadę na sprzedaż, spadliby z hipoteki i nigdy nie doszliby do swego.

Urządzenie, mające na celu oczyszczenie własności włościańskiéj od długów, za pomocą stopniowego ściągania należności z dochodów rocznych, przez osadę włościańską przynoszonych, bez rugowania włościan z gruntu, już przedtém przyjęli Anglicy — kapitalistyczni Anglicy w Indyach.

Bez błędu i przesady rzec można, że wytknąwszy sobie stały kierunek, aby starannie uszanować narodowe uczucia Hindusów

i emancypować ich ekonomicznie, Anglicy nie skąpią w tym celu najpracowitszych badań i dążą wytrwale do wytępienia chorób ekonomicznych, które gniotły nieprzeliczone miliony nędzarzy na bogatym półwyspie wschodu. Myśleli oni przytém o sobie, i tylko o sobie, lecz dają dobry, nauczający przykład ludzkości, a przedewszystkiém samym sobie w stosunkach irlandzkich.

### 3. Kierunek nietolerancyi narodowéj.

Jeden z najjednostronniejszych ale téż najgenialniejszych Anglików, Carlyle, w swojéj historyi Fryderyka, wielkiego króla narodu, którego cały geniusz uosabiał, dowodzi, że dzieje każdéj epoki to dzieje człowieka górującego zdolnością i siłą, nadającego ton ludzkości. Dziś, kiedy koncert europejski porusza światem, sprawdza się paradoks Carlyle'a: bo jest ten, co trzyma i mocno dzierży batutę. Żelazny mąż swoją daleko sięgającą myślą dobrze to objął, że bez rozbudzenia, bez zaostrzenia uczucia narodowego, nie podołają żadne siły w walce z socyalizmem wywrotowym. Środek, jakiego używał ku temu i używa coraz silniéj, jest odpowiedni duchowi narodu, którego jest pionierem. Jest nim nietylko rozgrzanie miłości do swojéj, lecz rozbudzenie nienawiści i pogardy do obcych narodowości. Czytając te krótkie, urywane jego zdania, tak żywo przypominające *Tischreden* Lutra, słyszy się świst bicza, którym smaga zawstydzonych Niemców, nie za to, że nie umieją dość kochać swoich, ale że nie potrafią dość nienawidzićć obcych, dość niemi pogardzać.

Rzeczywiście, logicznie rzeczy biorąc, łatwiéj jest rozbudzić chorobliwe niż zdrowe uczucie narodowości, a przytém posługuje ten rodzaj uczucia i celom polityki, jak wewnętrznéj tak i zewnętrznéj. Pierwszéj dla tego, że wielkie rozdrobnienie ojczyzny niemieckiéj przed zwarciem jéj w cesarstwo, wytworzyło mnóstwo drobniuchnych tradycyi, zwanych urzędownie partykularnemi, z których wiele pozbawionych jest poważnéj przeszłości historycznéj a wszystkie rwą się do odrębności. Zjednoczyć Niemców w naród jest warunkiem niezależnéj ich na przyszłość egzystencyi, tymczasem dokonać tego dzieła na gruncie tradycyi cesarstwa rzymskiego, na legendzie o Barbarossie, dobre to było w pomyśle romantyków — za mdłe jest dla praktycznego męża stanu. Cementować znów Niemców pod wezwaniem młodego cesarstwa, to nie stworzy tradycyi, nie zaprowadzi spójni i będzie formą nie treścią. Czas ubiega — mur świeży trzeba wiązać koniecznie. Otóż i jest ta spójnia, tym cementem będzie nienawiść do sąsiadów z zachodu i wschodu, nienawiść odwieczna, zabar-

wiona tysiącem pseudo-logicznych eksplikacyi, którą trzeba tylko podraźnić, a odrodzi się jak czarny feniks z popiołów.

W zewnętrznéj polityce, na czasy, w których cisną się do rozwiązania olbrzymie zagadnienia ustroju społecznego, przypadło téż ogólne przeświadczenie, nieomal pewność, że wisi nad Europą ostateczna walka narodów. Dla Niemców, potężnych organizacyą, ale z dwóch stron silnie zagrożonych przez ościenne państwa, ekscytacya w kierunku politycznym może być potrzebną, inaczéj mogliby zwrócić całą uwagę i wszystkie dążenia ku celom ekonomicznym. Dla wzbudzenia ekscytacyi już nie dość podniecać nienawiść do obcych, trzeba podnieść czynne prześladowanie przeciwko słabym narodowościom, aby w silniejszéj utrzymać ogień i energią. Wyrządzona krzywda pobudza w nas nienawiść do skrzywdzonego najgorętszą, a tu idzie właśnie o wywołanie silnéj namiętności.

Dokładają się jeszcze do powodów prześladowania względy terytoryalno-strategiczne, rzekoma potrzeba usunięcia nieprzyjaznego pierwiastku z pobliża stolicy, chęć przeprowadzenia prób w kierunku socyalnym, z osiedleniem włościan na gruntach nabytych przez państwo, obok ułatwienia im nabycia tych gruntów za samę rentę i wreszcie chęć pobudzenia do naśladownictwa, którego skutkiem niezawodnym byłoby zaostrzenie wewnętrznych sporów i osłabienie przez to państw postronnych, u których stosunek liczebny narodowości panującéj do innych, nie jest tak korzystny jak w Niemczech.

Dla męża prowadzącego stale w równéj linii dwie kwestye: polityczną i socyalną, męża, który nie ukrywa się z nieograniczoném lekceważeniem i pogardą dla obcych, wytępienie słabych narodowości stawia się jako zwykłe zadanie rachunkowe, jako proste posunięcie wozem Jaggernauta na szachownicy świata. Jednakże sprężystość czynników społecznych jest bardzo różna od rozprężliwości batalionów i bateryi, i dlatego nader często dwa razy dwa rachunkowe wydaje trzy lub pięć społeczne.

*Józef Jeziorański.*





# Z MOICH STRON.

## OBRAZEK.

Maksym znał podobno całą okolicę, pamiętał nazwy wszelkich zarośli, błot, polanek i gajów, w lasach przeżył wiek cały, a na błotach, na trzęsawiskach był jak w domu! W młodości jakoby wyżła zastępował znakomicie, gdyż węch i słuch miał niezrównany, a jak zaczął wyć i szczekać, psy w wiosce odpowiadały mu właściwém narzeczem! Człek taki to prawdziwy skarb dla kiepskich myśliwych, którym lada wyżeł imponuje, włócząc za sobą po pustych błotach! Kiedy go pierwszy raz ujrzałem, ani mi się śniło, że mam przed sobą najznakomitszego etnografa w całéj okolicy: wyglądał jak każdy chłop: średniego wzrostu, chudy, zczerniały, w bronzowéj sukmanie i w łapciach, stał przy drzwiach pokornie, a chociaż przysunąłem mu krzesło, przestąpił z nogi na nogę, ale nie usiadł. Sprawę miał z sąsiadem o łąkę i pola kawał, a dowiedziawszy się, że jestem adwokatem i parę tygodni tylko mam na wsi przepędzić, przyszedł prosić o radę i pomoc. Rzecz całą opowiedział z niezwykłą u chłopów treściwością, jasno, niemal poprawnie, na początku zaznaczył w przyzwoitéj formie, że „za fatygę“ nagrodzi, a chce tylko, żeby sprawę przyśpieszyć, jeśli można. Znał się widocznie na interesach, wiedział jak do adwokatów przemawiać należy! W głuszy, oddzielonéj od świata dziesiątkami mil najgorszéj drogi, wśród lasów, błót moczarów, poprawna mowa, znajomość form prawniczych u łapciowego chłopa—zdziwiły mię trochę. Słuchałem z uwagą, a w końcu, tak niby dla dobra sprawy spytałem o rodowód: był strzelcem we dworze za młodu, tj. psy karmił i chodził na polowanie, pod starość został leśnikiem:

— Więc znacie miejscowość dokładnie,—spytałem, zamierzając skorzystać z jego wiadomości.

— Znam, panie, to co jest, i to czego nie ma!

Blagował; teraz już nie wątpiłem, że był dworakiem. On jakby myśl moję odgadł:

— Nie ma już, panie, dawniejszych borów, i błota lepsze osuszyli; ale zwierzyna jest jeszcze, chwała Bogu; tylko że teraz strzelcy marne, żaden uczciwie strzelać nie umié, chcieliby zajęcy za ogon łapać!..

Do mnie przepił! cały już tydzień włóczyłem się po błotach i dotąd nawet kurki nie zabiłem!

— W tym roku ptastwa nie ma, powiadają.

Uśmiechał się pogardliwie.

— A gdzież ma być? Każdego roku przylatuje, tylko nie zawsze na te same miejsca. Na czortowym ługu aż szumi od ptaków.

Nic tak nie zbliża ludzi jak jednostajne upodobanie! Maksym, mówiąc o polowaniu, wyprostował się, poweselał, uśmiechał się i mrugał oczami na przemian, parę razy nawet przełknął ślinę: widocznie żył w nim dziki duch puszczy, ten sam który i we mnie pokutował, tłumiony kilkunastoletniemi studyami, mozolną pracą, wreszcie wszelkiemi narowami mieszczucha! Dziesięć lat pracy w jednym zawodzie nie zbliżyłoby nas tak szczerze, jak te kilka słów zamienionych o ulubionym przedmiocie. Widziałem już w Maksymie kolegę, towarzysza, przyjaciela nawet, który nietylko że nie podstawi mi stołka na polowaniu, nie zagarnie dla siebie każdéj lepszéj gratki, nie oczerni mnie przed zwierzętami jako niedołęgę, na którego mogą śmiało biedz, gdyż prawie strzelać nie umié, ale owszem, chociaż by dla swojéj własnéj przyjemności zaprowadzi mię tam, gdzie jak najwięcéj zdobyczy znaleść można, a oddany z zapałem wspólnéj idei, pozwoli mi pudłować ile zechcę! Rozgadaliśmy się na dobre. Ten czortowy ług miał być rezydencyą wszelkich możebnych ptaków! Maksym onegdaj jeszcze idąc wzdłuż olszyny, spłoszył całe stado dubeltów: Starek ze cztery, albo i z pięć może, a młodych to i nie przeliczyć! Same na człeka lecą! Nie zastrzelił żadnéj, bo fuzya rozczepiła mu się jeszcze zeszłéj zimy, a chociaż związał ją akuratnie, kiepsko niesie i strzelać z niéj nie warto. Pokazałem mu swoją lepażówkę: ujął ostrożnie jak pajęczynę, obejrzał w milczeniu—oddając napowrót, westchnął.

— To fuzya, panie! rzekł głosem pełnym uszanowania. Spoglądał na mnie uważnie. Z twarzy jego czytałem, że teraz dopiero uznał moję wyższość. Obiecałem, że jeśli zechce towarzyszyć mi na czortowy ług, dam fuzyą gorszą wprawdzie od téj, ale nierozszczepioną. Milczał, podejrzewałem, że nie dowierza.

— Pójść można,—odrzekł w końcu, tylko żeby dzień jasny wybrać, bo tam w pochmurny czas za mgłą świata bożego niewidać. Najlepiéj w sobotę, w dzień Matki Bożéj każdy ptak choć raz jeden do nieba podlata, a wtedy z przeproszeniem pańskiém i dziecię zastrzelić potrafi!

Udałem, że nie rozumiem; umówiliśmy się na przyszłą sobotę; gdy wychodził, wręczyłem mu starą fuzyę, żeby sobie wyprobował zawczasu.

Aż do soboty wałęsałem się codzień po okolicy z innym towarzyszem, który więcéj jeszcze niż ja udawał zapaleńca a strzelał daleko gorzéj! Czekałem soboty; w czwartek pomimo ciągłego niepowodzenia wyszliśmy raz jeszcze probować szczęścia. Deszcz lał od świtu, w taką pogodę psy tylko i myśliwi włóczyć się zwykli. Cały dzień ciągaliśmy się po oczeretach, po olszniakach, przeskakując z kępy na kępę albo brnąc w błocie po kolana. Obmokle psy wlokły się coraz wolniéj: zanim który w zarośla ruszył, stawał i kręcąc zwolna ogonem, spoglądał po za siebie: zły znak, widocznie ganiać nie mieli czego, a proste błoto nie zachęcało do bezcelowéj przechadzki. Okolica jednak słynęła z dzikiego ptastwa: rozległa równina, na skraju dokoła czarnym lasem objęta, wyglądała jak dno jeziora wyschłego przed niedawnemi czasy; kępy mchem porosłe, a wśród nich błota, na których tatarak stał niby wał zielony, falujący przy najlżejszym powiewie, ludzi ani śladu! gdzieś tam podobne do kopy siana rysowały się na horyzoncie wiejskie chałupy zasłonięte tu i owdzie pagórkiem, albo krzakami olszyny. Po za mgłą, co jak szary obłok unosiła się nad błotami, krzak, drzewko każde przyjmowało dziwaczne kształty; w okolicy téj łatwiéj było uwierzyć w dyabła niż w bekasy i dubelty, świerczało coś, szeleściało w zaroślu, chyba Maksym jeden potrafiłby te głosy i ruchy rozeznać.—Chodziliśmy tedy prawie bez celu.

— Nudno, aż wyć chce się!—mruknął mój towarzysz, mieszczuch z powołania, rządca wielkich dóbr z dopuszczenia bożego. Pogardzał łapciami, a w płóciennych spodniach i chłopskiéj kurtce nie pokazałby się nawet wronom; brnął tedy po błocie w botfortach i co wieczór niemal wraz z własną skórą musiał zdzierać z siebie przemokłe do nitki ubranie; dżokejką, niebieskim krawatem skokietowałby może niejedną czaplę, gdyby się przypadkiem trafiła, tymczasem oglądały się za nim podkasane baby, okryte białą płachtą i dźwigające wiązki chrustu na plecach, albo chłop zerknął zpod oka. Elegantowi temu zawdzięczam noc przespaną w osobliwym dworze. Zmoknięci wracaliśmy, jak zwykle, z próżnemi torbami. Żakiewicz pojmał w półmartwą kurkę, i wetknąwszy ją łapkami w butonierkę

obciążony zdobyczą, wlókł się z trudnością w przemokłych botfortach. Do domu mieliśmy chłopską milę, zaczynało ciemnieć; deszcz ustał wprawdzie, ale gęste chmury groziły nowym potopem, psy plątały się przy nogach, ocierając co chwila zmokłe łby o naszą odzież. Pierwszy raz w życiu byłem akuratnie zmęczony. Żakiewicz milczał, czułem jednak każde poruszenie jego zbolałych kości, miał na sobie kratkowany garnitur malarza - turysty, popielatą czapeczkę i krawatkę jakiegoś modnego koloru; wszystko wyglądało jak zabłocona ścierka.

— Cobyś dał za ciepłą izbę i szklankę herbaty?—zapytałem.

Poruszył ramionami obojętnie: lubił udawać bohatera. Szliśmy brzegiem Niemna; rzeka płynęła w głębokim wąwozie, poszarpane brzegi bielały wśród zmroku. Na zakręcie, gdzie nie jeden artysta skamieniałby na widok dzikiéj panoramy różnorodnych drzew, porastających fantastyczne urwiska, Żakiewicz wskazał ręką niedbale:

— Ot tam ciepła izba i szklanka herbaty!—przemówił ochrypłym głosem.

Na szarém niebie rysowały się wierzchołki włoskich topoli; w masie drzew widniały białe ściany budynku, willi, pałacu, czy gorzelni—zdaleka rozpoznać nie mogłem.

— Przenocujem w tym dworze, daléj iść trudno,—rzekł przygnębiony towarzysz.

— Na folwarku u ekonoma, czy w karczmie?

— Eh, może i w pałacu przyjmą.

— Więc to pustka?

— Mieszka właściciel, człek bogaty i ma dwie córki na wydaniu.

— I my tak... bez fraków!

— U nas po wiejsku, bez ceremonii!

Zaszedł z tyłu, jak gdyby się lękał mojéj dezercyi. Z topolowéj szerokiéj ulicy mogłem się rezydencyi przypatrzyć dokładnie. Murowany niewielki domek o płaskim dachu z gankiem wspartym na kilku zgrabnych kolumnach, z dużemi oknami i całym szeregiem odwiecznych lip po obu stronach, należał do rzadkich w naszym kraju okazów smaku i dostatku, murowana stajnia i oficyna stały opodal naprzeciw siebie, reszta gospodarskich budynków kryła się gdzieś daléj za drzewami. Wywalone wrota, kilka spętanych koni, skaczących po dziedzińcu dokoła nieogrodzonego klombu bzów, akacyi i innych wspaniale rozrosłych krzewów, walające się żerdzie, cegły, kołki i deski, nadawały całemu otoczeniu pozór zaniedbania, cisza przypominała zaklęte zamki, drzewa tylko szumiały głucho, a z białych kominów na dachu nie unosiło się ani jedno pasmo dymu.

— Pewno żyd arendarz mieszka?—zapytałem wielce rozczarowany.

— Mówiłem przecie, że bogaty dziedzic z córkami!—odrzekł, wchodząc po kamiennych stopniach na ganek.

— To może chociaż psy zabłocone na dworze zostawim?

— Pójdą z nami! kiedy ja mam odwagę przedstawić się tak jak jestem, cóż ty się o psy boisz?

Stałem na tylnym planie; w każdéj chwili gotów do odwrotu, podczas gdy mój towarzysz z poufałością gospodarza domu do drzwi łomotał. W żadném oknie nie było światła. Piękne nimfy marzyły zapewne o szaréj godzinie, nie przeczuwając, że dwóch zabłoconych rycerzy, i tyleż psów stoi u ich progu. Po długiém szamotaniu się, chrząkaniu, stukaniu, ktoś podszedł do drzwi bosemi stopami, powoli koło zamku gramolić się zaczął, sapał przytém jak zduszony.

— Otwórz, p. Moczulski,—wołał mój towarzysz kilkakrotnie,—to ja, sąsiad.

Stopy oddaliły się, a jednocześnie posłyszałem szorowanie zapałkami po ścianie. Z sieni na ganek wychodzily dwa okna, zabite deskami do połowy; przez górne szyby spostrzegłem światło. Klucz zgrzytnął w zamku. Przez uchylone drzwi owiało nas duszne powietrze, przesycone wonią kożuchów, skóry, świeżego chleba i pleśni. Moczulski stał przed nami z blaszaną lampką w ręku, bosy, w parcianéj koszuli i spodniach, w kożuchu zarzuconym na ramiona, chłop niemłody, rumiany, z rudym zarostem, z kosmykami rudych włosów nad czołem.

— Śpicie już? Ho, ho, widocznie czasu nie macie do stracenia!

— A cóż, jak robota skończona, wypocząć trzeba,—odburknął Moczulski, oglądając mnie z pod oka.

Moja skórzana odzież, ceratowa czapka i cała postać dość buntownicza, budziła w nim nieufność.

— To...—zajęknął się Żakiewicz...—ten pan, rodzony siostrzeniec sprawnika.—Wskazał na mnie. Przyjąłem w milczeniu świetną parentelę, do któréj ani po ojcu, ani po matce nie miałem prawa, Moczulski schylił się przedemną, raz, drugi, jak przed cudownym obrazem.

— Héj, chłopcy! — huknął, oglądając się po sieni,—pozdychali do licha! wstawać, w izbie napalić: a toż panowie przyszli!

Stał pośrodku sieni, groźny, wyprostowany, lampkę w górę podniósł.

— Bydlęta... kapcany—mruczał z całą powagą ojca i gospodarza domu.

Sień była duża o mozajkowéj kamiennéj posadzce, z ogromnym kominem w jednym kącie i trojgiem drzwi prowadzących do dal-

szych pokojów. Na ścianach wisiały rzędem chomąta, lejce, worki, kożuchy, powrozy, na podłodze zaś wzdłuż ścian słoma przykryta workami służyła za posłanie dla trzech synów Moczulskiego. Podnieśli się wszyscy jak na komendę; chłopy pod wąsem, barczyści, poruszali się leniwo, przeklinając w duchu spóźnioną wizytę. Moczulski poprowadził nas do pokoju naprawo, lampę na stole postawił, i szórając po podłodze bosemi nogami, wyszedł mrucząc, że zaraz... w téj chwili... natychmiast wszystko zrobi jak należy.

Pokój obszerny o czterech oknach nie posiadał prawie żadnych sprzętów. W jednym rogu prawie pod sufitem wisiał obraz w srebrnéj szacie, na ścianie kilka potwornych malowideł, przedstawiających samych posługaczów Bellony, na jesionowéj nowiutkiéj komodzie ogromna księga w skórę oprawna o tęczowych brzegach, otworzyłem—„Zbiór Praw" pozakładany w kilku miejscach kawałkami szarego papieru. Zimno było, wilgotno, w tym przybytku rycerzy i sprawiedliwości! Między oknami, naprzeciw drzwi, ogromna lustrzana tafla, wmurowana w ścianę, potłuczona, obryzgana wapnem, odbijała w łamanych liniach światło lampy, bielone ściany i nasze snujące się postacie. Ramy u drzwi i okien pokryte były pięknie rzeźbionym liściem dębowym, na suficie pozostały ślady gipsatury i złocenia, posadzka tylko porąbaną już była w kilku miejscach, koło pieca brakowało kilku dębowych tafli, użytych do podpalenia widocznie.

— Szanowny dziedzic nie zrujnował się na umeblowanie!—żartował Żakiewicz, wskazując cztery siatkowe krzesełka, jesionowy stół i takąż komodę;—posiada już za to cztéry folwarki i kapitały, a zimno u niego jakby w psiéj budzie.—Biegał po pokoju i chuchał w skostniałe palce.

Poszedłem z lampką obejrzéć dalsze pokoje. W sąsiednim, ze świetnych czasów pozostały jeszcze popielate ze srebrém obicia, zwieszające się brudnemi płachtami po kątach i u sufitu, w jednym rogu zgrabny kominek. Sprzętów żadnych. Na ścianie wisiała różowa perkalowa suknia z ogromną turniurą, przy niéj skórkowe wielkich rozmiarów buciki, wzdłuż ścian, w kominku, na środku pokoju, stały, leżały rozmaitego kalibru butelki, stłuczone po części, wszystkie nie miały korków, na znak, żeby się po nich nikt niczego spodziewać nie mógł! Dwie spore baryłki stały przy piecu zatkane pakułami i ścierką; pachło kwasem, zgnilizną i tą pustką straszną, która dziwnym chłodem przejmuje! W następnym, wzdłuż szklanéj ściany wychodzącéj na werendę, rozwieszono mokrą bieliznę na sznurach: kilka parcianych koszul, obok czerwonych chustek, żółtéj i niebieskiéj spódniczki, po kątach leżały kupy lnu i konopi, na środku

rzucono masę nowych worów. Dalej iść nie mogłem; zdawało się, że duch jakiś towarzyszy mi, wskazując nieznacznie każdą najmniejszą nawet pamiątkę z lepszych czasów: rzeźbione ramy okien, gipsaturę sufitów, popękane tafle posadzki! Zdawało się, że z ciemnych kątów oczy jakieś śledzą każdy mój krok, wyraz twarzy, zaglądają do duszy. Za oknami szumiały drzewa, szyby brzęczały w spróchniałych ramach, w ciszy tej stare pamiątki przemówiły dziwnie wymownem milczeniem. Naded rzwiami do ogrodu płaskorzeźba, otoczona wiankiem dębowych liści, przedstawiała biust pięknej kobiety; wiązka sznurów, zawieszona na wystającym gzymsie, zasłaniała jej czoło i część twarzy. Cisnąłem sznury w głąb pokoju, błędny rycerz, chociaż w ten sposób oddałem hołd piękności. Za to amorek na kominku tryumfował nawet wśród wandalizmu: na głowie miał zwiędłą girlandę z chabrów, a między skrzydełkiem i łopatką kawał niedopalonego papierosa! Może któraś z Nimf i sielski Adonis złożyli ten emblemat niewinności i szyku.... Może dama z medalionu rumieniła się, patrząc na hołdy składane swawolnemu bożkowi wśród kupy worków i woni dziegciu.

W pierwszym pokoju tymczasem Moczulski i Żakiewicz rozgospodarowali się na dobre; zapalono w piecu, na podłodze leżało kilka wiązek słomy, a na stole zamiast oczekiwanej herbaty dwie karafki z czerwoną i żółtą wódką, pół bochna razowego chleba, olbrzymi nóż w drewnianej oprawie, sér i masło w małej faseczce. Moczulski zdążył już włożyć siermiężny surdut, obszyty czarną tasiemką, buty i czerwony szalik; zdążył podpić trochę: policzki pałały, mrugał oczkami, a na czole pokazała się rosa! Nogi rozstawił szeroko, ręce oparł na kolanach, pochylony ku Żakiewiczowi, słuchał niby, w istocie wciąż zerkał ku drzwiom pokoju, w którym przebywałem. Zaledwo stanąłem na progu, zerwał się, krzesło swoje podniósł nieco, przycisnął do piersi i czekał, aż się zbliżę, żeby je akurat w tem miejscu postawić, gdzie usiąść zechcę. Sam wyprostowany stanął przy ścianie, opuściwszy ręce, spoglądał to na mnie, to na karafkę, a kiedy skinąłem głową, poruszył się śpiesznie, ręką wąsy obtarł i napełnił kielich, szklenicę raczej w postać kieliszka przemienioną. Podsunąłem mu krzesło, usiadł na brzeżku; niedługo jednak zachował wstrzemięźliwą powagę. Żakiewicz kusił go wódką i żartami, ofiarował mu przytem cygaro.

— Namawiam Moczulskiego, żeby na współkę ze mną Janów w dzierżawę wziął; ja dam pracę, on pieniądze! Zżyma się, jak gdybym mu szubienicę wskazywał! taki zacięty wróg wszelkiego ryzyka!

— Pieniądze, pieniądze — powtarzał Moczulski, pochylony nad stołem, uśmiechał się spoglądając na nas kolejno — a zkąd ich brać

te pieniądze? Żeby ja wiedział, gdzie szukać, oto poszedłby choć do piekła!

Zamilkł; wpatrzony przed siebie, zamyślił się nad tém wielkiém zadaniem.

— Po co iść do piekła przed czasem? Poszukajcie we własnéj sakwie! — żartował Żakiewicz.

Moczulski splunął, zagadnięty w najważniejszéj kwestyi, poruszył się niecierpliwie.

— Eh, bajkom pan wierzy! Gadają, że ja bogaty jak czort! Dalibóg nieprawda! Ziemi mam kawał, ot i wszystko! w spokojne czasy i do tegoby nie przyszło! Dał Bóg ruchawkę: głupi stracił a mądry zyskał! Che, che, żeby ja tak zdrów był, jak teraz grosza przy duszy nie mam!

— No, a posagi córek to nie przy duszy chowacie?

— E, i posagi te to bajka, panie! Za panów nie powychodzą, a chłopom grosza nie dam. Nie na to ja całe życie w biédzie pracował, żeby teraz chłopskie kieszenie napychać! Powiem panom, tak jak przed sąsiadem, i już przed wielmożnym urzędnikiem (skłonił głowę przede mną), że nie ma gorszéj bestyi na świecie, jak bogaty chłop! Był ja piętnaście lat „starszyną“, to już znam ich, a i teraz, nie daléj jak za moim sadem, jest wioska, pańszczyźniana dawniéj, co ja od nich cierpię, oj! Biednego chociaż procesem nastraszym, złajem jak Bóg przykazał, no i milczy; z bogatym nie ma rady! zaraz od chamów, od złodziejów człeka ochrzci, za byle co do bitwy staje, a człek tylko pięści w kieszenie chowa... Wiadomo, na sądy czasu niéma, żeby nie to, dalibóg, nie jednemuby już głowę roztrzaskał.

Aż oczy mu błyszczały w sprawiedliwém oburzeniu, wychylił gorzały, zasapany spluwał na prawo to na lewo.

— Tak, tak, panie Moczulski, siedzisz tu jak wilk między owcami, skubią was na wszystkie strony, dziwię się nawet, że was nie zjedli dotąd!

— I nie zjedzą, panie! oho! człek zasługi ma, chwała Bogu, no i rozumu jeszcze na mój wiek starczy.

— Naturalnie! A synowie swoim rozumem żyć będą!

Pokręcił głową i westchnął.

— Kiepsko z synami, oj kiepsko! Ten jeszcze co w turmie za złodziejstwo zgnił, był może najlepszy! Z innych pociechy żadnéj! Każden do siebie rwie, z pod rąk kradną! Bił ja ich dawniéj! teraz powyrastali, to codzień czekam, kiedy mnie bić zaczną! Rozbójniki, panie! W dzień powszedni to jeszcze pół biédy, a w niedzielę, kiedy pijani z miasteczka wrócą, to tylko słyszę: „Ojciec, pieniędzy dawaj! Nażyłeś się dosyć, my teraz pany!“ No, kiedy pany, panujcie

na swojém, na zapracowaném! dokąd żyję, szczypty ziemi nie dam, tak mi Boże dopomóż! Strach znowu, żeby nie zadusili gdzie w kącie! A cóż, teraz wszystko po świecie chodzi!

Ochrypły głos drżał zlekka.

— To nie żarty, panie! cały wiek, tak, cały wiek grosz do grosza mozolnie zbierałem; a teraz jak pomyślę, że dla tego dobra własne dziecko na moję duszę czyha... to tak nieraz aż w serce kole z żalu! Klnę ich czasem od świtu do nocy, a żadnemu dotąd włos z głowy nie spadł! Bo to, panie, młodość dzisiejsza ani w Boga, ani w dyabła nie wierzy! „Dawaj, ojciec, pieniędzy!" i basta! Co z tego będzie.... a! rodzi się to już takie zębate!

— Pożeń ich panie Moczulski; wiadoma rzecz, że baba i z dyabłem poradzi; synowie twoi przecież nie gorsi od dyabłów!

— Z kim żenić? W chłopstwo znowu leźć, nie godzi się, zawsze oni już od zwykłych chłopów odeszli, po folwarku mieć będą! Szlachcianka żadna nie pójdzie! Probowałem już, panie, i przez faktorów i sam rozpytywałem się różnie... Każda woli u siebie świnie paść niż z chłopem na folwarku siedziéć, harde szelmy! Mówią, że „Moczulaki to hajdamaki", i dobrze mówią, choć to moje dzieci, jaby sam im głowy poskręcał, żeby tylko szacunku i mądrości nauczyć!

Posmutniał; dłonie na kolanach oparł, głowę pochylił, kiwał się zwolna w prawo, to w lewo.

Nazajutrz czekały nas dwie niespodzianki: prześliczna pogoda i Maksym, który tuż za sadem mieszkał, a dowiedziawszy się o naszém przybyciu, nie czekając soboty, przyszedł, żeby nas na czortowy ług zaprowadzić. W dzień całe otoczenie wyglądało jeszcze smutniéj; zewnątrz ściany domu odrapane, szyby w oknach połatane łuczywem. Na baryerze w koło ganku suszyły się gładysze, skopki i szmaty różnorodne; przy kolumnie jedna z Nimf w różowéj sukni, z turniurą, w grzywce i ze złotą bransoletką, stała obrócona plecami do drzwi, gdyśmy na ganek wchodzili. Na nasze uprzejme „dzień dobry" zaśmiała się i uciekła, jak spłoszona łania; była to przelotna pokusa z rumianą twarzą, z czerwonemi rękami, w ogromnych bucikach. Trzej budrysi akurat wówczas z sieni wychodzili, po śniadaniu zapewne, gdyż każdy rękawem usta ocierał, w siermiężnych kurtkach, płóciennych spodniach, w czapkach na tył głowy zsuniętych, szli jeden za drugim wolno, leniwo, żaden nie spojrzał w naszą stronę. Moczulski za to obydwoma rękami uścisnął nasze dłonie, a gdyśmy po kilka srebrników ofiarowali mu za gościnność, popatrzał niby zakłopotany.

— Za cóż to, dalibóg—mówił, podrzucając pieniądze na dłoni—za co tu zapłata?..—Pokręcił głową, a widząc, że odchodzimy, wsunął srebrniki, do kieszeni i szedł za nami aż do samych wrót bez czapki.

Maksym, idąc naprzód, mruczał coś pod nosem, dopiéro gdy Moczulski, pożegnawszy się raz jeszcze, wrócił do domu, Maksym stanął, obejrzał się za odchodzącym.

— A to bestya, cham!—syknął, pokazując zęby,—końca na niego niema! a!...

Wzruszył ramionami pogardliwie. Przez sześć lat już procesowali się z sobą o łąkę i kawał pola... z tego powodu o serdeczności sąsiedzkiéj mowy być nie mogło. Maksym téż idąc, wciąż się oglądał, klął przytém w imię Boże i dyable. Dopiéro gdyśmy z drogi na łąkę zwrócili, poszedł naprzód ścieżką wzdłuż dworskiego parkanu, a straciwszy z oczu dom i dziedziniec, uspokoił się nieco.

Zabierało się na trwałą pogodę, na niebie ani jednéj chmurki, na łąkach rzęsista rosa, w powietrzu czuć było jeszcze poranną świeżość, ani jeden listek nie drgnął na drzewach ; w taki dzień jasny ptastwo też raźniéj żyć musi, nie kryje się po bagnach jak w słotę: miałem tedy nadzieję, że chociaż dudka zastrzelę. Maksym, idąc naprzód, oglądał się na nas z tajemniczą powagą. Poły bronzowéj sukmany za pas zatknął, nogi do kolan sznurkami okręcił, fuzyą pod ramieniem trzymał z lufą naprzód wysuniętą, — chudy, na cienkich nogach, przypominał błotnego ptaka. Zostawił nas nad brzegiem Niemna przy wąwozie, zkąd zejść łatwiéj było, a sam pobiegł ku chacie po łódkę. Brzeg piaszczysty porastał gęsto paprocią i jałowcem, tu i owdzie kupkami sterczały młode sosenki, pozostałe na pamiątkę po ogromnym lesie, z którego teraz gdzieniegdzie tylko pnie olbrzymie czerniały zdaleka. Brzegiem nad urwiskami ciągnęła się wieś długa; chata Maksyma, odsunięta nieco od innych, sąsiadowała z dworem, oddzielona od sadu owym nieszczęsnym pasem spornego gruntu i kawałkiem nędznéj, suchéj łąki! Oglądaliśmy okolicę dość długo; Żakiewicz wyciągnął się wśród paproci i wzrokiem porównywał błękit nieba z błękitem Niemna, płynącego dziś z pogodną powagą; ja niecierpliwie wyglądałem Maksyma; pilno mi było po trofea daremnie wyglądane przez cały tydzień!

Szedł wreszcie, fuzyą wyjął z pod ramienia i posługiwał się kolbą jak pałką. Zdaleka już posłyszałem, że mruczy jak niedźwiedź.

— Panoczki! — zawołał. Z pośpiechu czy ze złości głos ugrząsł w gardle. Maksym stanął przed nami i kilkakrotnie kolbą w ziemię uderzył, mrucząc przytém niecierpliwie.

— Panoczki! a toż te hycle chamy łódkę zabrali! Bodaj ich choroba zabrała! — zerwał czapkę z głowy i cisnął o ziemię! Popatrzył w stronę dworu, potém na nas.

— A!.. ot doczekali my czasów! a!.. poganie górę wzięli! a!..— poruszał ustami i drżał ze złości, widocznie wszystkich słów dobrych odrazu wypowiedzieć nie mógł.

— Więc nie pojedziemy?

Milczał i kręcił głową i na przeciwny brzeg patrzał.

— Do Złotnik po robotników pojechali, te... panicze ze dworu. Uśmiechnął się pogardliwie.

— Może prędko wrócą?

— Wrócą, dyabeł ich nie weźmie, ale tymczasem *ostanówka!* czasu szkoda! A wszystko przez tych hajdamaków! Wioskowa łódka, oni koryta nawet własnego nie mają! cudzém żyją, jak szarańcza podła!.. Ot tak duszę z człowieka wyrwaliby, żeby mogli!.. Chamskie nasienie! Nie daj Boże, jak chłop wzbogacieje! Panem to on nigdy nie będzie... a świnią, z przeproszeniem, na wieki zostanie!..

Rzucił fuzyą na ziemię, usiadł nad urwiskiem, a chociaż milczał, głową kiwał groźnie, potakując własnym myślom. Złotniki leżały o jakieś parę wiorst w dół Niemna. Budrysi mogli wrócić za godzinę najprędzéj. Wydobyłem z torby flaszkę i zakąskę... Po dwóch czarkach Maksym złagodniał. Widząc, że za przykładem Żakiewicza zamierzam wyciągnąć się na brzegu, siermięgę mi swoję pod głowę chciał dać. Fuzya, obietnica wygrania sprawy, usposobiła go dla mnie bardzo życzliwie, w gawędzie do mnie się zwracał, słuchając wciąż, głową potakiwał; tylko kiedy powiedziałem, że kawałek piasku i suchéj łąki nie zasługuje na tyloletni proces, spojrzał mi w twarz bystro, podrapał się za uchem.

— Eh, ziemia ziemi nierówna! dla kogo to nic, a dla mnie— ho, ho! Chałupę oddam, a tego nie oddam! To moja krew!—Jeszcze coś chciał dodać, machnął ręką, jakby wątpił, czy go zrozumiem!

Łódka nie nadpływała; Żakiewicz chrapał, a Maksym, powiedziawszy tragiczny frazes, od czasu do czasu rzucał na mnie znaczące spojrzenie. Nalałem mu jeszcze czarkę: wychylił, a po chwili, jak gdyby duch święty wstąpił weń w postaci języka, chłop rozgadał się na dobre!

— Krew moja!—powtórzył,—a chociaż sam jeden żyję na świecie, jak ten pień suchy, dokąd oczy nie zamknę, ziemia ta do mnie należéć musi! Dyabłu duszę sprzedam, a sprawę wygram!

— Czy tu u was dyabli jeszcze dusze kupują? — spytałem, byle podtrzymać rozmowę.

— Śmiéjcie się, panie, a ja raz dyabłu o mało rodzonego syna nie sprzedał! Chłopiec był szelma, ale zawsze moja krew! Od świtu do nocy w lesie siedział, do roboty żadnéj napędzić nie mogłem. Sąsiedzi gadali: bij Maksym syna, a to zbój wyrośnie. Ja codzień

las pański obchodząc, jak rózgę akuratną zobaczę gdzie przy drzewie, wytnę bywało i do chaty przyniosę, cały kąt nazbieram, miotłę zwiążę, a malca jak nie biję, tak nie biję! Prawdę mówiąc, nie było za co: chłopiec do bydła był nieprzydatny, wody ciągać nie lubił, drzewa nigdy nie przerąbał, ale za to suchych gałęzi z lasu, grzybów, jagód nawlecze bywało jak bobu, nieprzyrównywając! las znał lepiéj odemnie, a że go wilk nie zjadł do téj pory, to dlatego, że sierotą był, matka w maleństwie odumarła; nad sierotą każdy zwierz litość ma... ludzie tylko... eh, bodajby ich nie znać! W zimie łapcie plótł, sanki strugał, i w chacie nie zawadzał! Szelmy głaskać nie mogłem, rogi wyrosłyby mu odrazu. Ale i nie krzywdziłem zbytecznie, a jak do zmroku nie wrócił, hukałem na niego jak na zbłąkaną żywiołkę, zawsze kij mając w pogotowiu, żeby jak z za drzew wyjdzie, rozumu nauczyć! Wiedział, że źle robi; jak pies pokorny sunie się bywało ku chacie, z ukosa na mój kij zerkając; bicie zawsze na jutro odkładałem, on tymczasem w chacie za stołem przy mnie siadał cichy jak trusiątko, czeka, żebym wieczerzę zjadł; rozumiał, że człek po jedzeniu zawsze lepszy, potém gadać zaczyna. Że drzewo zrąbane widział, że chróstu kupę ktoś sobie w lesie przygotował, a nie łgał nigdy, akurat jak powié, tak jest! Milczę z początku, bo mnie złość, że cały dzień jak szczenię głodem marł, że włóczy się sam jeden bez kija nawet.

— Powieszę ciebie na suchéj gałęzi — powiadam na to — włóczęgo przeklęty, zdechniesz gdzieś w wilczéj jamie, a ja skóry *darć* nie będę miał z kogo!

Milczy i śmieje się, bywało, a głową kręci, jakby ani jednemu słowu nie wierzył! Jak zasnę czasami za stołem, to żebym do sądnego dnia spał, on przy mnie siedziéć będzie, ledwie ślepiami mruga, a nie pójdzie na piec bezemnie.

— Z wami zawsze lepiéj—powiada—czort za nogi nie chwyci! I tulił się do mnie jak do matki! Żeby tam i była jaka srogość, to zmięknie przy takim urwisie!

Wyrósł też przed czasem, wyciągnął się jak młoda sosna, cherlawy był tylko, dlatego ani do brony, ani do pługa nie przyuczałem go bez pory: na posyłki we dworze służył, no i tak przy lesie mnie zawsze pomocą był: chleba darmo nie jadł. Chatę miałem własną i gruntu kawał już wówczas nadali, ale że na leśnictwie szło nieźle, służyłem tymczasem. W chacie szewc siedział: oto, panie, był człek! Tfu, zgiń mara! dziś jak wspomnę, to dreszcze przechodzą! Że pił, to już nie jego wina, każdy szewc pije, ale bezbożnik był nikczemny, w święto bywało, w niedzielę, kiedy każdy w wiosce śpi na chwałę bożą, albo leżąc na trawie wygrzéwa się na słońcu, szewc

robotę robi! umyślnie na kamieniu przed chatą siędzie, dratwą macha i gwiżdże jakby dyabłów zwoływał! Śmieje się potępieniec, kiedy mu o grzechu wspomnisz. Chłopów zawsze „dworskiém bydłem“ nazywał, chociaż wówczas już pańszczyznę znieśli i każden wolność miał. Po nocach włóczył się ze złodziejami, czy z jakim lichem, a w każdéj porze, w najgorszą słotę przez groblę do wioski idąc, zawsze go spotkać można było; wlókł się zabłocony, konszachty miał jakieś, któż go tam wié! A do dyabła jak dwie krople był podobny: kulawy, zézowaty, z czarną, kędzierzawą czupryną. Na panów więcéj jeszcze niż na chłopów wymyślał, i żeby sam książę przez wioskę jechał, on nigdy czapki nie zdjął; stoi sobie bywało i gwiżdże, ręce do kieszeni włożywszy! Rzemiosło swoje znał, zarabiał dużo, a chociaż ani żonki, ani dziecka nie miał, chodził jak żebrak obdarty. A kiedy ostatni kożuch w karczmie zastawił, i zimą w letniéj kurtce, w dziurawych butach po wiosce łaził, ludzie litowali się trochę.

— Panem będę jeszcze! zobaczycie! teraz do tego idzie, że rozumni nie przepadną! Oho, żebyście wy rozum mieli....

Gadał tak nieraz mądrze, że słucham, bywało, jak uczciwego człowieka! A tu raptem „zły“ szeptać jemu do ucha zacznie, na Boga, na księdza, na przenajświętsze książki, takie rzeczy wygadywał, że człek tylko plunie i odejdzie! Nieraz już chciałem go z chaty wyrzucić, plugastwo takie trzymać, to obraza boża; czort już dwa razy na niego czyhał: raz w nocy strzecha zgorzała ni z tego ni z owego, drugi raz ściana wywaliła się do szczętu! i wyprawiłbym go wśród zimy, niechby szedł na potępienie, ale pan przywoławszy mnie, powiada:

— Nie wyprawiaj, Maksymie, szewca; zły to jest człek, ale jak wypędzisz, gotów całą wioskę spalić; niech siedzi do czasu!

Dał mi słomy na strzechę i parę kłód sosnowych; zostawiłem czorta w spokoju do wiosny. On od mojéj dobroci tak rozmiękł, że codzień, jak utrapienie, zaczął mię nawiedzać! Zrana albo pod wieczór z lasu wracam, czy z chaty na dwór wyjrzę: szewc siedzi na ławce przy drzwiach, z brodą opartą na kiju zérka zézowatemi oczyma po lesie!

— Co tu węszysz niedowiarku? — pytam nieraz, a ciarki po skórze przechodzą, bo panie, ze złemi oczyma człek gorszy od zarazy, ludziom i żywiołu szkodę przynieść może; ja dawniéj śmiałem się z uroku i w strachy nie bardzo wierzyłem, ale jak ten do nich zagadywać zaczął, pomrukiwał coś, i ciągle z pod czoła spoglądał — pewny byłem, że biédy naniesie; w dodatku chłopca zaczepiał! To go papiérosem poczęstuje, to na wódkę z sobą zaprasza, a malec,

wiadomo, głupi, choć wyrósł równy ze mną, przylgnął do niego i raz poraz na gawędkę do wioski bieży, albo w lesie pod chatą z nim siedzi. Zmiarkowawszy, że do złego idzie, powiadam do malca :

— Słuchaj, jeśli raz jeszcze zobaczę ciebie z włóczęgą, jak psa zastrzelę! tak mi Boże dopomóż.

On podparł się w boki, głową kiwa i patrzy mi w oczy, ani mrugnie.

— A ojciec jakie masz prawo nademną — powiada — czy to ja nie wolny człek; sam sobie pan, czy będę jak pańszczyzniane bydlę lada starego grzyba słuchać?...

A...! ot czego ja dożył! Jak stałem przy ławie, tak i siadłem z żalu wielkiego. Słowa przemówić nie mogę; on widzi, że siedzę jak martwy, kręci się po izbie, niby szuka czegoś, a wciąż ku mnie spogląda. Dobroć przemogła głupotę, jak dawniéj przy mnie na ławce usiadł, milczał ze wstydu.

— No, ojciec — powiada — głupi ja i dosyć! ale serce do was mam, ten raz wybaczcie, za to zawsze słuchać będę; tylko kijem ani strzelbą nie straszcie, bo dalibóg, ja nie pies, a wolny człowiek, od was to i słowa dobrego posłucham!

Oh! słuchał biédaczek na swoję niedolę! Do szewca nie chodził, i ten przestał jakoś włóczyć się po lesie. Raz siedzę ja sobie z Jaśkiem w chacie z wieczora, na dworze wiatr wył straszliwy, pies nawet do chaty skrył się i przy nas koło pieca usiadł; chłopiec strugał coś, a ja słucham jak baba za piecem chrapie, to znów jak na dworze wicher szaleje. Skrzypnęło coś w sieni, ostrożnie, niby złodziéj, szewc wsunął się do chaty. Mnie w pierwszéj złości mowę odjęło, malec splunął tylko i daléj swoje robi, a szewc wyszczerzył zęby i stoi przy drzwiach.

— To czort! — przemknęło mnie po głowie — a on jakby nic.

— Dawno nie był!— powiada — za wasze dobro podziękować przychodzę! Do miasta na majstra idę, w chacie już waszéj mieszkać nie będę; ale za dobro lepszém chcę oddać!

Usiadł przy mnie na ławie, kędzierzawe kosmyki sterczały jak rogi nad czołem, oczkami rzucał po izbie, gębę krzywił, nosem kręcił, czort, a czort, tylko że ogona nie widać!

— Maksymie—powiada—oddajcie mnie swego Jaśka! Chłopak akuratny, na szewca stworzony, ja go wyuczę co sam umiem i jeszcze więcéj! W chacie waszéj siedziałem jak za darmo, niech za to wam choć nauką zapłacę; przy mnie rozumu się nauczy, będzie wiedział jak na świecie żyć; w mieście bezpieczniéj, a tu....

Nie domówił tylko głową na las wskazał. Odrazu nie zmiarkowałem do czego zmierzał, bo na myśli miałem to tylko, że po Jaśka przyszedł.

— Ej, ej — powiadam — waćpan własnéj duszy pilnuj, a my jak żyli, tak żyć będziemy! Niech tam włóczęgi na szewców idą; syn gospodarski, chwała Bogu, ma chléb uczciwszy, a z czasem jeszcze mu lepiéj będzie! W dobrą godzinę na świat przyszedł.

Wtenczas wszyscy gadali, że pańską ziemię chłopom dzielić będą, że już nawet rozdzieliliby, tylko że na świecie szmat téj ziemi jest, podzielić odrazu niełatwo, a choć tam bardzo mądre głowy liczą, dotąd wyliczyć nie mogą, czy każdemu chłopu po sto, czy po pięćdziesiąt morgów dać! Ja tam nigdy o stu nie myślałem; dość byłoby, żeby do moich piętnastu zagonów piasku i do tych pięciu, co pod lasem mam, jeszcze pięćdziesiąt dodali — miałbym chleba dosyć. Opowiedziałem to wszystko szewcowi, a on jak zwykle nauczać zaczął, że człek to tylko ma, co sam weźmie, że głupi tylko zmiłowania czeka.

— Niech tam inni biorą, a ja poczekam, krzywdy nie miałem, to i ludziom krzywdy robić nie chcę!

Zaśmiał się, panie, ale takim głosem, aż echo po izbie poszło.

— Nie warto z wami gadać — powiada — prędzéj wasze woły rozumu się nauczą niż wy, chłopy przeklęte! Chłopca nie dajecie, no, bodajbyście nie żałowali!

Powlókł się ku drzwiom, kulejąc. I mnie coś za nim ciągnęło! Człek już taką naturę głupią ma, że sam nie wié gdzie słuszność. Kiepski on, to prawda, ale nie głupi, z ludźmi więcéj żył, kto wié, może i dobrze radzi.... Żeby wówczas słowo akuratne przemówił.... sam nie wiem! Ale on jak wyszedł przed chatę, tak i znikł w ciemnościach; pod ziemię skrył się, czy z szumem wiatru rozpłynął się po lesie! Postałem, posłuchałem. — Tfu! zgiń mara! a toż ja o mało rodzonego dziecka czortu własnemi rękami nie oddał! — Już miałem do chaty wracać, a tu z za drzewa akurat nad moim uchem zaryczał:

— Nie oddasz Jaśka? Zginie on marnie, zobaczysz!

— O Jezus, Marya! — krzyknąłem, a po lesie suche gałęzie trzaskać zaczęły, tak zmykał piekielnie od słowa bożego! Jak w wodę wpadł, tyle my go w wiosce widzieli!

Powoli człek i zapomniał o bezbożniku. Chata pustką stała, w pierwszych czasach zaglądać do niéj nie chciałem; zdaleka tylko idąc, spojrzę czasem na drzwi kołkiem zatkniętę, na dziurawe okna i serce zaboli. Własne dobro marnieje, a ja na cudzém siły tracę! Na wiosnę już odnowić ją chciałem, z łaski pańskiéj drzewo i słoma w zapasie była, groszy kilka zebrało się potrochu, a tu i służbę żal rzucać! Pan sprawiedliwy był, nie skąpy, łaskawy dla każdego: dwadzieścia lat przesłużyłem, a nigdy złego słowa nie rzekł; dobra jego strzegłem wiernie, a tak przywykłem, że nie tylko las, ale każdy

zagon ziemi jakby do mnie należał. Obchodząc las i łąk pilnowałem; idąc koło sadu, nieraz biczyskiem wróble spędzam, albo wywalony kołek w ziemię wbiję. Pan znał moję przychylność i sam do mnie przywykł: bywało, na dziedzińcu dziesięciu ludzi czeka, jak tylko na ganek wyjdzie i mnie zobaczy, pierwszego woła: co, jak, gdzie, dla czego, wypyta jak należy, a wiarę taką do mnie miał, że w lesie gospodarowałem jak w domu! Ale téż i na duszy mojéj ani jednego pańskiego polanka nie ma! Pod wiosnę, a tego roku zimy prawie nie było, ludzie cudzy włóczyć się po lesie zaczęli, codzień prawie ktoś do chaty zajrzy, milczę, ale w duszy złość bierze. Żyli my dotąd jak u Boga za piecem. Panu chyba tylko mléka ptasiego brakowało, ja chleba miałem podostatkiem, do śmierci tak żyć mogli! A tu, panie, zawierucha, czort wié nie co! Miałem wówczas krowę, parę wieprzów i kur kilkanaście, *ciełoszka* piękna dorastała, wszelkiego dobra w chacie nie brakło, no i Jasiek był!.. O chłopca więcéj jeszcze bałem się niż o dobytek! Na szczęście chłopiec rozum miał; jak dawniéj po lesie ciągał się, tak teraz z chaty nie wyglądał prawie.

— Czy ja głupi — mawiał — a mnie co potém? Ot, ojciec, gospodarkę mnie oddaj, w chacie osiądę i lasu znać nie chcę! Wy siedźcie tu, jeśli wam tak pańskie dobro miłe!

Przystałem odrazu; tymczasem w chacie nie było co robić, więc chłopiec siedział i niewód wiązał, codzień tylko do wioski szedł, kołki ciosał, deski piłował, na wiosnę materyał przygotowując. A tu po lesie jak po swojéj własności ludziska plądrują! Idę tedy do pana i mówię: tak i tak, panoczku, do naszych barci niedźwiedzie zaglądają! co pan każe robić, czy im wolę zostawić, czy jak... któż wié, może i legowisko jest! — Pan słuchając, w oczy mnie patrzał uważnie; zawczasu wiedziałem, co powie! Dobry był, ale niemrawy taki! Na jego miejscu każden wory złota miałby, żarty to na takim majątku! a on, grosza nikomu nie był winien, ale i o swoje nie dbał, a nieraz takie słowo rzucił, że człek tylko ramionami ściskał; uczyć pana nie wypadało, od tego on pan, żeby własny rozum miał! — Pochodził, pochodził, ręce wtył założywszy.

— Nie bój się — powiada — ja za wszystko odpowiem, siedź w chacie jak siedziałeś.

— Toż mnie pańskiego dobra żal, ja tam o swoję skórę nie drżę.

Poklepał po ramieniu i pocałował w głowę! Wtedy mnie prawdziwy żal wziął; gadałem tak z całéj duszy prawdę świętą jak bratu. Posłuchał czy nie posłuchał, a jam swoje zrobił. Śmiał się niby i gadał tam coś po swojemu, a w końcu kazał do chaty wracać. Od tego dnia jakby mnie kamień na sercu legł; życie obrzydło, a jak

dzień przeszedł szczęśliwie, to i dziękowałem Bogu. Do lasu nie zaglądałem prawie, a chyba pan gdzieś posłał, no, to i wlokłem się jak na śmierć, siekierę za pas założywszy. Dni szły coraz piękniejsze; chociaż zima była na niebie, w lesie już śniegu ani widać, ptaki gwiżdżą, a tak raźno na dworze, jak w samą wiosnę.

— Synku, sochę obejrz, po niedzieli w pole pójdziem — mówię do Jaśka — a on aż podrósł z radości; przez zimę tę ja zmarniałem, jemu zdrowia przybyło, tak cieszył się, że już na swój chléb pójdzie.

W południe jakoś wracam sobie do chaty, spokojniejszy, bo przez kilka dni w lesie cisza była, zające nawet smygały między krzakami na znak, że ludzi ani słychać. Stanąłem i patrzę jak przez zielone sosny jasne niebo widać, słyszę, za mną biegnie ktoś, suche gałęzie poruszając. Przystanie na chwilę i znowu biegnie! ludzkie kroki wyróżnić! Przyczaiłem się za drzewem, widzę pan idzie, zadyszany, ogląda się i prosto do chaty dąży. Spostrzegł mnie, przystanął, ale zrazu przemówić nie mógł, pakiet tylko jakiś z za surduta wyjął, a kiedy mu głos wrócił, powiada:

— Maksymie, Jaśka w téj chwili do Uroczyska poślij, niech biegnie, on najkrótsze drogi po manowcach zna—rozumiész!

List mi za siermięgę wsunął, a widząc że milczę, zawahał się, ręką jakby po list sięgnął,

— Nie chcecie, to trudno — zamajaczył, widać było, że mu strasznie pilno.

— Kto nie chce? — mruknąłem, tylko że na biédę nikomu lecićć nie pilno!

Drugi raz po list sięgnął, a widziałem, że ręka drży jak u chorego.

— Idźcie panie — rzekłem już łaskawiéj — wszystko będzie jak trzeba! — Eh, pożałowałem słowa, ale już nie czas było! Setny raz może powiedział, że na wieki nie zapomni!

Chłopiec do drogi ochoty nie miał, odrazu nawet ofuknął, że nie pójdzie, do Uroczyska przez błota i przez zarośla trzy opętane mile!

— Do dyabła, to ja sam pójdę! majaczyć nie ma czasu!

Już buty nakładać chciałem, kiedy list z rąk moich wziął.

— Dróg tych nie znacie, ja prędzéj wrócę a i skryję się prędzéj.

Wychodząc z izby, obejrzał się, jakby raz jeszcze wrócić chciał.

— Idź synku z Bogiem, toż niedaleko; wracając, przenocujesz w Janowie! — rzekłem.

Słowa nie wymówił, czapkę na uszy nasunął i wyszedł.

Stałem przed chatą, patrząc za nim, dokąd siermięga między drzewami migała, zawołać chciałem: ej, Jaśku, a wróć się! tak mię głupi niepokój za duszę ściskał, że aż kijem o ziemię stukałem, żeby nie krzyknąć bez potrzeby. Znikł, no i niech idzie szczęśliwie! Czy

to on mały, czy jemu pierwszyzna wilcze ślady tropić? Tak sobie powtarzam i do roboty iść myślę, a nogi jakby przyrosły; chłopiec może już kawał drogi przeskoczył, a ja wciąż siermięgę jego między drzewami widzę! Do wieczora przeszło jakkolwiek, w dzień zawsze człek więcéj rezonu ma! Obliczyłem, że do świtu w Uroczysku stanie, prędzéj nawet! W nocy czort nawet nie dostrzeże go między krzakami! Z powrotem choćby gościńcem iść może, głupi byłby żeby się przekradał, czyste sumienie mając. — Pod wieczór, jak w lesie ściemniało, strach znowu odżył. Łuczywo zgasło, drzwi chaty zamknąłem i siedzę na przyzbie — w las patrzę. Noc jasna była, gwiazdy nad drzewami migają; cisza taka, jakby cały las nasłuchiwał wraz ze mną! Rozglądam się, a w głowie ciągle jedno siedzi: czy żeby on tak krzyknął teraz gdzieś za błotami, usłyszałbym czy nie? Raz myślę, że w taką noc cichą głos musi daleko lecieć, to znowu zdaje się że trudno.... zdaleka i śmiertelny krzyk nie doleciałby do chaty!... Słucham i ślepie wytrzészczam, Bóg wié na co! Między sosnami ktoś mignął — cień chyba, bo kroków nie słychać; patrzę — ani żywego ducha! Chwila jakaś spokojnie przejdzie, to znowu z drugiéj strony jakby kroki słychać.... Tfu! omamienie i tyle! Grzbiet od siedzenia zabolał, więc sobie chodzić zacząłem wkoło chaty... Jak wstałem, zdaje się cały las ożył! Przejdę kilka kroków i oglądam się za siebie jak głupi! Boże łaskawy! ile ja nocy letnich i zimowych w lesie przespał! Jak przy *porąbce* stróżował, to całemi tygodniami do chaty nie zaglądał! Nigdy strach żaden na myśl nie przyszedł! Huknie coś, bywało, splunę raz i drugi — i znowu cicho. A téj nocy, panie, to jakby mnie śmiertelne dreszcze brały! Staję o kilkanaście kroków od chaty i zębami dzwonię, niby wśród cudzéj strony, w puszczy, między zbójami. To jego strach mnie trapi!—pomyślałem. Drży tam biedaczysko, ledwie dyszé gdzieś przyczajony! przyległ może pod krzakiem, albo pełznie po błotach! Noc jasna w górze, ale w zaroślach przy cieniu człowiek sam siebie nie widzi! Krzak marny zdala jak żywy wygląda! A tu jak na złość po ciszy długiéj gwar nastał, ten gwar leśny, co to człek daremnie uchem łowi, z któréj strony idzie! Wierzchołki sosen szumiéć zaczęły, zwolna z początku, potém coraz głośniéj, w krzakach zaszeleściało gwałtownie, to zwierz jakiś na żer idzie, wiem, zdaje się, a drżę, ząb na ząb trafić nie może... akurat jak malec tam gdzieś na wilczéj drodze! Sowa krzyknęła, pisk łasicy rozniósł się po lesie, to znowu łoskot suchych gałęzi—wilk może zająca goni—huka coś, ucichnie i znowu huczy! Sęk z drzewa spadnie, jakby z fuzyi wystrzelił, w nocy każdy szmer głośnym echem idzie! Przycisnąłem się do drzewa, a żeby we mnie pioruny jasne biły, nie poruszyłbym się z miejsca. Takiego

strachu to jeszcze w życiu nie doznałem! O świcie dopiéro, kiedy pomiędzy pniami czerwony pas zorzy przyświecać zaczął, i we mnie duch odżył. Obejrzałem się i splunąłem na ten strach głupi! Malec pewnie idzie sobie, ani dba, bo i czego bać się? Bóg wszędzie jest! Poszedł i wróci szczęśliwie! Jak słonko weszło, rad nawet byłem, że poszedł, w dzień raźniéj wracać będzie... tylko żeby idąc drogą buty zdjął — szesnaście złotych zapłaciłem onegdaj.... W lesie boso iść trudno, ale na drodze—można! Szelma pewno nie zdejmie, bo to fanaberzysty taki.

— Ojciec,—powiada,—może, a ja nie mogę! i gadaj tu z nim! Ja przez całe życie ojcowskie przyszwy dodzierałem, on połowy mego wieku nie przeżył, a już drugie buty miał.

— Niech go tam! Zły byłem, że moich starych na drogę nie wziął!..

Do południa nie wrócił, wieczorem jeszcze go nie było! Przez cały dzień trwoga za pazuchą siedziała, na noc znowu do duszy wlazła. O zmroku poszedłem do dworu—Pana nie było, wyjechał z rana—a kiedy wróci nie wiedzieli. Wszystko tak szło jak na biédę! Choroba brać mię poczynała od myśli przeklętych! Wracam do chaty, a tu baba naprzeciw mnie z płaczem: krowa zaniemogła! Przyszła z lasu i legła w obórce! Idę, patrz, wzdęta leży, ślepie przymknięte i stęka. Wtedy to, panie, strasznie coś w serce ukłuło. Dwadzieścia lat na gospodarce siedziałem ubytku żadnego nie było! Żonka zmarła, ale to już dopuszczenie boże, każdego śmierć czeka; jak dobytek padać zacznie, kiepsko wtedy! biéda za biédą pójdzie. Rąk nawet do niéj przykładać nie chciałem—bo wiem, że kiedy na złe idzie, to żadne lekarstwo nie pomoże! Otworzyłem tylko drzwi narozcież, sam na progu stoję—ani mnie żal, ani skrucha nie bierze, choć bydle ludzkim głosem jęczy! Młoda była i mleczna, za dwadzieścia rubli nie oddałbym jéj, wyrosła przy mnie od ciełoszki! Do północy skostniała! A ja nic—po brzuchu pogładziłem i tyle—jutro może chata spłonie, albo piorun jasny mnie samego na drodze ubije. O chłopcu tylko w tém odrętwieniu myśléć nie chciałem, żeby zła z nim nie jednoczyć—przez noc nie przyszedł i cały następny dzień go nie było—sam jeden skóry z bydlęcia zdjąć nie mogłem, ale i to mię nie gryzło, już kiedy przepadać to przepadać—nie ma krowy, niech i skóry nie będzie. A w koło mnie jakby złe powietrze powiało, chodzę jak opętany z siekierą w ręku, po drodze na prawo, na lewo, gałęzie tnę, do chaty wejdę, siekiera jakby do ręki przyrosła—o chłopcu zdaje się nie myślę nawet, ale czy w lesie, czy w izbie, ciągle spoglądam koło siebie i ciągle słyszę jak idzie!

Przez cały dzień coś na drogę ciągnęło—wyjdę popatrzę—ludzie orać zaczęli—dworskich sześć pługów na roli widać, a na drodze pusto. Pewno lasem wraca—z któréj strony tylko nie wiadomo. Pod wieczór słonko zaszło jaskrawo a ze wschodu chmury nadciągać zaczęły, zciemiało jakoś odrazu. Wlokę się od drogi, chatę mijam, w otwarte drzwi obórki spojrzałem tylko przechodząc: krowa jak leżała tak leży, nogi wyciągnąwszy. Poszedłem w las, ot tak, przed siebie bez myśli—same nogi wgąszcz na błota mnie wiodły. Nie wiem jak długo szedłem,—w lesie szaro było jak przed świtem—wiatr trochę chmury rozpędził—zchłodło,—wrony snuły się całemi stadami!

Na polankę trafiłem: rzędy młodych sosen do koła jak sadzone, za niemi gąszcz ciemna, drzewa różne rosły w téj stronie, dęby stare, leszczyna, zaraz zatém trzęsawiska szły aż pod Uroczysko, i daléj, do cudzych lasów, bez końca. Stoję sobie, rozglądam się, aż tu wron stado ogromne obłoki zasłoniło! Zaszumiały nad głową i raptem jak podstrzelone ku ziemi spadać zaczęły w krzaki tuż za mną, aż łoskot od nich poszedł po lesie.

— Bestye, żer czują! Zwróciłem z polanki w leszczynę, a jak tylko poruszyłem gałęzie, z krzykiem zerwały się do lotu, skrzydłami prawie po głowie mojéj uderzając! Umyślnie świsnąłem kijem w powietrzu, żeby te szelmy spłoszyć! Złość jakaś dzika mnie ogarnęła: krzyczałem jak na wilków, a podjąwszy z ziemi grudek kilku, ciskałem na oślep. One tylko z niższych gałęzi na wyższe przesiadły, ku mnie ślipie i głowy zwróciwszy! a każda kręciła się, poruszała skrzydłami, czyhając tylko kiedy odejdę, jak która zrywała się do lotu, kijem nad leszczyną machałem! Sam nie wiem zkąd we mnie ten upór wziął się, żebym miał fuzyą postrzelałbym co do jednéj te bestye podłe! Już z dziobów widziałem, że ku leszczynie zmierzają. Rozchyliłem gałęzie. Na mokrych liściach, tak, o krok przedemną... czapka leżała! pod krzakiem zwrócony twarzą do ziemi—mój chłopiec! Głowę tylko i sukmanę spostrzegłem, a już wiedziałem, że on— tak coś w piersiach odrazu stuknęło. Nie żył. Siadłem przy nim, a raptem rozum i siły jakby wskroś ziemi poszły! Patrzałem tylko i patrzałem, to na głowę, to na nogi... leżał wyciągnięty, głowę na bok przechylił, twarz jak żywa, oczy tylko zczerniały, na szyi, niżéj ucha miał czarną plamę krwi zaschłéj! Przywlókł się tu... zmarł nim do chaty doszedł! Żalu nie czułem z początku—głaskałem po głowie, po plecach i znowu po głowie. On! On sam! gadało coś koło mnie, bo ja sam nawet przypatrzyć się dobrze nie mogłem. Chcę głowę jego podnieść, jak wziąłem w obie ręce, tak i resztę sił straciłem—pod palcami tylko twarz jego czuję—do dłoni moich przyrosła!

Kiedy wyjrzałem z zarośli na polankę jasno było jak we dnie—na niebie gwiazdy błyszczały—chłodny wiatr szumiał z cicha po drzewach. Za polanką, w dół trochę znałem urwisko piaszczyste; korzenie sosen sterczały po brzegach, na dno rzeka kamieni naniosła: rów akuratny—jak kopany!

Wróciłem pod leszczynę.

— No, synku! chodź! przemówiłem, żeby ostatni raz głos ojcowski usłyszał, dawno ja ciebie na rękach nosił! Niechże tobie ziemia będzie lekka.

Zaniosłem, jak dziecko, kiedy martwą głową do szyi dotknął, to jakby chuchnął na mnie... może wówczas resztka duszy wyszła! Kopałem nad urwiskiem do świtu na przemian piasek i suche liście sypiąc; czerwona zorza jaśniała już na niebie, kiedy skończyłem chrustem rów przykrywać... gdy słonko weszło, w urwisku nowa górka stérczała—i tyle! Robota zmogła mnie w końcu, przywlokłszy się do chaty, w odrynce na mchu padłem,—dzień cały i noc całą przespałem jak martwy. Targali mię, baba coś o krowie majaczyła... w głowie szum jakiś czułem, ale dopóki sen nie przeszedł, ślepie były jak sklejone. Po śnie ból w kości wlazł stokrotny, ledwo pełzać mogłem, okrywszy się kożuchem na przyzbie przed chatą siadłem, a z wioski ludzie przechodząc śmieją się, że mnie wódka rozebrała do reszty! Milczę, bo mi głos narazie odebrało i pamięć jakby nie dawniejsza! Po słońcu dzień znałem dobrze, a tu sam poznać nie mogę, czy to ranek, czy wieczór! Baba misę barszczu i chleba kawał na ławie przy mnie postawiła. Widzę, jak burek skrada się, ogonem kiwa, głowę przechylił i ostrożnie językiem po brzegu probuje—ja go nawet nogą nie kopnąłem—zjadł i poszedł; a baba, wyszedłszy z izby, popatrzała na mnie.

— Na śmierć wam idzie, powiada, przez dwa dni przepadliście z kretesem!

Mogła sobie mówić, że umarłem i tak jeszcze nie obejrzałbym się na nią. Dopiero nazajutrz niemoc przeszła—cały dzień drwa rąbałem, z potem krwawym i choroba wyszła. Tylko co wiatr z lasu powieje—to mnie jakby dreszczem obejmie, i ten rów jak żywy przed oczami stoi! Na trzeci dzień do dworu poszedłem. Pan wrócił. Stał na ganku i z wójtem gadał—koń osiodłany czekał przy słupie. Jak tylko mnie ujrzał, z dala już ręką kiwać zaczął—stanąłem przy schodach, nawet ręki do czapki podnieść nie mogłem.

— Chłopiec zuch!—zawołał, ot tak nad samym moim uchem! już ja o nim pamiętać będę! Zatarł ręce i biegał po ganku, jakby go radość nosiła. Mnie nogi osłabły, głowa opadła, chciałem spojrzéć na niego a nie mogłem.

— Wrócił już? To przyślij go do mnie Maksymku! Dzielny chłopiec! jednego Bóg dał, ale tęgiego! dziś jeszcze przyślij go do dworu, jutro może wyjadę.

Przyparłem się do słupa i słowa wymówić nie mogę—a pan daléj chłopca wychwala.

— Cóż tak zmarkotniałeś, powiada, krowa ci zdechła, no, nie wielka bieda; mówiłem już, żeby ryżę do was odprowadzili! Nie biéduj dokąd ja żyję, i ty i syn twój kłopotu wielkiego nie zaznacie! Bywaj zdrów, Maksymku!

Wskoczył na konia i pojechał! A ja nawet przekląć go po ludzku nie mogłem. Ten żal, co dotąd martwy w duszy leżał, schwycił mnie nagle! Padłem przy ganku i ryczałem! Ot, panie, jak ja ryczałem! Żeby tak w lesie—wilcy zbiegliby się do mnie całą gromadą! Do chaty wracać trudno, jak omamienie przeszło, poznałem jaki ja biédny sierota, jak mnie teraz pusto na świecie, choć chatę kołkiem zatknąć i na żebraninę iść! Włóczyłem się po lesie, na noc dopiero do odrynki wróciłem; na mchu leżę i słyszę koło mnie za ścianą jakby coś sapie, siadam, myślę, że znów omamienie głowę objęło, spluwam raz, drugi—sapie! Już chciałem wstać i zajrzéć... aż zaryczało nagle—krowę ze dworu przywiedli! Złe jakieś w nią wstąpiło, czy może nowém miejscem gardziła, jak zaczęła ryczéć, to aż po lesie echo szło! A mnie głupiemu, w duszy zgryzota jakaś powstała... Za syna krowę tę mam—za krew jego, za życie młode! Krowa milkła czasami, ogonem machając, w ścianę koło mnie uderzała, a złe szeptać nie przestawało! Więc chociaż zdechłego bydlęcia żal było, do téj ochota nie brała.

— Odprowadzę ją,—pomyślałem! co mnie po niéj, może ona tak ciągle ryczéć będzie... różne bywają! Niech ją wilk zjé!

I odprowadziłem! Bialutka rosa stała jeszcze na łące, kiedy ją z lasu wywiodłem. We dworze płot grodzili, a że bydle rwało się, poczuwszy oborę, tak ja i poszedł prosto przez łąkę ku ogrodowi byle bliżéj! Patrzę, naprzeciw mnie pan z sadu przez zagrodzony płot idzie, ręce w kieszeni kubraku trzyma i patrzy jakby pierwszy raz człowieka z bydlęciem ujrzał. Zacisnąłem zęby i sobie tak w stronę patrzę. Żeby tak teraz ziemia rozstąpiła się pod nim, możeby mnie na sercu ulżyło! Stanął, a mnie jakoś przejść z bydlęciem koło niego nie wypada, tak i ja stanąłem, głowy tylko i oczu podnieść nie mogę; a krowa, poczuwszy znajome miejsce, skubie trawę, ogonem macha radośnie.

Czy w nim dusza przemówiła, czy moja biéda tak już widniała odrazu, dość że stał jak martwy, słowa nie przemówił,—a kiedy ja w końcu oczy podniosłem—oh, trudno wygadać wszystko. I jemu

ciężko było na duszy, patrzał na mnie i głową kiwał żałośnie. Mnie żal przeszedł jakoś:

— Biéda, panoczku!—rzekłem—krowę zabierzcie, ot jakby ludzkim głosem gada.—Daléj mówić nie mogłem, bo mnie znowu za gardło żal złapał.

Wówczas pan przemówił słów kilka, mądrze pewno, ale ja, czy z żalu, czy z głupoty nie bardzo zrozumiałem! Chłopca nie było, to choćby gadał, że sam Bóg do chwały go wziął—nie wielka pociecha. Sądzono mu było zmarnieć za młodu, chociaż żebym go wówczas oddał — kto wie, możeby i lepiéj było! Na starość nie marniałbym tak sam jeden. Kiedy orka nastała, łąkę tę i pola kawał co do mojéj chaty przyległy, pan mnie dał. W dobre lato kop siedm żyta nażynam, albo i więcéj nawet, wozów ze trzy siana mam z łąki—ot i wszystko co za moje trudy, za krew moją zostało! Czyż ja temu bestyi Moczulskiemu mogę tę schedę oddać? Powiedźcież sami.

Miał racyą; jednak widziałem, że pomimo adwokackiéj wprawy, z Moczulskim nieprędko załatwimy interes!

*Ostoja.*





# KAROL FOURIER
## I FURYERYZM.

### I.

Pewna wspólność rysów pomiędzy Saint-Simonem i Fourierem. — Krótki życiorys Karola Fourier'a. — Upodobania jego literackie. — Filozoficzny jego pogląd. — Dedukcyjna pewność swych odkryć. — Justus Muiron. — Współzawodnicza niechęć do Owena i szkoły saint-simonistowskiéj. — Lechevalier i Considérant. — Rozwój furyeryzmu. — Nadzieje i zapewnienia Fourier'a. — Trafna uwaga Enfantin'a. — Rysy zewnętrzne i charakter moralny Fourier'a.

W r. 1803 pojawiło się pierwsze dziełko Saint-Simona w Genewie; w pięć lat późniéj pierwsze dziełko Fourier'a w Lionie, zamaskowane podaniem Lipska za miejsce druku (1). Oba wyszły bezimiennie, oba przeszły niepostrzeżenie, oba musiały razić czytelnika dziwactwem swém, a jednak w obu tych dziełkach złożone są już nasiona tych systematów społecznych, które w kilkadziesiąt lat późniéj silnie poruszyły umysłowość nie tylko francuską, ale wogóle europejską, a nawet amerykańską.

Dziełko, które pojawiło się w r. 1808 jakoby w Lipsku, nosiło tytuł: „Théorie des quatre mouvemens et des déstinées générales. Prospectus et annonce de la découverte.“ (Teorya czterech ruchów i przeznaczeń ogólnych. Prospekt i zapowiedź odkrycia). Autor tego dziełka, Karol Fourier, miał wówczas lat 36. Saint-Simon, ogłaszając pierwsze swe dziełko, miał lat 43.

Wogóle, przeprowadzając paralelę pomiędzy Saint-Simonem a Fourier'em, spostrzegamy pewne analogiczne wypadki w ich życiu i w historyi ich wpływu, jakotéż pewne spólne rysy w ich twórczości i dążeniu.

---

(1) Niewyraźny zarys pomysłów Fourier'a przedstawia już jego artykuł: „Harmonie universelle“, umieszczony w *Bulletin de Lyon* (w grudniu 1803 r.).

Franciszek Marya Karol Fourier urodził się w Besançonie w 1772 r. Będąc synem bogatego kupca, miał już z góry wyznaczony zawód, chociaż — jak sam powiada — nigdy nie czuł popędu do handlu. Uczniowie jego opowiadają nawet, że siedmioletnim jeszcze chłopcem, jak Hannibal, zaprzysiągł śmiertelną walkę kupiectwu. Wyobraźnię jego pociągały odległe podróże i odkrycia geograficzne. Prawdopodobnie z tego powodu, po ukończeniu szkół średnich, objawiał chęć wejścia do służby wojskowéj, ale ulegając woli rodziców, został komiwojażerem, i w tym charakterze jeździł po Francyi, był w Niemczech i w Holandyi. Następnie zaczął prowadzić na własną rękę handel produktami kolonialnemi. W czasie wielkiéj rewolucyi nie widzimy w nim, pomimo młodych jego lat, żadnego wrzenia rewolucyjnego: przeciwnie, w 1793 r. znajdujemy go w szeregach reakcyjnych, które stawiały opór oblegającemu Lion wojsku konwencyi narodowéj. Fourier przypłacił to utratą prawie całego swego mienia i więzieniem, które o mało nie zaprowadziło go pod gilotynę. Późniéj jeszcze raz dostał się do więzienia w Besançonie, i kiedy ogłoszono ojczyznę w niebezpieczeństwie, musiał wraz z młodzieżą swego wieku iść do wojska, gdzie przez dwa lata służył w kawaleryi. Przymusowa ta służba zniechęciła go do zawodu wojskowego, a gwałty rewolucyjne pozostawiły w nim niechętne wspomnienie o rewolucyi. Uwolniwszy się od wojska, znowu, aczkolwiek niechętnie, wrócił do kupiectwa i jako subiekt handlowy, korespondent i buchalter zarabiał sobie na życie z początku w Marsylii, następnie przez długi czas w Lionie, wreszcie od r. 1826 w Paryżu, gdzie umarł 10 października 1837 r.

Zarobek Fourier'a, uważanego przez pryncypałów za niezdatnego do handlu, był mały. Musiał więc żyć bardzo oszczędnie i skromnie. Przytém nie znajdując żadnéj przyjemności w pospolitych uciechach swych zawodowych towarzyszów, a nie mając innego odpowiedniego dla siebie towarzystwa, przyzwyczaił się do samotnego przepędzania czasu. Lubił muzykę, wiele czytał i wiele uczył się, chociaż nie mając kogo się poradzić i z kim podzielić myślami, nie miał ani potrzebnéj często wskazówki, ani jeszcze potrzebniejszéj krytyki. W tym względzie Saint-Simon był o wiele szczęśliwszy. Czując pociąg do literatury: Fourier próbował pisać wierszyki i artykuły polityczne, które drukowano w pismach liońskich. Wyobraźnia w jego twórczości, tak samo jak w twórczości Saint-Simona, była potężnym czynnikiem. Kiedy jednak Saint-Simon miarkował jéj rozpędy wyrobioną naukową metodą, Fourier dawał się jéj zupełnie unosić i wytwarzał swój własny świat, mało się troszcząc o jego zgodność z rzeczywistym. Kiedy Saint-Simon staje na progu

od utopii do nauki, Fourier jest jeszcze zupełnym utopistą. Krytycy jego nie bez słuszności dawali mu nazwę magika.

Jak w mniemaniu Saint-Simona, tak i Fourier'a, prawo grawitacyi Newtona powinno było stać się kluczem do wyjaśnienia wszystkich zjawisk na ziemi. I jeden i drugi głosili jedność prawa, działającego tak w świecie materyalnym, jak duchowym. Kiedy jednak dla Saint-Simona jedność ta była skutkiem tego tylko, że wszystkie zjawiska mają w gruncie jednę naturę i różnią się pomiędzy sobą tylko stopniem skomplikowania; Fourier przypuszczał jedność systemu ruchu, tak dla świata materyalnego, jak duchowego, ale uważał, że natura ich jest różna i odrębna. Saint-Simon — powiedzielibyśmy — był monistą, Fourier zaś dualistą, a nawet trialistą. Oto co on sam mówi: „Przyroda składa się z trzech zasad wiecznych, niestworzonych i niespożytych: 1) *Boga czyli ducha*, zasady czynnéj i poruszającéj; 2) *materyi*, zasady biernéj, poruszanéj; 3) *sprawiedliwości czyli matematyki*, zasady regulującéj ruch" (1). Saint-Simon twierdząc, że na podstawie prawa Newtona, możemy wyjaśnić sobie wszystkie zjawiska na świecie, był tego zdania, że coraz dokładniejsza znajomość prostszych zjawisk musi prowadzić do lepszego zrozumienia więcéj skomplikowanych. Fourier zaś upatrywał raczéj podobieństwo, analogią pomiędzy dwiema kategoryami zjawisk, która wynikała z jedności zasady regulującéj ruch. Wiedza stopniowana nie była dla niego koniecznym warunkiem. Zdaniem jego, można dojść do zrozumienia zjawisk społecznych samym instynktem (2).

Mówi on, że posiłkową jego metodą było bezwzględne powątpiewanie, lecz właściwie powątpiewanie to stosował do innych, nie zaś do siebie. Przeciwnie, bezwzględna pewność panuje w jego słowach. W pierwszém już dziełku zaznacza swoje odkrycia i drogę, jaką doszedł do niéj. Zaczął od tego, że rozróżnił cztery ruchy: społeczny, zwierzęcy, organiczny i materyalny (3). Newton i Leibnic wykryli prawo ruchu materyalnego. On wykrył prawo ruchu społecznego: *przyciąganie popędowe* (*attraction passionnée*) (4). Drugiém takiém odkryciem było, że istnieje zupełna zgodność pomiędzy prawami przyciągania popędowego i prawami przyciągania materyal-

---

(1) Théorie des quatre mouvemens (str. 50, w przypisku).

(2) „La théorie sociétaire est donc une géometrie passionelle; mais c'est un calcul que l'on comprend par instinct, même sans en etudier la partie scientifique." Str. 154. Oeuvres complétes de Charles Fourier. Tome Deuxième. Théorie de l'Unité Universelle. Premier Volume. Deuxième Edition. Paris. MDCCCXLIII.

(3) Podział ten Fourier zmodyfikował nieco następnie i przypuszczał pięć ruchów: materyalny, aromalny, organiczny, instynktowy i społeczny, czyli popędowy.

(4) Théorie des quatre mouvemens (str. 20).

nego, oraz że istnieje jedność systemu ruchu dla świata materyalnego i duchowego (1).. To przyprowadziło go do przekonania, że istnieje analogia pomiędzy czterema ruchami: materyalnym, organicznym, zwierzęcym i społecznym, czyli analogia pomiędzy modyfikacyami materyi i teoryą matematyczną popędów człowieka i zwierząt (2). Idąc po téj drodze dedukcyjnéj, z całą pewnością nieomylności swojéj stwarzał własną astronomią i geologią i przepowiadał, że pod Warszawą będziemy mieli gaje pomarańczowe, jakie dzisiaj widzimy dokoła Lizbony. *

Przez długi czas Fourier spotykał tylko obojętność dla swojéj teoryi. Dopiéro w r. 1814 Justus Muiron, były prefekt za czasów cesarstwa, zwrócił uwagę na jego pomysły społeczne i, zawiązawszy z nim przyjacielskie stosunki, stał się gorliwym jego zwolennikiem i szczerym doradzcą, wskazując mu często wadliwe strony jego rozumowania i pisarskiéj działalności.

W roku 1821 Fourier dowiedział się o powodzeniu organizacyi owenowskiéj w New-Lanarcku. Prawdopodobnie obudziło to w nim nadzieję, że pomysły jego, poparte niejako praktycznym przykładem, znajdą większe uznanie. W r. 1822 ogłosił więc drukiem *Traité de l'association domestique - agricole.* W tém dziele, które — można powiedziéć — jest najważniejszym z jego utworów, rozwinął on swoje pomysły o pracy stowarzyszonéj, stanowisku kobiéty, falandze, falansterze i t. d. Kiedy następnie szkoła saint-simonistowska podnosiła wielkie znaczenie przemysłu, Fourier znowu przypomniał swoje pomysły w *Nouveau monde industriel* (1829 r.), które to dzieło jest niejako streszczeniem poprzedniego. Z początku łudził się on, że Owen i saint-simoniści przyjmą w zupełności jego pomysły, kiedy jednak ci zawiedli jego oczekiwanie, ogłosił ich szarlatanami i zwodzicielami (3).

Pictet, znany uczony genewski, mówiąc o jednéin z dzieł Fourier'a, wyraził się, że napisane przez kogo innego mogłoby się stać użyteczném. Istotnie, trzeba było być z góry pewnym, że w dziele Fourier'a znajdują się ważne pomysły, ażeby nie dać się odstraszyć fantastycznemi jego rojeniami i nieustannėm odbieganiem od właściwego przedmiotu. Z trzech grubych tomów jego: *Traité de l'association domestique - agricole*, można przy czytaniu bez wielkiéj szkody pominąć zupełnie pierwszy tom, a nawet w znacznéj części drugi, albowiem opis właściwéj organizacyi, którą propagował autor, znaj-

---

(1) Théorie des quatre mouvemens (str. 21).
(2) Tamże.
(3) Pièges et charlatanisme des deux sectes de Saint-Simon et d'Owen (1831).

duje się dopiéro w trzecim tomie. Dla rozpowszechnienia teoryi Fourier'a, koniecznėm było, ażeby pojawili się jéj tłómacze, którzyby ją uprościli i uporządkowali. Takim tłómaczem był Muiron, a nadewszystko Juliusz Lechevalier, który—można powiedzieć—dał poznać Fourier'a publiczności i położył kamień węgielny pod budowę jego szkoły. Lechevalier był poprzednio gorliwym saint-simonistą, lecz kiedy rozpoczęły się namiętne spory o religii i kapłaństwie, zerwał z Enfantin'em, nie zgadzając się na despotyzm kapłański, aczkolwiek moralny i opierający się tylko na dobréj woli. Ucieszył się więc bardzo, kiedy w dziełach Fourier'a odnalazł zasady saint-simonistowskie, ale bez teoryi kapłaństwa i z pozostawieniem człowiekowi jak największéj wolności we wszystkiém. Abel Transon także z saint-simonisty został furyerzystą. Najcenniejszym jednak nabytkiem formującéj się szkoły falansterskiéj był Wiktor Considérant, późniejszy filar furyeryzmu. W miarę wzrostu liczebnego szkoły, wzrastała propaganda. W r. 1832 zaczęło wychodzić pisemko *le Phalanstère*. Urządzono także wykłady publiczne i misye. Propaganda wywierała swój skutek, i dwaj zjednani wyznawcy furyeryzmu, deputowany Dulary i lekarz Devais, obaj właściciele w Condé-sur-Vesgre, dostarczyli potrzebnych środków do zorganizowania kolonii podług pomysłu Fourier'a. Organizacya jednak — niewiadomo dla jakich powodów—nie przyszła do skutku. Sam Fourier przytém nie okazywał dla tego przedsięwzięcia żadnego zapału, nie mogąc się zgodzić z byłemi saint-simonistami, którzy—zdaniem jego—czynili wielkie ustępstwa cywilizacyi, t. j. temu stopniowi rozwoju, na którym ludzkość — podług jego teoryi—znajduje się jeszcze, a z którego należy dążyć do „garantyzmu“, czyli stowarzyszenia połowicznego (1).

Nowy zwrot w furyeryzmie, który mu zjednał licznych adeptów, ropoczął się na rok przed śmiercią Fourier'a. W roku 1836 zaczęła wychodzić *la Phalange* pod głównėm kierownictwem Considérant'a. Dzięki to jemu głównie, furyeryzm przyjął wielkie rozmiary i zaczął wywierać wpływ rozległy. Fourier jednak już się tego nie doczekał. Od roku 1799, kiedy zrobił „wielkie odkrycie przyciąga-

(1) Ruch społeczny na ziemi — podług Fourier'a — ma przejść cztery fazy: dzieciństwo, dojrzałość wzrastającą i przekwitającą, wreszcie starość, która skończy się śmiercią. My znajdujemy się jeszcze w dzieciństwie. Dzieciństwo ma 8 okresów: 1) raj ziemski, stowarzyszenie zwierzęce, 2) stan dziki, 3) patryarchat, 4) barbarzyństwo, 5) cywilizacya, 6) garantyzm, czyli połowiczne stowarzyszenie, 7) pełne stowarzyszenie w sposób prosty i 8) pełne stowarzyszenie w sposób złożony. W *Nouveau Monde* po garantyzmie następuje jako wyższy stopień: socyantyzm. Po dzieciństwie przyjdą okresy „harmonijne“, w których otoczenie ziemi, ona sama, jéj klimat, roślinność i t. d. zupełnie i cudownie się odmienią.

nia popędowego", odkrycie, które — jego zdaniem — przewyższało wszystkie dotąd uczynione, spodziewał się on nieustannie, że przecież muszą się znaleść ludzie, którzy zechcą wypróbować jego pomysły i stać się w ten sposób dobroczyńcami ludzkości. Odwoływał się więc do rządów, do właścicieli wielkich, jakiemi byli książęta Orleańscy, książęta Devonshire, Szeremietiewy, Czartoryscy, do kapitalistów i przemysłowców, do wszystkich stronnictw, do Owena i saint-simonistów. Błagał o zrobienie próby. Niechby się tylko odbyła pierwsza próba, a sprawa — zdaniem jego — byłaby wygrana, i świat byłby uszczęśliwiony. — Nie chcę naruszać niczyich interesów, nie chcę gniewać nikogo, nie chcę nic burzyć—zapewniał Fourier. — Pan, co studyujesz skłonności ludzkie, gdzieś pan widział — zapytywał go Enfantin w liście prywatnym—takich ludzi, co mając interes w podtrzymywaniu *barbarzyństwa cywilizowanego*, nie uczuliby silnego gniewu, gdyby ich przekonano, że niecnie postępują? Pan rozgniewałeś się na Owena i zaczynasz gniewać się na saint-simonistów, bo — zdaniem pańskiém — popełniają oni błędy. Jeżeli *prawda*, którą pan reprezentujesz, może doznawać przeciwko *błędowi* takiego uczucia, jakie pan objawiasz przeciwko Owenowi, to cóż w takim razie uczuwać będzie błąd przeciwko prawdzie?

Jeden z wyznawców Fourier'a, Edward de Pompéry, tak opisuje swego mistrza. Fourier był wzrostu mniéj niż średniego, twarz miał wyrazistą, czoło rozwinięte, oczy błękitne, szerokie, żywe. Wyraz twarzy był poważny i surowy, czasem nacechowany goryczą. Żył zawsze samotnie i okazywał wielką niepodległość (1). „Znałem Fourier'a — powiada Proudhon — miał głowę średnią, ramiona i pierś szerokie, nerwowość w ciele, skronie ściśnięte, umysłowość mierną i pewien wyraz entuzyazmu na twarzy, co mu dawało wygląd dyletanta w ekstazie. Nic nie okazywało w nim człowieka genialnego, ani téż szarlatana" (2). „Nigdy, mniemam—powiada Considérant — nie widziano czegoś podobnego, ażeby człowiek tak prosty, tak dobry, tak towarzyski, tak łatwy i otwarty, podobny do wszystkich w życiu codziennéim, był równocześnie tak pozbawiony przesądów swego wieku, tak obwarowany w swych namiętnościach i pomysłach, tak odosobniony, słowem zupełnie samodzielny w rozległéj dziedzinie myśli, tak absolutnie samoistny w głębogiéj samotności swego geniuszu (3).

---

(1) Exposition de la Science Sociale (str. 73).
(2) De la création de l'ordre dans l'humanité. Nouv. édit. Paris 1873. (Str. 122).
(3) Le socialisme devant le vieux monde, ou le vivant devant les morts. Paris. MDCCCXLVIII. (Str. 37 i 38).

## II.

Metafizyczność poglądów Fourier'a.—*Stowarzyszenie* jako narzędzie wytwórcze.—Popędy i ich klasyfikacya. — Serye popędowe.— Główne warunki funkcyonowania dobrego mechanizmu stowarzyszonego : przyciąganie industryalne, podział proporcyonalny, równowaga ludnościowa i ekonomia środków.—Współzawodnictwo.— Kwestya używania przyjemności.—Falanga.—Falanster.—Spożycie i wytwarzanie stowarzyszone.—Rachunki.—Obraz przyszłéj szczęśliwości. — Stosunki płciowe. — Wychowanie dzieci. — Socyalizm Fourier'a.—Zdanie jego o Owenie i religijności.

Teologia i filozofia w mniemaniu Fourier'a były to dwie megery, które przeszkadzały ludziom przez 2500 lat poznać prawdę, wiodącą do uszczęśliwienia ludzkości. Mniemanie to jednak nie przeszkadzało jemu samemu wkraczać w dziedzinę teologii i filozofii i na skrzydłach swéj wyobraźni bujać w niéj swobodnie. W tych polotach fantastycznych błyska nieraz myśl genialna, którą późniejsza nauka zdaje się stwierdzać coraz liczniejszemi faktami. Taką np. jest myśl, że w świecie wszystko żyje i że wszędzie przejawia się byt towarzyski jako skutek wzajemnego przyciągania. Ruch społeczny—podług Fourier'a—jest ruchem osiowym, typem czterech innych ruchów. Z tego powodu musi panować analogia we wszystkich objawach wszechświata. Fourier, popuściwszy cugle swéj wyobraźni, upatrywał analogią pomiędzy kogutami i kaczorami z jednéj strony, a mężami z drugiéj, pomiędzy rodziną rzepy i wielką rodziną rolniczą itp.

Objawia on popędy do poglądu pozytywnego, jest jednak w gruncie na wskróś metafizykiem. Ludzkość—zdaniem jego—ma przebiedz drogę życia, zgodną z porządkiem powszechnym przyrody. Rozpoczyna od dzieciństwa, skończy na starości. *Cywilizacya* jest to okres środkowy w dzieciństwie. Ludzkość musiała przejść przez ten okres. Zdawałoby się więc, że chociażby z tego tylko powodu Fourier powinien uznać prawowitość czasową cywilizacyi; tém bardziéj że takie uznanie wcale nie przeszkadza temu, ażebyśmy się starali przyśpieszyć wejście do okresu doskonalszego. Tymczasem czytając dzieła naszego autora, często się wydaje, jakoby on uważał, że ludzkość niepotrzebnie tyle lat zmarnowała w cywilizacyi, i że od jéj dobréj woli zależało przeskoczyć odrazu ten okres swego rozwoju. Mniemał naprzykład, że można na wpół barbarzyńskich, lub zupełnie barbarzyńskich Afrykanów usposobić w przeciągu pięciu lat do wyższego porządku industryalnego. „Jeżeli—mówi on—próba fundacyi będzie zrobiona w r. 1822, to można zapewnić, że w r. 1827 podróżnicy będą przebiegać wewnętrzną Afrykę zupełnie bezpiecznie i będą tam znajdować wszędzie narody gościnniejsze od cywilizowa-

nych, ludzi gościnnych aż do podziału sakiewką" (1). Pomińmy więc filozoficzne poglądy Fourier'a i zajmijmy się tém, co stanowi istotną jego zasługę, tj. jego pomysłu organizacyi społecznéj.

Fourier jako kupiec, pomimo niechęci dla swego zawodu i pomimo swéj bujnéj wyobraźni, przyzwyczaił się wcześnie rachować i obliczać zyski (2). Widział dobrze, ile się traci na tém, że każdy prowadzi gospodarstwo na własną rękę. Pojmował także, jaką korzyść przynosi łączenie kapitałów w jedno przedsiębiorstwo. Był to właśnie czas, kiedy zawiązywały się kompanie dla przedsiębiorstw olbrzymich i niezawsze pewnych, jak oświetlania gazem, kopania kanałów itd. Myśl, że stowarzyszenie może przyczynić się potężnie do rozwoju produkcyi, nurtowała w wielu umysłach. Wiemy o tém od samego Fourier'a. Wspomina on po kilkakroć Cadet'a de Vaux, który jeszcze w 1804 i w 1805 r. wykazywał w dziennikach olbrzymie zyski, jakie dałyby się osiągnąć z połączenia średnich i małych gospodarstw jakiego tysiąca rolników. Wspomina także w tym przedmiocie dzieła inżeniera Dutens'a i hrabiego de Laborde'a. Powiada, że sam rząd francuzki starał się rozpowszechniać przekonania o korzyściach stowarzyszeń przemysłowych, jak to widać z tego, że rozesłał dzieło Dutens'a do wszystkich prefektur z poleceniem, aby upowszechniono zawarte w niém zasady. Stowarzyszenie jest potężném narzędziem produkcyjném. Dla Fourier'a jest to rzecz niewątpliwa. Nie chodzi mu więc o to, ażeby uzasadnić twierdzenie powyższe, lecz o to, ażeby usunąć niedogodności, napotykane w zwykłych stowarzyszeniach i przyczyniające się do utrudnienia ich rozwoju, lub nawet do ich rozprzęgania, a w ten sposób uczynić same stowarzyszenie mocném i ponętném. „Zawsze domyślano się—powiada Fourier—że wynikłyby stąd zyski nie dające się obliczyć, gdyby się udało połączyć w stowarzyszenie, tak pod względem prac domowych, jak rolnych, od 200 do 300 rodzin, które składają wieś jednę; gdyby wynagradzano każdego stowarzyszonego w stosunku do jego kapitału, pracy i zdolności; gdyby dało się pogodzić nierówności majątków i charakterów, a przedewszystkiém zapobiedz kradzieży, która stanowi główną zawadę do ustroju stowarzyszonego. Ale trzeba, mówią, ażeby *ludzie stali się aniołami*, *ażeby nie mieli żadnych popędów. Odmieńcież popędy* !" (3).

---

(1) Oeuvres complètes de Fourier. Paris. MDCCCXLI. Tome Troisième. str. 65.

(2) Nawyknienia buchalteryjne przejawiają się w jego pismach w robieniu skróceń, w używaniu pewnych znaków, w szukaniu bilansu itd.

(3) T. II. Str. 9. Fourier używa wyrazu: *passions*, a więc mógłbym tłómaczyć: namiętności, żądze, skłonności, popędy. Wybrałem wyraz: *popędy* jako najwięcej odpowiadający temu, co Fourier chciał wyrazić. Oparłem się wreszcie w tym względzie na po-

Czyż na prawdę popędy są złem dla ludzkości? Czémże człowiek byłby bez nich? Czyż nie popędy to pociągają ludzi ku sobie i stają się podstawą porządku towarzyskiego? Tak!—z całą stanowczością odpowiada na to Fourier. Popędy to objaw ciążenia w świecie ludzkim. To jest moje ważne odkrycie—powiada. Bez popędów, bez żądz nie istniałby świat towarzyski. Nie popędy są złém, lecz nienormalne, nieprawidłowe ich łączenie. Chodzi więc o to głównie, ażeby tak uporządkować i skojarzyć z sobą popędy, iżby nadały one porządkowi towarzyskiemu urok ponętny, który stałby się potężném wiązadłem ludzi między sobą.

Jakież to są te popędy? Jest ich mnóstwo. Wyobraźmy sobie pień, z którego wychodzą trzy grube gałęzie, z tych gałęzi wychodzi 12 mniejszych, z tych ostatnich 32 gałęzie jeszcze mniejsze itd. Pniem jest popęd do jedności (*unitéisme*); trzema pierwszemi gałęziami : popędy do rozkoszy, grupowania się i porządkowania, czyli formowania seryi; z tych gałęzi wychodzi 12 mniejszych : pięć zmysłowych (widzenie, slyszenie, powonienie, smak i dotykanie), cztery uczuciowe (przyjaźń, miłość, ambicya, popęd do utworzenia rodziny) i trzy umysłowe (popęd kabalistyczny, czyli popęd do waśni, motylkowy—*passion papillone*—czyli popęd do zmian i złożony—*passion composite*—czyli popęd do zgody). Psychologiczna ta klasyfikacya Fourier'a nie wytrzymuje krytyki; nie jest ona oparta na genetycznym rozwoju, przejawiających się w człowieku, popędów i żądz, ale jest dowolném uporządkowaniem różnych i to nie wszystkich, objawów psychicznych życia ludzkiego. Niektóre popędy nader ważne, jak np. popęd do wiedzy, nie dają się odnieść do żadnéj z zasadniczych jego kategoryi. Klasyfikacya jednak nie jest tu rzeczą najważniejszą. Chodzi przeważnie o to, że ludzie mają rozmaite temperamenty, charaktery, usposobienia, żądze, popędy, które albo się wzajemnie pobudzają, wspierają, albo téż sobie zawadzają, wzajemnie się tłumią i niszczą. Należy więc uporządkować grupy ludzkie ażeby znajdującym się w nich jednostkom było dobrze i swobodnie, ażeby w swéj czynności czuły się pobudzone i wspierane. Uczynić to mogą jedynie *serye popędowe* (*les séries passionelles*). One to dadzą trwałość, moc, wydajność stowarzyszeniu. „Teorya stowarzyszenia ograniczy się więc na formowaniu i mechanizowaniu seryi popędowych“ (1). „Świat społeczny na żadnéj planecie nie może ani dojść

---

wadze Considérant'a. „Par ce terme *Passions*—powiada on—Fourier entend exclusivement *les penchants constitutifs des Etres*, ou les ressorts inhérents à leur nature même et caractérisant leur titre de vie.“

(1) T. III. Paris, 1841. Str. 22.

do jedności, ani wznieść się do szczęśliwszego przeznaczenia, dopóki nie zostanie odkryty ten mechanizm seryi popędowych, którego szukanie jest główném zadaniem geniuszu. Inne umiejętności, nawet najściślejsze, jak matematyka, są dla nas tylko czczem światłem, dopóki nie posiadamy wiedzy o mechanizmie stowarzyszonym, z którego by powstały bogactwa, jedność i szczęście" (1).

W jakiż sposób dadzą się formować serye popędowe? Potrzebna jest przedewszystkiém znaczna liczba stowarzyszonych, ani za mała, ani za wielka, od 400 do 1800 osób. Mężczyzni powinni być w stosunku do kobiet, jak 21 do 20, tj. „w stosunku ustanowionym przez przyrodę w równowadze urodzin" (2). Wówczas swobodnie będą mogły łączyć się z sobą odpowiednie charaktery, powołania, upodobania. W porządku wyższym od dzisiejszego, harmonijnym. da się to łatwo uskutecznić. Tam każdy będzie miał swój charakter uwidoczniony albo w medalu, albo w naramienniku, albo w jakim innym znaku zewnętrznym, „w przeciwieństwie do zwyczajów cywilizowanych, gdzie tylu ludzi ukrywa swój charakter" (3). Wychowanie od najmłodszych lat będzie się starało wykryć w każdém dziecku właściwe jego powołanie. Swoboda przechodzenia z grupy do grupy pozwoli każdemu wybierać towarzystwo i zajęcie, zgodne z jego upodobaniem. Najprzód potworzą się małe grupy, a następnie połączą się one w seryą popędową, która wymaga istnienia przynajmniéj trzech grup. Z tego wszystkiego możemy przyjść do tego wniosku, że główną podstawą seryi popędowéj jest zupełna swoboda wzajemnego grupowania się ludzi z sobą. Serye popędowe dadzą możność spełnienia czterech głównych warunków należytego funkcyonowania mechanizmu stowarzyszonego: przyciągania przemysłowego, podziału proporcyonalnego, równowagi ludnościowéj i ekonomii czynników społecznych.

Przyciąganie przemysłowe (*attraction industrielle*)—jest to taka organizacya pracy, w któréj ta ostatnia staje się przyjemnością, niemal zabawą. Wymaga ona spełnienia siedmiu następujących warunków: „1° ażeby każdy robotnik był stowarzyszonym, wynagradzanym dywidendą, a nie najemnikiem; 2° ażeby każdy—mężczyzna, kobieta i dziecko—był wynagradzany odpowiednio do trzech czynników: kapitału, pracy i talentu (właściwie—wiedzy); 3° ażeby w godzinach pracy następowała przerwa w ciągu dnia ośm razy, albowiem w czynności rolniczéj, lub rękodzielniczéj zapał nie może

(1) Ibid. Str. 18 i 19.

(2) T. IV. Paris. MDCCCXLI. Str. 442.

(3) IV. Str. 371.

podtrzymywać się dłużéj nad półtoréj, lub dwie godziny; 4° ażeby pracę wykonywały towarzystwa, złożone dobrowolnie z przyjaciół, intrygowane i pobudzane przez bardzo czynne współzawodnictwo; 5° ażeby warsztat i uprawa nęciły robotnika swoją elegancyą i czystością; 6° ażeby podział pracy był doprowadzony do najwyższego stopnia, dając przez to możność każdéj płci i każdemu wiekowi zajmować się z zamiłowaniem tą pracą, która jest najstosowniejszą dla nich; 7° ażeby w tym podziale pracy wszyscy, mężczyźni, kobiety i dzieci, używali w zupełności prawa do pracy, czyli prawa zajęcia się w każdym czasie tą gałęzią pracy, którą sami wybiorą, jeżeli wykażą uczciwość i zdolność" (1).

Podział proporcyonalny korzyści osiągniętych ma się odbywać w oznaczonym stosunku do pracy, kapitału i wiedzy (2): praca ma otrzymywać największą część—$5/12$, następnie kapitał—$4/12$, wreszcie wiedza—$3/12$.

Mówiąc o równowadze ludnościowéj, autor gani ekonomistów za to, że usuwają tę kwestyą, i uważa, iż jedynemi pisarzami, co zasługują w tym względzie na uwagę, są: Stewart, Wallace i Malthus (3). „Człowiek społeczny—zdaniem Fourier'a—poniża się do roli owadów, tworząc mrowiska dzieci, zmuszone pożerać się wzajemnie wskutek nadmiaru liczebnego; ludzie nie będą zjadać się cieleśnie, jak owady, ryby, zwierzęta dzikie, lecz pożerają się politycznie za pomocą łupiestwa, wojny i podstępów doskonalącéj się cywilizacyi" (4). Fourier'a wcale nie gorszy ostrożność zapobiegawcza; mniema on nawet, że żona bywa przeciwna téj zapobiegawczości jedynie dla tego, ażeby mogła w danym wypadku uprawnić potomstwo kochanka (5). Zdaniem jego, rodzenie dzieci powinno być ograni-

---

(1) III. Str. 15.

(2) IV. Str. 445. W tém miejscu Fourier wyraźnie powiada: „aux connaissances théoriques et pratiques."

(3) Str. 325. Tome Sixième. Le Nouveau Monde industriel et sociétaire. Paris. 1870. „Grupa rodziny—powiada Fourier—pobudza do industryi (pracy) strachem tylko głodu; ukryta tajemnica polityków cywilizowanych zawiera się w tém, ażeby pobudzać lud do zawierania małżeństw i rodzenia, a to w tym celu, ażeby pracował dla zabezpieczenia bytu rodzinie. Bodziec taki jest przyciąganiem przewrotném (subversive) a nie harmonijném, czyli opartém na uroku saméj pracy. Ażeby ukryć tę prawdę tą złą stronę cywilizacyi, politycy buntują się chórem przeciwko tym, co jak Stewart i Malthus spostrzegają niebezpieczeństwo nadmiaru ludności i otwarcie wskazują na to błędne koło, które dąży tylko do mnożenia żebraków, podsycania zarodków rewolucyi i dostarczania zdobywcy mięsa działowego (de la viande à canon)". IV. Str. 341. Warto przeczytać także, co mówi na str. 106, IV.

(4) T. VI. Str. 328.

(5) IV. Str. 106.

czone. Przyszły porządek harmonijny sam do tego przyczyniać się będzie, albowiem wówczas kobiety będą silniejsze, które —zdaniem Fouriér'a — są mniéj płodne, stół będzie bardziéj wyszukany i obfity obyczaje płciowe (nazywane przez autora *phanérogames*) będą temu sprzyjać, wreszcie wszystkie organy cielesne odbywać będą częstą i zmienną czynność (*exercice intégral*).

Ekonomia czynników, czyli sprężyn społecznych (*économie des ressorts*) polega na tém, ażeby usunąć wszelkiego rodzaju pasorzytnictwo i postawić każdą osobę w takiém położeniu, ażeby praca jéj była jak najbardziéj produkcyjna. Fourier podaje tablicę czynników pasorzytniczych tj. wcale nieprodukcyjnych lub mało produkcyjnych, które napotykamy w cywilizacyi. Dzieli on je na trzy kategorye: 1) pasorzytów domowych: kobiety, dzieci, sługi; 2) pasorzytów społecznych: armie, poborcy podatków, rzemiosła, handel, przewóz; pasorzytów dodatkowych: bezrobocie, sofiści, próżniacy, odstępcy (*scissionnaires*). Fourier zalicza kobiety i sługi do kategoryi pasorzytniczéj dla tego, że w dzisiejszym ustroju zużywają one swą pracę na czynności drobiazgowe, które w ustroju stowarzyszonym możnaby spełniać za pomocą znacznie mniejszéj liczby osób, aniżeli dzisiaj. Dla tegoż samego powodu rzemiosła uznał za formę pasorzytniczą. Kupiectwo, którego wadliwe i ujemne strony Fourier wytknął znakomicie, zdaniem jego—jest pasorzytnicze w dziewięciu dziesiątych swego składu. Jest to obłęd, że handel należy do prywatnéj dziedziny (1). Przewóz, zarówno lądowy jak morski, gdyby był dobrze zorganizowany, nie wymagałby więcéj nad trzecią część dzisiejszego swego personelu. Do działu odstępców tj. „ludzi znajdujących się w otwartym rokoszu przeciwko pracy, obyczajom i zwyczajom“ (2), Fourier zalicza : utrzymujących loterye i domy gry, oszustów wszelkiego rodzaju, kobiety publiczne, ludzi bez stałego zawodu, żebraków, złodziejów, rozbójników itd. i wreszcie żandarmeryą i policyą, która wzrasta w stosunku prostym do liczby reszty odstępców.

Dobra organizacya seryi popędowych pozwoli zużytkować wszystkie żądze ku pożytkowi ogólnemu i przeszkodzi wzajemnemu ich ścieraniu się. Współzawodnictwa i niechęci osobiste utoną w seryach przez grupowanie się naturalne; współzawodnictwa i niechęci kolektywne zneutralizują się przez zgodność i życzliwość pa-

---

(1) „Wyprowadzona w pole sofizmami wolności, administracya pozwoliła wyzuć się z najpiękniejszéj części swéj dziedziny: pozostawia ona handel osobom prywatnym, współzawodniczącemu szachrajstwu, łgarskiéj i skomplikowanéj anarchii.“ Str. 4[illegible] Nouv. Mond.—(2) IV. Str. 178.

nującą w grupach. Samo współzawodnictwo przybierze inny charakter. Interes osobisty da się najzupełniéj zjednoczyć z interesem społecznym, który stanie się busolą pierwszego. Fourier oświadcza się stanowczo przeciwko wszystkim moralistom, którzy zalecają umartwienie ciała, powściąganie żądz swoich, pochwalają ubóstwo i wstrzemięźliwość wszelkiego rodzaju. Epikureizm rozsądny—zdaniem jego—jest najwłaściwszy dla ludzi. Dla czego mieliby oni wyrzekać się tego, co sprawia im przyjemność?! Nie powinni tylko używania przyjemności posuwać do szkodzenia innym, lub samym sobie. Właśnie organizacya seryi popędowych uczyni używanie to równomierném i wzajemném, a częsta zmiana licznych przyjemności zapobiegnie nadużyciom i korzystna będzie dla zdrowia. Dla czego człowiek nie ma jeść smacznie, jeżeli dzieje się to bez własnéj i cudzéj krzywdy? Fourier mniema, że w przyszłym ustroju będą mało jeść chleba, a za to wiele owoców. Nie wierzy w to, aby ludzie, pijąc wodę tylko, żyli dłużéj, aniżeli wówczas, kiedy piją wino, lub limonadę. Powściąganie się w miłości cielesnéj bywa pożyteczne, wszelako do pewnego tylko stopnia. Nie unikać więc przyjemności należy, ale używać ich umiarkowanie i bez krzywdy cudzéj. Zdaniem autora, Bentham najwięcéj się zbliżył do dobrego zrozumienia, na czém polega szczęście ludzkie, stawiając człowiekowi za cel rzeczywistość, nie zaś złudzenia. W porządku harmonijnym przyjemności będą bardzo liczne, tam prawie każda praca stanowić będzie przyjemność, i najuboższy człowiek używać będzie nieustannie mnóstwa rozmaitych uciech.

To są ogólne zasady, które realizuje Fourier w falandze i w falansterze, idąc w ślady dawniejszych marzycieli o szczęściu ogólném. Falanga jestto stowarzyszenie, mające od 1500 do 1600 osób i zajmujące przestrzeni przeszło milę kwadratową. Praca rolnicza, która jest więcéj ponętną od pracy przemysłowéj, zawsze przeważną ma odgrywać w niéj rolę. Do falangi mogą należéć ludzie rozmaitego mienia i zawodu, tak jednak ażeby zachodziło pewne stopniowanie w majętności członków, i ażeby do zawodu rolniczo-przemysłowego należało co najmniéj 7/8 członków, jednę zaś ósmą tylko mogą stanowić kapitaliści, uczeni i artyści. Wartość całego majątku falangi, który nie może być dzielony, ma być obliczona i przedstawiona w akcyach, które można odstępować i sprzedawać. Akcyonaryusz może nie być stowarzyszonym, i odwrotnie stowarzyszony może nie być akcyonaryuszem. Stowarzyszone wytwarzanie i spożycie dadzą możność poczynić ogromne oszczędności. „Nie można sobie wyobrazić—powiada Fourier—zrzeszeń mniejszych, bardziéj nieekonomicznych, bardziéj niestowarzyszonych, jak nasze wioski, podzielone

na stadła małżeńskie, czyli rodziny, złożone z pięciu do sześciu osób; wioski, w których buduje się trzysta śpichrzów, trzysta piwnic, najgorzéj umieszczonych i opatrywanych, kiedy tymczasem w stowarzyszeniu wystarczyłyby jeden śpichrz i jedna piwnica, dobrze umieszczone, dobrze zaopatrzone we wszystko i wymagające zaledwie dziesiątéj części téj pracy, która zużywa się w rozdrobnioném gospodarstwie czyli porządku rodzinnym" (1). W przyszłym ustroju, zamiast oddzielnych gospodarstw domowych i oddzielnych domów, stanie dla każdéj falangi jeden wielki pałac, falanster, urządzony jak najdogodniéj i najwspanialéj, połączony galeryami krytemi z zabudowaniami rolniczemi i warsztatami przemysłowemi" (2).

Spożywanie ma się odbywać w sposób stowarzyszony, ale nie wspólnie. Bogaci mogą żyć pod każdym względem lepiéj od ludzi niemajętnych. Nędzy jednak dzisiejszéj nikt doznawać nie będzie, ponieważ w falansterze wyznaczy się minimum dla klasy ubogiéj. Każdy robotnik otrzyma na rachunek swego zarobku przyszłego: pokój z gabinetem, odzież przyzwoitą (mundur do pracy i ubiór galowy), jedzenie dostateczne pięć razy na dzień. Oprócz tego każdy będzie miał wstęp bezpłatny do sal publicznych i na widowiska. Rozkład pałacu ma być tak urządzony, aby łatwem było łączenie się wzajemne odpowiednio do upodobań. W tym celu falanster, prócz mieszkań, ma jeszcze zawierać seristery dla rozmaitych czynności. Miłość np. ma także mieć swój serister.

Fourier po kilkakroć wskazywał na wielkie korzyści wytwarzania stowarzyszonego. Powoływał się na przykład potężnych kompanii handlowych i przemysłowych; zwrócił uwagę na niektóre ludowe stowarzyszenia, jak np. na stowarzyszenie dla robienia serów, zwanych Gruyère, w górach Jura. Zorganizowanie pracy ponętnéj powinno jeszcze bardziéj powiększyć produkcyą. „Nasz system rolny eksploatacyi rozdrobnionéj, podzielonéj na rodziny — mówi Fourier — wznieca w wieśniakach duch rokoszu przeciwko wszelkiemu, środkowi, mającemu dobro na celu. W ten sposób widzimy, że *złe robi dziesięć kroków naprzód, kiedy dobro zaledwie jeden.* Obnażenie gór, wysychanie źródeł, zmniejszanie się lasów i obniżanie się temperatury, wszystkie te klęski rosną; udoskonalenie panuje jedynie w pismach akademickich" (3). Do powiększenia produkcyi w no-

---

(1) Nouveau Monde, str. 6.

(2) Rysunek falansteru dołączony jest do dziełka p. t. „Contre M. Arago. Réclamation adressée à la chambre des députés par les rédacteurs du feuilleton de la Phalange. Suivi de la théorie du droit de propriété par Victor Considérant, ancien élève de l'ecole polytechnique. Paris. Au Bureau de Phalange. 1840."

(3) Avertissement. Oeuv. compl. T. II, str. VIII.

wym porządku przyczyni się także to, że zwyczaje i polityka będą dążyć ku temu, ażeby wytwarzaniu zapewnić najwybitniejsze i najchlubniejsze stanowisko. Dla wykonywania wielkich robót formować się będą armie. „Przypuszczam, jeżeli chcecie — powiada Fourier — że legie rzymskie, niszcząc 300,000 Cymbrów w Saint-Remy, okryły się chwałą i zdobyły wawrzyny. Nie byłobyż wszakże chlubniejszém, gdyby obie armie, galska i rzymska, połączyły się z sobą, ażeby tworzyć, nie zaś niszczyć? Gdyby podzieliwszy się na oddziały pomiędzy Arles i Lionem, wymurowały podczas jednéj kampanii 30 mostów na Rodanie i wzniosły po jego brzegach groble, dla ocalenia drogiéj ziemi, którą unosi rzeka corocznie? Taka sława — mojém zdaniem — miałaby większą wartość od zdobytych wawrzynów, przez naszych bohaterów, których wystąpienie w pole zawsze pozostawia masę wieńców cyprysowych w krajach, będących widownią ich czynów“ (1). A co począć z pracą ciężką i wstrętną? I na to Fourier daje odpowiedź. Opierając się na tém, że u dzieci przejawia się popęd do babrania się w nieczystościach, organizuje on *małe hordy*. Ustanawia przytém pewnego rodzaju pańszczyznę, obowiązkową pracę dla wszystkich z tém, że wynagrodzenie za tę pracę jest znacznie wyższe od zwykłego. Bogaci jednak mogą się wykupywać od pańszczyzny.

Rachunki w przyszłym porządku mniéj będą skomplikowane aniżeli dzisiaj. Niema tam wypłat dziennych i niema potrzeby gotowego grosza. Każdy ma swój rachunek otwarty. Wymiana pomiędzy falangami odbywa się także w drodze równoważenia wzajemnych rachunków. Podatki opłacają się przez falangi. Nikt nikomu za nic prywatnie nie płaci; wszyscy płacą za wszystko do kasy falangi i z niéj tylko sami otrzymują swą płacę i wszelkie należności. Zapewnia to wszystkim wielką niepodległość. Ponieważ udział pracy w zysku czystym jest największy ($^5/_{12}$), przeto ułatwia się każdemu stowarzyszonemu nabycie akcyi, a więc przyjście do własności. W ten sposób — zdaniem Fourier’a — dałyby się pogodzić interesy bogatych i ubogich. Chociaż w falandze ma panować największa wolność, to wszakże żadne nierozważne przedsiebiorstwo — jak dzisiaj— nie jest tam możliwe, albowiem w każdéj falandze ma być dyrekcya, złożona z ludzi doświadczonych i posiadających potrzebną wiedzę. Dyrekcya ta, lubo nie będzie miała żadnéj władzy, zapewni jednak sobie wielki wpływ moralny, jaki zawsze zdobywa to, co opiera się na prawdzie i słuszności.

---

(1) Avertissement. Oeuv. comp. T. IV, str. 558.

Oto jak Fourier rysuje przyszłość, którą stworzy rószczka magiczna ciążenia przemysłowego. „Sześćset tysięcy pałaców olbrzymich zastąpi wstrętne chałupy naszych wieśniaków. Najlichsze gospodarstwo rolne stanie się świetniejszém, więcéj urozmaiconém niż ogrody czarowne Armidy. Najdłuższe życie nie wystarczy dla użycia wszystkich przyjemności; jedność i pokój odrazu zastąpią wściekłe walki tysiąca ludów wrogich sobie; ludzkość cała utworzy tę rodzinę bratnią, o któréj marzyła filozofia; cnoty, stając się drogą do fortuny, będą rozkoszą tak dla przewrotnych, jak dla mądrych; popędy utworzą olbrzymią orkiestrę 800 milionów charakterów i przekształcą kulę naszę w raj ziemski; przed bogactwem i szczęściem, które zapanują, wiek Astrei i fikcye poetyczne będą mdłemi tylko rojeniami“ (1).

Fourier w usamowolnieniu kobiéty i miłości płciowéj poszedł jeszcze daléj od Enfantin'a. Był on zwolennikiem wolnéj miłości. Piotr Leroux w swojéj ostréj krytyce furyeryzmu (2) wytyka, że wiele w nim wzięto z *Podróży Bougainville'a*, opracowanéj przez Diderot'a. Istotnie, sam Fourier mówiąc o stosunkach płciowych, chętnie się powołuje na obyczaje panujące na wyspie Otahiti. Przypomina téż czasami Campanellę, zwłaszcza, kiedy ustanawia dwie instytucye: *vestalat* (młodzież ślubująca wstrzemięźliwość od stosunków płciowych) i *damoisellat* (rozpoczynająca miłość za młodu). Niechętna krytyka biła zawzięcie w tę stronę nauki marzyciela, pragnącego wskrzesić życie rajskie na ziemi. Widocznie ostre i złośliwe ciosy cokolwiek przestraszyły odważnego reformatora, ponieważ w późniejszém swojém dziele, *le Nouveau Monde*, odracza praktykowanie wolnéj miłości aż na pół stulecia, po zaprowadzeniu porządku harmonijnego i uważa za zbrodnię wcześniejsze jéj przejawy (3). Czy słusznie jednak napadano na Fourier'a za otwarte wypowiadanie swych myśli w kwestyi życia płciowego? Zdaniem mojém—nie. Kwestya ta, usuwana od poważnego badania wykrzykami zgorszenia i płytkiemi dowcipami, a pomimo to wciąż poruszana w plastycznie przezroczystych utworach poświeściowych, gdzie na wpół naga tajemniczość rozpłomienia tylko wyobraźnię, mści się okrótnie za takie lekkomyślne i niedbałe jéj traktowanie. Nerwowość, ta klęska dzisiejszego społeczeństwa cywilizowanego, w znacznéj części jest karą za obłudę społeczną w sprawie moralności płciowéj.

---

(1) Avertissement. Oeuv. com. T. II, str. 173.
(2) Lettres sur le Fouriérisme w *Revue sociale*.
(3) Avertissement. Oeuv. compl. T. II, str. 262.

Zasługą jest także Fourier'a głębsze wniknięcie w istotę kwestyi wychowania dzieci. Myśli jego w tym przedmiocie zasługują na uwagę. Zdaniem jego, należy rozpoczynać wychowanie bardzo wcześnie, od trzeciego roku, rozwijając dziecko fizycznie i umysłowo, budząc w niém właściwe uzdolnienia i wykrywając prawdziwe jego powołanie.

Znaczenie Fourier'a w rozwoju socyalizmu było ważne. Marx w swoim *Kapitale* parę razy zwraca uwagę na jego trafną i dosadną krytykę. Wskazał już on w 1823 r., że dzisiejszy porządek ekonomiczny popiera rozwój fiskalizmu, ducha kupieckiego, koncentracyi kapitałów i t. d.; oskarżył liberalizm, że „jest tylko przebranym i niezręcznie ubarwionym egoizmem“ (1); w przemyśle nowoczesnym upatrywał obraz prawdziwej wojny domowej i t. d. Jakkolwiek uważał siebie za obrońcę własności, mówił *o tyranii własności indywidualnéj względem mas*“ (2). Głosił, że pierwszém zadaniem ekonomii politycznéj jest znalezienie sposobu, jakby można było zamienić „wszystkich najemników na właścicieli współ-zainteresowanych, czyli stowarzyszonych“ (3).

Fourier był przeciwnikiem rewolucyi gwałtownéj i dla tego Babeuf'a łączy z Marat'em i stara się wyłączyć siebie z liczby reformatorów, zapowiadających zniweczenie religii, rodziny i własności. Z początku pokładał on pewne nadzieje na Owenie i saint-simonistach, ale następnie — jak wiemy — zwrócił się przeciwko nim. W *Traité de l'association domestique - agricole* mówi życzliwie o Owenie i jego zakładzie w New-Lanarku, chociaż wytyka trzy błędy: nadmiar ludności, równość mienia i brak rolnictwa. „Jest-to wielki już zaszczyt dla twórcy tego zakładu—powiada—że zrobił to, czego nie umieli zrobić uczeni przez dwadzieścia pięć wieków; że doszedł do jednego z idących w górę wyjść z labiryntu i zetknął się w kilku punktach z nowym światem przemysłowym, w peryodzie 6-tym, *garantizmem*, od którego oddalano się coraz bardziej, czego świadectwem wzrastająca liczba ubogich“ (4). Wcale już inaczéj mówi o Owenie w późniejszém swém dziele, *le Nouveau Monde*. Nazywa tam Owena sofistą, szarlatanem, pozornym filantropem itd. „Owen— powiada — jest tylko miernym sofistą, kopiującym W. Penna, założyciela sekty kwakrów; wreszcie człowiekiem zarówno niezdolnym do żadnego odkrycia, jak pozbawionym filantropii rzeczywistéj“ (5).

---

(1) Oeuv. compl. T. III, str. 385.
(2) Nouveau Monde, str. 390.
(3) Oeuv. compl. T. IV, str. 171.
(4) Tamże, t. III, str. 42 i 43.
(5) Tamże, str. 370.

Odpierając doktrynę owenistów, oświadcza, że prawdziwe stowarzyszenie „będzie religijném tak z popędu, jak z przekonania o wysokiéj mądrości Boga, od którego co chwila doznawać będzie dobrodziejstw. Kult publiczny stanie się dla niego potrzebą: ostatni wikaryusz będzie tam uposażony tak, jak dzisiaj uposażeni są biskupi. We Francyi trzeba będzie pośpiesznie wyświęcić co najmniéj 30,000 księży, ażeby każda falanga miała ich liczbę dostateczną dla wykonywania swych czynności, bez potrzeby codziennego ich pełnienia“ (1). Ateizm, materyalizm, deizm Fourier zalicza do aberacyi umysłowych. Jakie jednak były jego własne religijne przekonania, trudno wyrozumiéć: zatrąca on panteizmem, a z jednego ustępu (2) wnosząc, możnaby go nawet posądzić o politeizm.

(D. n.) *B. L.*

---

(1) Nouveau Monde, str. 473.
(2) Przypisek na str. 489, IV.





# FAUST,

## TRAGEDYA GOETHE'GO.

---

### SŁOWO WSTĘPNE TŁUMACZA.

Oceny Fausta Göthe'go i komentarze do niego, skreślone w różnych językach europejskich, a zwłaszcza w niemieckim, tak są liczne, że złożyćby z nich można osobną bibliotekę. „Ateneum" zresztą wydrukowało niedawno obszerne i wyczerpujące studyum p. Walerego Gostomskiego, właśnie o pierwszéj części Fausta, któréj nowy przekład oddaję obecnie w ręce publiczności. Okoliczność ta uwalnia mnie od poprzedzenia mojéj pracy szczegółowym rozbiorem krytycznym; ograniczam się więc na powiedzeniu słów kilku o formie, jaką nadałem niniejszemu tłumaczeniu, oraz na usprawiedliwieniu się przed czytelnikami z powodów, które mnie skłoniły do ograniczenia się tylko na części pierwszéj, z pominięciem drugiéj.

Że przekład takiego arcydzieła, które, obok wysokiego polotu poetyckiego, obejmuje w sobie mnóstwo głębokich prawd filozoficznych, śmiałych metafor i myśli oderwanych, ujętych nieraz w dykcyą nieco zawiłą—nie może być bezwzględnie dosłownym, zwłaszcza jeżeli przekład ten jest rymowany—tego, zdaje się, dowodzić nie potrzebuję. Nie kusząc się przeto o rzeczy niedościgle, usiłowałem jedynie oddać wiernie duch i koloryt oryginału, oraz rozwikłać niełatwe czasem do zrozumienia myśli autora. Tam tylko, gdzie napotykałem owe tak gęsto po całym poemacie rozsiane sentencye filozoficzno-etyczne, które w języku literackim stały się już prawie przysłowiowemi, jak naprzykład wykrzyknik Fausta, kiedy pudel nagle przeistacza się w Mefistofela:

> Więc takie było pudla jądro!

albo wyznanie Mefistofela:

> Jam cząstka owéj siły mała,
> Co złego pragnąc, zawsze dobre zdziała itp.

zachowywałem jaknajściślejszą dosłowność, o ile naturalnie pozwalały na to warunki rymu i rytmu. Natomiast w scenach czarodziejskich i wogóle potocznych, pozwoliłem sobie na większą nieco swobodę.

Pod względem budowy wiersza nadmieniam, że jest ona bardzo rozmaitą, podobnie jak w oryginale. Przeważa wiersz 11-tozgłoskowy, z rytmem jambicznym, który czasem tylko łamie się w daktyle, albo amfibrachy. Zresztą napotka tu czytelnik wszelkie rodzaje wiersza, począwszy od 12-tozgłoskowego amfibrachu, np.:

Co tak pod szafotem te widma się gonią?

aż do 4-rozgłoskowego trocheju, jak w słynnéj scenie obłąkania Małgosi:

Prędzéj! prędzéj!
Schwyć dziecinę!
Przez drożynę
Popędź długą,
Ponad strugą itd.

Niejednokrotnie téż w ustępach uroczystszych, lub w pieśniach, rytm jambiczny przechodzi w trochaiczny, naprzykład w chórze archaniołów, w monologu Małgosi przy kołowrotku, w trójśpiewie Fausta, Mefistofela i Ognika, albo w złotém weselu Oberona i Tytanii. Zdarzają się również wiersze adoniczne, jak w chórze duchów zaklętych przez Mefistofela:

Zwalcie się ciemne,
Mroczne sklepienia!
Niech się błękitu
Blask rozpromienia! itd.

Co do rymów, nie ubiegałem się za nadzwyczajnością, unikając jednak troskliwie końcówek zbyt pospolitych. Za przykładem najznakomitszych poetów naszych, użyłem także, lubo kilka razy zaledwo, tak zwanych jednodźwięków, np. wła*dacie—dacie.* Podobnież często bardzo używam rymów męzkich, gdzie siła i dosadność dykcyi tego wymagają; gdyż, zdaniem mojém, rymy takie w języku naszym żadnéj nie przedstawiają trudności, (choć niektórzy utrzymują inaczéj) a przytém najzupełniéj zgodne są z jego naturą i charakterem.

Tyle o formie, jakiéj się w przekładzie swoim trzymałem. Pozostaje mi jeszcze wyjaśnić, dlaczego uważałem za właściwe pominięcie w téj pracy części drugiéj Fausta. Podczas gdy część pierwsza nieśmiertelnéj tragedyi Göthe'go stanowi sama w sobie zaokrągloną całość artystyczną, ujętą umiejętnie w ramy akcyi, aczkolwiek rozpierzchnionéj i przeplatanéj do zbytku może epizodami czarodziejskiemi, lecz wstrząsającéj umysł czytelnika wysokim nastrojem dra-

matycznéj katastrofy—druga, wykończona, jak wiadomo, zaledwo na dni kilka przed śmiercią 83-letniego poety, poprostu jest zbiornikiem dziwacznych alegoryj, niezrozumiałych aluzyj mytologicznych, pstrą mieszaniną niezaprzeczonych piękności poetycznych, z ciemnym, nakręcanym symbolizmem—słowem rodzajem torby, w którą Göthe chował troskliwie każdy szczegół luźny, jaki na starość w genialnéj jego głowie przebłysnął, o ładzie bowiem w kompozycyi nie może tu nawet być mowy. Z wyjątkiem zresztą zaledwo dotkniętéj i mglisto wyrażonéj apoteozy Małgosi w samym końcu części drugiéj, część ta nie ma z pierwszą żadnego związku bezpośredniego.

Przeciwko przesadnemu ubóstwianiu wszystkiego, czego tylko tknęła się ręka wielkiego myśliciela Germanii, obecnie pojawiać się zaczyna reakcya. Bałwochwalstwo zamienia się w krytyczne otrzeźwienie. Hasło ku temu dał w r. 1882 profesor uniwersytetu berlińskiego Du Bois-Reymond, w rozgłośnéj swéj mowie rektorskiéj, na temat „Göthe und kein Ende.“ Niedawno znów znakomity, kryjący się tu pod pseudonymem estetyk Fryderyk Teodor Vischer ogłosił w Tybindze (1886, wydanie drugie pomnożone) trzecią część Fausta, „wiernie—jak mówi tytuł—w duchu części drugiéj Göthe'go wyśpiewaną“. Jest-to dowcipna, wytwornym wierszem napisana parodya, która bronią nielitościwéj satyry siecze zwycięzko tę poronioną część tragedyi, sprowadzając ją do absurdum, głównie zaś wydrwiwa pedantycznych jéj komentatorów i publiczność, uwielbiającą ją na wiarę. W epilogu dopiero autor wprowadza Göthe'go (Stary pan) i samego siebie (Nieznajomy), wypowiadając w ognistym dytyrambie uwielbienie swoje dla potężnego geniuszu poety i zarazem smutek, z powodu jego zboczeń. Göthe, powołany na sędziego w sprawie zuchwałego krytyka, skazuje go na krótką tylko karę i obiecuje w końcu przemówić za nim do potężnéj i świetlanéj pani, któréj imię *Potomność*.

Istotnie bezmyślny kult Göthe'go przypomina ową bajkę Andersena o królu, który naprawdę chodził nago; lecz ponieważ rozgłoszono, że ślepi tylko stroju jego nie widzą, ogół więc, nie chcąc uchodzić za ślepy, począł wysławiać krój, barwę i świetność szat królewskich.

Co do mnie, nie umiałem, na wzór owych chwalców, dopatrzyć się nieistniejącego stroju na nagiém ciele drugiéj części Fausta i dlatego nie przystąpiłem do jéj przekładu, uważając to za bezpożyteczną stratę czasu. Mam też głębokie przeświadczenie, że ci, którzy kiedykolwiek zadali sobie mozolną pracę przeczytania téj części, w ogromnéj większości zdanie moje podzielą.

*Ludwik Jenike.*

---

# FAUST.

## CZĘŚĆ PIERWSZA.

### Przypisanie.

Znów nadchodzicie, chwiejne wy postacie.
Co niegdyś was spotykał mętny wzrok.
Czyż choć tym razem ująć mi się dacie?
Czy głosem serca wasz powstrzymam krok?
Ciśniecie się! Więc dobrze, wy władacie,
Gdy z mgły tumanu was wyłania mrok;
Mą pierś młodzieńczo znowu dziś rozgrzéwa
Czarowne tchnienie, które was owiéwa.

Niesiecie z sobą pięknych dni wspomnienie,
Niejeden drogi cień wskrzeszacie wy:
Jak starodawne, wpółprzebrzmiałe pienie,
Miłości i przyjaźni wstają sny;
Ból odżył znów, ponawia się cierpienie
Śród labiryntu życia błędnéj gry,
I tych wymienia, którym szczęścia chwili
Poskąpił los, co dawno świat rzucili.

Nie dojdą już następne pieśni ucha
Tych, którym piérwszy zanuciłem śpiew;
Rozpierzchła się ta rzesza braci z ducha
I zmarniał już mych pieśni wczesny siew.
Dziś dźwięków ich nieznana tłuszcza słucha,
Jéj poklask nawet budzi we mnie gniew;
A ci, co dawniéj pieśni me cenili,
Jeżeli żyją, dziś się rozproszyli.

I tęsknię znów za cichą tą krainą,
Za owym światem, kędy włada duch,
I pieśni moje nieujętne giną,
Jak Eolowa harfa pieszcząc słuch;
Dreszcz mnie przebiega, łzy za łzami płyną,
Oporne serce mięknie jako puch;
To co posiadam, we mgle się zaciéra,
A to co znikło, życia kształt przybiéra.

## PROLOG W TEATRZE.

DYREKTOR. — POETA SCENICZNY. — KOMIK.

**Dyrektor.** Wy, coście zawsze stali przy mnie w biedzie,
W niejednym smutku, w niejednéj potrzebie,
Powiédzcie, jak téż na niemieckiéj glebie
To przedsięwzięcie nasze się powiedzie?
Ja pragnę szczérze zająć tłumy owe.
Co same żyją i żyć dają wszędzie.
Już deski i kulisy są gotowe
I każdy czeka, co téż z tego będzie.
Rozsiedli się i wznieśli brwi ciekawie;
Spragnieni wrażeń, wyglądają cudu.
Toż wiem, jak trzeba przemawiać do ludu,
A nigdym nie był tak jak dziś w obawie.
Coprawda nie są znarowieni sztuką,
Lecz strasznie dużo, niestety, czytali.
Jak tu połączyć przyjemność z nauką,
By zadowolić zgromadzonych w sali?
Bo nie zaprzeczam, że lubię gdy tłuszcza
Do budy naszéj gwałtownie się tłoczy,
Tak, iż jéj wnijście ciasne już nie puszcza
I tłum przebojem tylko przez nie kroczy;
Gdy już przed czwartą do otwartéj kasy
Łokciami chyba się przebijać trzeba
I o bilety staczać tam zapasy,
Jak podczas głodu o bochenek chleba.
W cud taki zaklnie różne te postacie
Poeta tylko; spraw-że go dziś, bracie!

**Poeta.** O, nie mów o pstrokatym tym nawale,
Którego widok duchowi urąga;
Skryj przed mym wzrokiem tę wzburzoną falę,
Co mimowoli w wir nas swój pociąga.
Nie, wiedź mnie raczéj na niebiańskie drogi,
Gdzie pierś poety czystą radość czuje,
Gdzie miłość, przyjaźń, spokój serca błogi
Potęga bogów stwarza i hoduje.

Ach! co nam z głębi piersi się wyłania,
Co usta trwożnie tylko wyjąkały,
Rys nieudolny może, lub wspaniały,
To wszystko chwili bystry prąd pochłania.
Niekiedy aż gdy ją przetrawią lata,

W skończonéj myśl pojawia się postaci.
Co błyszczy, to swą wartość prędko traci,
Co piękne, przejdzie do potomnych świata.

**Komik.** Nic mi nie gadaj o potomnych świecie.
Bo jakże myśléć mam o potomności,
Gdy z obowiązku błazeńskiego przecie
Spółczesnych muszę rozweselać gości?
Obecność sama tak dzielnego zucha
Już jakoś ludziom się przedstawia pięknie;
Kto gadać umié i kogo tłum słucha,
Ten się kaprysów jego nie ulęknie;
On pragnie widzów szérokiego koła,
By ich tém pewniéj wstrząsnąć swemi żarty.
Więc niechaj każdy zrobi to co zdoła;
Niech grzmi fantazja, razem ze swym chórem:
Z rozumem, czuciem, z namiętności wtórem,
Lecz niech ten chór i głupstwem będzie wsparty.

**Dyrektor.** Szczególniéj niech na scenie ruch panuje.
Tłum patrzyć pragnie i nasycać oczy;
Gdy wiele mu przed wzrokiem się roztoczy,
Gdy gapi się i niemy podziw czuje,
To jużeś sądy zyskał najłaskawsze,
Już ulubieńcem staniesz się nazawsze.
Na masy masą działaj, w tém jest sztuka!
Kto wiele daje, coś każdemu rzuci,
Bo każdy to uchwyci, czego szuka
I wtedy kontent do domu powróci.
Gdy dajesz sztukę, podaj ją sztukami,
Bo bigos taki mile smak połechce.
Cóż po całości, gdy jéj nikt nie zechce?
Widzowie twoi ją rozskubią sami.

**Poeta.** Wy nie czujecie, jak to złe rzemiosło,
Jak mało ono przystoi artyście!
Już u was, widzę, w zasadę urosło,
Że brednie liche chwalicie ogniście.

**Dyrektor.** Ten zarzut płytki mnie nie zrazi pewno.
Kto pragnie działać, ten zawsze i wszędzie
O dobre musi starać się narzędzie.
Zważ, że bielaste łupać musisz drewno,
Więc rób, co robić trzeba, co się godzi,
I bacz dla kogo pisać ci przychodzi.
Jednego gnają do teatru nudy,

Po sutéj inny przychodzi biesiedzie,
A co najgorsza, wielu także wiedzie
Ciekawość pusta, z gazet zaczerpnięta.
Więc śpieszy każdy tu do naszéj budy;
Jak na redutę pędzą niebożęta.
Kobiéty, niby bezpłatne aktorki,
Na pokaz niosą stroje swe i siebie,
A wszyscy razem zbiérać pragną wzorki.
I co tu marzyć o duchu, o niebie?
Spójrz tylko na tych protektorów zblizka,
Gdzie w nich są zdrowe o sztuce pojęcia?
Ten wprost z teatru podąży na wiska,
Ów może w ładnéj dziewczyny objęcia.
Co wam biédakom darmo Muzy trudzić?
Dawajcie tylko wiele, durzcie ludzi,
Bo zadowolić trudniéj ich niż złudzić.......
Lecz co tę boleść w twém obliczu budzi?

**Poeta.** Poszukaj sobie najemnika, panie!
Poeta nigdy prawa najwyższego,
Ludzkości prawa, co go bogi strzegą,
Dla zysków czyich nie ma na sprzedanie.
Bo czémże on porusza i zniewala?
Czém pokonywa serca i zapala?
Czyż nie tém tchnieniem, co mu z piersi tryska
I wzajem świat do piersi mu przyciska?
Gdy nam przyroda nić żywota snuje
I na wrzeciono zwija obojętnie,
Gdy wszelkie twory się zléwają mętnie,
W niestrojnym z sobą zmieszane nieładzie;
Kto wtedy dłoń ożywczą na nich kładzie
I w rytm niesforne żywioły ujmuje?
Kto szczegół każdy przyswaja naturze
I we wspaniały akord go rozbrzmiéwa?
Kto namiętności wzniecić umié burzę?
Kto zorzy łunę w czyste blaski zwiéwa?
Kto piękne, strojne młodéj wiosny kwiecie
Pod ukochanéj swojéj stopy miecie?
Kto niepozorną zieleń, marne liście,
W zasługi wieniec splata uroczyście?
Kto wdziéra się na Olymp, godząc bogi?
To wieszczy duch, gdy zjawia się w poecie.

**Komik.** Więc użyj go i krocz nowemi drogi;
Poezji sprawę traktuj tak na świecie,
Jak się traktuje miłosną przygodę.
Przypadkiem zbliżasz się, zostajesz dłużéj
I zwolna się wplątujesz w zdradne sieci;
Z początku szczęście ci we wszystkiém służy,
Aż potém nagle spotykasz przeszkodę
I niespodzianie romans się ukleci.
Tak samo do dramatu wziąć się trzeba
I sięgnąć w życie — to rodzajna gleba;
Dla tłumów zawsze ono niepojęte,
Lecz gdzie je schwycisz, znajdziesz w niém ponętę.
Pstrociste sceny, a mało jasności,
Ułudy dużo, prawdy kęs malutki,
Tak się najlepiéj napój ów uwarzy,
Co świat orzeźwi razem i rozmarzy.
Natenczas hurmem kwiat młodzieńczych gości
Do waszéj gry się zleci na wyprzódki
I pewnie każda roztkliwiona dusza
W zmyśleniu waszém znajdzie sobie strawę.
Raz to, raz owo pierś słuchaczów wzrusza,
Wybiéra każdy smutek lub zabawę;
Tłum lubi płakać, albo śmiać się zgrają,
Z ułudą zawsze chętnie się zespala:
Dojrzałych ludzi nic nie zadowala,
Wyrostek przyjmie chętnie co mu dają.
**Poeta.** Więc powróć mi i dawne moje lata,
Gdy zdrój obfity samorzutnych pieśni
Z młodzieńczéj piersi tryskał nieprzerwanie,
Gdy byłem sam wyrostkiem w oczach świata,
Gdy mgła mi kryła obszar ziemskich cieśni,
Pąk każdy cudu wieścił mi zaranie,
Gdym rwał upojon kwiatów tych tysiące,
Co zapełniały doliny i jary.
Niczegom nie miał, jednak dosyć miałem,
Bo miłość prawdy, z ułudy zapałem.
Daj mi popędy nieprzeparte, wrzące,
To szczęście pełne boleści i wiary,
Miłości siłę, waśni niepokoje,
O wróć mi, wróć mi młode lata moje!
**Komik.** Młodości, bracie, wtedy ci potrzeba,
Gdy w bitwie wróg przemożny cię naciśnie,
Gdy śliczne dziéwczę, istny anioł z nieba,

U szyi twojéj namiętnie zawiśnie,
Gdy kędyś wabią cię wawrzyny zdala,
Przy niedościgłym może mety kresie,
Gdy wir taneczny w tobie krew rozpala
I w swe szalone kręgi cię uniesie.
Lecz z lutni znanéj pieśń wydobyć męzką
I tłum podniecić zręcznie jéj dźwiękami;
Ku celom, które wytknęliście sami,
Choć po manowcach podążać zwycięzko—
To obowiązek starych, jak się zdaje,
A czci waszego nie zmniejszy imienia.
Nie starość zwykle w dzieci nas zamienia,
Najczęściéj dziećmi ona nas zastaje.

**Dyrektor.** Już dość téj długiéj próżnych słów wymiany,
Niech chęci wreszcie się z czynami zbiegą;
Miast utoczonych komplimentów piany,
Uchwalmy raczéj coś pożytecznego.
Co tutaj składać się usposobieniem?
Kunktator żaden nigdy go nie schwyci.
Kto się poety wzniosłém mianem szczyci,
Niech zapanuje nad poezji tchnieniem.
Wszak wiécie o co nam najwięcéj chodzi:
O pieprzny trunek; więc go warzcie wcześnie,
Bo co dziś umknie, jutro już nie wskrześnie,
A dnia żadnego tracić się nie godzi.
Co jest możliwe, to powinna wola
Pochwycić zręcznie za koniec czupryny
I już nie puścić, nie ustąpić z pola,
Gdy działać daléj już cię zmusza dola.
W teatrze każdy, rzecz wiadoma przecie,
Jak może sądzi i jak umié plecie;
Więc co się da, niech zrobią dziś maszyny:
Księżyce, słońca porozwieszać hojnie
I gwiazdy sypać na niebiańskie stropy,
Niech widzom wszystko się przedstawi strojnie;
Wszak niebrak ognia, niebrak skał i wody,
Ni zwierząt; niechże każdy twór przyrody
Na małéj téj arenie się rozsiedli,
Niech ciasna przestrzeń téj drewnianéj szopy
Stworzenie całe wiernie odzwierciedli
I niech poeta z nieba tu przezroczy
Przez świata cieśnie aż do piekła kroczy.

---

## PROLOG W NIEBIE.

Pan. — Zastępy niebiańskie. — Potém Mefistofel.

Trzej archanieli występują naprzód.

**Rafał.** Słońce, z bratnich sfer orszakiem,
Po dawnemu wiedzie chór
I wytkniętym krocząc szlakiem,
Gromowładny budzi wtór.
Nikt określić go nie może,
Choć w niém siła nasza tkwi;
Niepojęte dzieła Boże
Wielkie są, jak piérwszych dni.

**Gabryel.** Szybko, niewstrzymanym wirem,
Świat obraca Boża moc;
Po jasności, czarnym kirem
Groźna go obleka noc.
Z szumem biją morskie wały
O podnóża hardych skał;
Lecz i fale te i skały
W bieg porywa pędu szał.

**Michał.** Wichry huczą naprzemiany
Z lądu w morze, z morza w ląd,
Pustoszące huragany
Łączą się w zniszczenia prąd.
Straszny płomień błyskawicy
Chmur przeszywa mroczny cień;
Ale twoi posłannicy
Cichy znów wskrzeszają dzień.

**Razem.** Nikt określić Cię nie może,
W Tobie siła nasza tkwi;
Niepojęte dzieła Boże
Wielkie są, jak pierwszych dni.

**Mefistofel.** Gdy raczysz do nas znów się zniżać, Panie,
Pytając co się u nas działa, radzi,
A miałeś niegdyś do mnie zaufanie,
Więc staję śmiało w gronie Twéj czeladzi.
Lecz wybacz, słów nie umiem składać świetnie
I swada moja byłaby zabawna;
Toż niewątpliwie śmiałbyś się z niéj setnie,
Gdybyś od śmiéchu nie odwykł już zdawna.
O słońcach nie wiem w jakie dążą szlaki,
Spostrzegam tylko, że się ludzie biedzą;

Króliczek świata zawsze jest jednaki,
Jak po wsze czasy śmieszny ze swą wiedzą.
Zapewne mógłby żyć cokolwiek lepiéj,
Lecz Tyś go, Panie, obdarzył z poczęcia
Rozumu trochą; gdy się nim zaślepi,
Już gorszy wtedy nawet od zwierzęcia.
Wydaje mi się on, uczciwszy uszy,
Jak owa polna, długonoga jętka,
Co skacze, gdy do lotu się poruszy,
A ćwierkać w trawie ją porywa chętka.
I niechby na tém spełzła mu ochota,
Lecz on nos wtyka w każdą kupę błota.

**Pan.** Czy wiekuiście twe bluźniercze wargi
Wygłaszać mają same tylko skargi?
Czy nic na ziemi w ład się nie ułoży?

**Mefistofel.** Istotnie, Panie, idzie tam najgorzéj.
Mnie żal ludzisków, żal ich utrapienia
I dręczyć biédnych nie mam już sumienia.

**Pan.** A Fausta znasz?

**Mefistofel.** Doktora?

**Pan.** Sługę mego.

**Mefistofel.** Zaprawdę, Panie, dziwnie on Ci służy!
Toć ziemska strawa wcale mu nie płuży.
W dalekie strony myśli jego biegą,
Bo innych mu rozkoszy snadź potrzeba.
Napoły świadom własnego szaleństwa,
Od bóstwa żąda jasnych gwiazdek z nieba,
Od ziemi szału, uciech przeciwieństwa,
I żadna rzecz, czy blizka, czy daleka,
Nie zaspakaja pragnień tego człeka.

**Pan.** Jeżeli teraz po ciemnościach błądzi,
To wkrótce sam na jaśnię go wywiodę.
Ogrodnik dobry po zieleni sądzi,
Czy owoc mu przyniesie drzewko młode.

**Mefistofel.** O zakład pójdę, że go utracicie,
Potrzeba tylko, abym ja go skrycie
Ku swojéj zwolna mógł przeciągać stronie.

**Pan.** Popróbuj z nim, dopóki jeszcze krąży
Po ścieżkach ziemskich; tego ci nie bronię.
Toć człowiek zawsze błądzi, póki dąży.

**Mefistofel.** Dziękuję szczerze, z umarłymi bowiem
Niebardzo chętnie zawsze się zabawiam;
Ja wolę twarze jaśniejące zdrowiem,

A gdy o trupie mowa, to mnie niéma.
I kotka myszy zdechłéj się nie ima.

**Pan.** Więc zgoda, woli twojéj go zostawiam!
Odciągaj duch ten od prawdy źródliska,
A jeśli zdołasz pochwycić go zblizka,
To prowadź go swą przepaścistą drogą,
Lecz zawstydzony, uznaj w końcu z trwogą,
Że człowiek dobry, choć zmącony w wierze,
Prawdziwą ścieżkę pozna i obierze.

**Mefistofel.** Być może, lecz ustanie on potrosze;
O zakład nasz nie troszczę się zupełnie.
Jeżeli wszystko, co zamierzam, spełnię,
To z głębi piersi tryumf swój wygłoszę.
Proch będzie żarł ten cień wielkiego męża,
Na wzór słynnego kmotra mego, węża.

**Pan.** Wszak naturalną całkiem to jest rzeczą,
Że wolno ci wywierać wpływ na ludzi.
Ze wszystkich duchów, które prawdzie przeczą,
Frant najmniéj jeszcze wstrętu we mnie budzi.
Człek zwykły w swéj czynności wnet ustaje,
On spocząć lubi, gdy działać nie musi;
Więc opiekuna chętnie mu przydaję,
Co go podnieca i niekiedy kusi.
Prawdziwa zato olympijska dziatwa
Niech się raduje powabami świata!
To, co powstaje, co się w życiu gmatwa,
Niech ją miłości urokiem oplata,
A co się chwiejnie w dali ukazało,
To niech przyswoi światu myślą stałą.
(*Niebo zamyka się, archanieli ustępują*).

**Mefistofel** (*sam*). Czasami lubię starego i wcale
Nie myślę jawnéj prowadzić z nim wojny.
Zawszeć to pięknie, gdy pan tak dostojny
Nawet i z djabłem mówi poufale (1).

---

## NOC.

W wysoko sklepionéj, wązkiéj komnacie gotyckiéj Faust siedzi niespokojny na krześle przed pulpitem.

**Faust.** Więc filozofją, filologją,
Więc medycynę i prawo,

(1) Słowa te złego ducha są antytezą pełnych podniosłości hymnów archanielskich.

Niestety! i teologją,
Zdobyłem sobie pracą krwawą,
A choć to wszystko w mózgu mym się skupia,
Głowa jak była, tak została głupia.
Jestem magistrem, co więcéj, doktorem,
I wodzę tu z dziesiątek lat
Mych uczniów za nos, zwykłym torem,
W mniemanéj wiedzy błędny świat,
Choć widzę, że to próżna męka.
Już z bólu mało serce mi nie pęka.
Prawda, żem jest roztropniejszy od wielu
Półmędrków, których nauka nic warta;
Nie znam skrupułów, gdy dążę do celu,
Nie drżę przed piekłem, nie lękam się czarta—
Lecz zato wszelką odjęto mi radość.
Wiem, że niedużo sam rozumiem,
Że celom swym nie czynię zadość,
Że nawet innych nauczać nie umiem.
Nie pozyskałem pieniędzy, ni mienia,
Honorów ziemskich, władzy, ni świetności,
Pies się na dolę moję nie pomienia!
To téż do magji teraz się przykładam;
Może duch jaki w murach tych zagości
I przy nim wielu rzeczy się dobadam,
Bym odtąd w krwawym pocie czoła
Nie musiał prawić, czego nie wiem zgoła;
Bym poznał wszystko, co świata budowę
Wnętrznemi spaja okowy,
Bym ujrzał twórczość i rzeczy osnowę,
A czczemi nie walczył słowy.

O gdybyś ty, księżycu, raz ostatni
Mógł widzieć nieme udręczenia moje!
Ty, któryś nieraz na nocne me znoje
Przy tym pulpicie zsyłał promień bratni!
Ponad kięgami i pismami wielu
Tyś mi się zjawiał, smutny przyjacielu!
Ach, gdybym mógł na szczytach gór
W łagodném świetle twojém śnić
I tam, gdzie duchów władnie chór,
Zatęchłéj wiedzy zerwać nić,
Po łąkach w mroku twoim stąpać
I w srebrnéj rosie twéj się skąpać!

Niestety! ciągle w mém więzieniu tkwię!
Przeklęta ta ponura jama,
Śród któréj nawet jasność sama
Przez szybki barwne darmo się tu rwie!
Te ksiąg zbutwiałych wielkie kupy,
Co pył je kryje, móle gryzą,
Aż pod sklepienie samo lézą,
Jak okopcone dymem słupy.
Szklanice, słoje, bańki wszędy,
Narzędzia, ustawione w rzędy,
A w nich niejeden stary ojców grat—
Ot taki świat mój—to się zowie świat!

I co tu pytać, czemu serce moje
Tak tęskno się w zbolałéj piersi łamie?
Dlaczego dziwne jakieś niepokoje
Tamują we mnie każde życia znamię?
Toć zamiast cudnych przyrodzenia pieśni,
Co Bóg je ludziom dał w podziele,
Dokoła widzę pośród pleśni
Szkielety tylko i piszczele.

Precz, na dalekie gdzieś rozłogi!
I niech ci myśl téj księgi tajemniczéj,
Co Nostradama ręka ją skreśliła,
W wędrówce twojéj przewodniczy!
Rozpoznasz wtedy gwiazd zawrotne drogi,
A gdy natury zbadasz ruch,
To pojmiesz czém jest duszy siła,
Jak z duchem ma rozmawiać duch.
Daremnie marne rozmysłu wyniki
Tych znaków pragną tłumaczyć tajniki.
Wy duchy, co się wkoło unosicie,
Ozwijcie się, jeżeli mnie słyszycie!
(*Otwiéra księgę i spostrzega znak makrokosmu* (1)).
O, jakaż na ten widok rozkosz czysta
Ogarnia nagle wszystkie moje zmysły!
Jak szczęście i nadzieja wiekuista
Młodzieńczy zapał w żyły moje wtrysły!
Czy Bóg nakreślił znaki owe,
Co walki srogie we mnie koją,

(1) *Makrokosm*: świat szeroki, wielki, w przeciwstawieniu do *mikrokosmu*, świata drobnego.

Co sercu stały się ostoją
I tajemniczą swą osnowę
Na wszystkie twory świata zlały?
Czy we mnie bóstwo tkwi, czym oszalały?
W tych głoskach czystych najjaskrawiéj
Od mrocznych wieków się zarania
Przyrody twórczość nam odsłania.
Poznaję teraz to, co mędrzec prawi:
„Kraina duchów dla was nie zamknięta,
Myśl tylko wasza martwa i ściśnięta!
Więc, uczniu, śmiało na wyżyny stąp,
Pierś swoję ziemską w rannym świcie skąp!“
(*Przypatruje się znakowi*).
Jak wszystko tu się w całość wije
I jedno w drugiém działa, żyje!
Jak niebios siły snują się w szeregu,
Podając sobie złote wiadra w biegu!
Wonnemi skrzydły błogosławieństw krążą,
Z niebiosów nawskróś ziemi dążą
I wszechświat harmonijnie wiążą.
To widok piękny, ale widok pusty!
Jak ująć cię, naturo nieskończona?
I jak zawisnąć spragnionemi usty
U życiodajnéj karmicielki łona?
Jéj pierś świat żywi, ona włada we mnie,
I mamże do niéj tęsknić nadaremnie?
(*Z niechęcią przewraca karty księgi i spostrzega w niéj znak ducha ziemi*).
Inaczéj całkiem znak ten na mnie działa,
Ty, duchu ziemski, jesteś bliższy mnie!
Już, jak po winie, głowa moja pała,
Już się do czynu dusza rwie!
Odwagę czuję do wyzwania świata,
Do doli lub niedoli sięgam szczytu,
Ku walce z burzą duch mój mężnie wzlata,
Nie cofnę się i śród rozbicia zgrzytu....
Coś się nademną kłębi,
I księżyc twarz swą kryje;
Przygasa lampa w głębi,
Płomień się wije
Wkoło méj głowy;
Dreszcz jakiś tchnie od posowy (1)

(1) Posowa: strop, sufit.

I chwyta mnie!
Ty mię owiewasz, duchu wymodlony,
Więc ukaż się!
O, jak mnie coś pociąga w owe strony,
Gdzie w piersiach nowe rodzi się uczucie,
Gdzie wolno zmysłów zadowolić chucie!
Jam twój! Więc wynurz się z ukrycia!
Tyś mój! Chociażby kosztem życia!

(*Chwyta księgę i wymawia uroczyste zaklęcie. Wybucha płomień czerwonawy, a w nim pojawia się Duch*).

**Duch.** Kto mnie tu woła?
**Faust** (*odwraca się*). To postać straszliwa!
**Duch.** Zaklęcie twoje mnie przyzywa,
Karmiłeś się nadziemską sferą.
A teraz...
**Faust.** Trwogę czuję szczerą!
**Duch.** Pragnąłeś ujrzéć mnie gorąco,
Mój głos usłyszéć, wskrzesić duchów cienie;
Więc ustąpiłem przed tą żądzą wrzącą
I oto jestem!.... Jakaż nędzna trwoga
Ogarnia cię, półbożku? Zkąd to drżenie?
Gdzież pierś, dla której każda droga
Do celu wiodła, któréj siła
Nam duchom równą się mieniła?
Gdzie jesteś, Fauście, ty, co dumnie
Jestestwem całém cisnąłeś się ku mnie?
Tyżeś to, który tchnieniem mém owiany,
Wijesz się teraz, słaby ziemi synu,
Jak marny robak, w pyle rozdeptany?
**Faust.** Nie, nie ustąpię ci w téj dobie!
Jam Faust i jestem równy tobie!
**Duch.** W falach świata, w burzach czynu
Krążę wszędy sam,
Przędę tu i tam:
To śmierć, to życie,
Morze wieczyste,
Tchnienie ogniste,
W przemiennym bycie.
I tak na warsztacie wiekowym wciąż tworzę
I żywe przędziwo na szaty tkam Boże.
**Faust.** Ty, który lotem światy obejmujesz,
Potężny duchu, jakżem blizki ciebie!

**Duch.** Tyś blizki ducha, co go sam pojmujesz,
Nie mnie!
(*Znika*).

**Faust** (*w zwątpieniu*). Nie ciebie?
A więc kogo?
Ja, obraz bóstwa,
Nawet nie ciebie!
(*Słychać stukanie do drzwi*).
Zgiń, szczeznij! To mój famulus nadchodzi!
Więc znów mi szczęście się rozwieje?
Ten suchy nudziarz wszystkie mi nadzieje
Przybyciem swojém wnet zagrodzi!

(*Wchodzi Wagner w bieliźnie i czapeczce nocnéj, z lampą w ręku. Faust odwraca się niechętnie*).

**Wagner.** Wybaczcie! Słyszę, że deklamujecie;
Zapewne z greckiéj tragedji wyjątek?
Pochwycić chciałbym waszéj sztuki wątek,
Bo to popłaca dziś na świecie.
Słyszałem, że czasami, mój doktorze,
Komedjant księdza nawet uczyć może.

**Faust.** Tak, jeśli ksiądz komedją sam wytwarza,
Jak to podobno się niekiedy zdarza.

**Wagner.** Ach! gdy muzeum więzi tu człowieka,
Że w święto ledwie i jak przez lunetę
Świat widzi na daleką metę,
To i przekonać go się zrzeka.

**Faust.** Kto sam nie czuje, czucia nie zdobędzie!
Gdy ono nie przenika duszy,
To i słuchacza nie poruszy
I władzy nad nim nie posiędzie.
Ha, siedźcie sobie, sklejajcie do kupy,
Mieszajcie strawę z cudzych wet
I rozdmuchujcie skąpych świateł słupy,
Co śród popiołów gasną wnet!
Podziwia was tłum małp i dzieci,
Gdy chęć ku temu przyjdzie wam;
Lecz nigdy żaru w sercach nie roznieci,
Kto serca nie posiada sam.

**Wagner.** Wymowa jednak idzie ludziom w smak,
A czuję, że mi daru tego brak.

**Faust.** Poszukaj, bracie, rzetelnego zysku
I nie używaj błazna szaty!

Gdy rozum błyśnie w swém ognisku,
Z niewielką sztuką zyskasz plon bogaty.
Chcesz-li poważne głosić słowa,
To za wrażeniem gonić rzecz jałowa.
Zaprawdę, wasze polerowne mowy,
Co blichtrem świecą, choć bez treści,
Niemiłe są, jak wiatr grudniowy,
Gdy w zżółkłych liściach zaszeleści.

**Wagner.** Niestety! długą jest sztuka,
A krótkiém życie nasze!
Gdy mój krytycyzm drogi sobie szuka,
To nieraz w duchu się przestraszę.
Jak trudno znaléźć drogę tam,
Gdzie aż do źródeł wznieść się trzeba nam!
Zaledwo dojdziesz do połowy szlaku,
A już ci umrzéć sądzono, biédaku.

**Faust.** Czyż pergaminy są tym zdrojem,
Co gasi nam pragnienie swym napojem?
Nikt orzeźwienia nie pozyska,
Gdy ono z duszy mu nie tryska.

**Wagner.** Darujcie! Przecież badać to nam miło,
Co wieków duch przeważył na swéj szali
I wiedziéć co przed nami się robiło,
A cośmy świetnie posunęli daléj.

**Faust.** Tak, rozum wasz do gwiazd rzekomo sięga,
Lecz przeszłość, jest to tajemnicza księga,
Na siedem zwarta pieczęci, mój bracie!
A co wy duchem wieku nazywacie,
To w gruncie własny jest wasz duch,
Odbijający czasów ruch.
Z tym duchem czysta nieraz bywa biéda!
I każdy odeń rad odwraca oczy!
Choć akcja niby tam się napatoczy;
To kupa śmieci, gratów rumowisko,
Lub pragmatycznych zdań siedlisko,
Co chyba się dla lalek na coś przyda.

**Wagner.** Jednakże świat, człowieka, życie
Poddaje każdy chętnie ocenieniu.

**Faust.** Lecz pod oceną co wy rozumiécie?
Niewolno dziecka nazwać po imieniu,
Tych mistrzów, którzy coś poznali
I tłumom otwierali łono,

Szafując tém, co czuli i zbadali,
Wszak krzyżowano zawsze, lub palono.....
Lecz, przyjacielu, czas się przespać,
Wypada przerwać nam rozmowę.

**Wagner.** Ja byłbym wolał całéj nocy nie spać,
A snuć uczonych dysput tych osnowę.
No, ale jutro, w dzień Zmartwychpowstania,
Niektóre jeszcze stawię wam pytania.
Badałem pilnie, jednak najgoręcéj,
Choć umiem dużo, pragnę umiéć więcéj. (*Odchodzi*).

**Faust** (*sam*). Że im téż po łbach ciągle się coś snuje
I plotą brednie oczywiste.
Ich dłoń się skarbów chciwie doszukuje,
A radzi, jeśli znajdą glistę.

Czyż może zabrzmiéć mowa tak powszednia
Tu, gdzie mnie duchów otaczała jednia?
Lecz żegnam ciebie dzięki gorącemi,
Ty najnędzniejszy z synów ziemi.
Wszak tyś, gdy już zwątpienie mnie owładło,
Otrzeźwił mnie, rozpaczy się wydarłem.
Ach! tak olbrzymie było to widziadło,
Że sam się przy niém czułem karlem.

Ja, obraz bóstwa, któremu się zdało,
Że już jest blizkim prawdy, zdroju łaski,
Co już w niebiańskie wzlatywałem blaski,
Rozzuwszy z szaty ziemskiéj ciało;
Ja, wolen więzów, wyższy od Cheruba,
Com się rozpłynął już w przyrody tętnie,
By, wzorem bogów, tworzyć umiejętnie—
Gdzież teraz duma, gdzie jest moja chluba?
Gromowy wyrok wszystko strącił w noc.
Nie, ja nie jestem równy tobie!
Przyciągnąć ciebie miałem moc,
Lecz cię zatrzymać zbrakło siły.
W błogosławionéj owéj dobie,
Gdy rajskie sny mnie upowiły,
To wielki czułem się, to mały.
Tyś mnie odtrącił, bom zuchwały!
Czy mam posłuchać owéj chęci,
Co wiecznie mnie ku sobie nęci?
Niestety! czyny nasze i cierpienia
Tamują pochód ziemskiego istnienia.

I najwznioślejsze nawet dary ducha
Z materją obcą mieszają się wszędzie;
Kto dobrą sobie rzecz zdobędzie,
Ten już o lepszéj ani słucha.
Wspaniałe czucia, podnoszące duszę,
Drętwieją w ziemskich pragnień zawierusze.

Gdy dawniéj polot wyobraźni twórczy
Ku sferom się wieczystym rwał,
To teraz każdy ściska się i kurczy,
By szczęścia mu nie zabrał chwili szał.
Zagnieżdża się już troska w piersi twojéj
I tajne wznieca w niéj cierpienia;
Niepokój w grozę się zamienia
I w coraz inną maskę twarz ci stroi:
Czy o domostwo, czy o żonę, dzieci,
O wodę, ogień trwogę w tobie nieci;
Drżysz o to zawsze, co nietrwałe,
A opłakujesz wszystko co jest stałe.

Nie jestem bogiem, ja to czuję codnia!
Jam jest robakiem, co się w prochu wije
I w pyle swoim pod stopą przechodnia
Umiéra nędznie, tak jak nędznie żyje.

Toż pyłem jest i ta wysoka ściana,
Co w setkach półek mieści śmiecie;
Tandeta, w płatki pstre przybrana,
Otacza mnie w tym mólów świecie.
Tu miałbym znaléźć czego dusza łaknie?
Lub mamże czytać w księgach dziwy,
Że ludziom wszędzie czegoś braknie,
A na tysiące jeden był szczęśliwy?

Co się wyszczerasz na mnie, czaszko pusta?
Toż mózg twój był zgmatwany, tak jak mój;
Szukałaś dnia w pomroce: próżny znój,
Bo czary prawdy nie dotknęły usta.
I wy, narzędzia, próżny z wami trud!
Te kółka wasze, zęby, walce, skręty,
To miał być klucz, gdym stał u wiedzy wrót,
Owiany dumą, choć zwątpieniem zjęty.
Klucz słaby, nie usunie on wrzeciądzy.
Przyćmiona w jasny nawet dzień,
Przyroda nie ukoi mojéj żądzy,

Bo tajnie swoje w mroczny nurza cień,
A gdy się z własnéj nie objawi woli,
Zasłony swéj uchylić nie pozwoli.
Wy, graty stare, czego tu stoicie?
Ubiegłych czasów chybaście pomnikiem;
Ty zwitku, ciebie lampka ta obficie
Kopcącym codzień zaczernia płomykiem.
Wolałbym stracić mą chudobę całą,
Niż z jéj resztkami tutaj osiąść.
Co ci po ojcach w spadku pozostało,
To staraj się nietylko mieć, lecz posiąść.
Bezużyteczność staje się ciężarem,
Użycie jest sposobnéj chwili darem.

Lecz czemuż oko moje w górę bieży?
Czy ta flaszeczka magnesem dla wzroku?
Dlaczego błoga jasność tu się szerzy,
Jak gdyby księżyc wszedł śród lasów mroku?

O witaj mi, szacowne ty naczynie,
Po które sięgam teraz! Zbawczy płynie!
Czczę w tobie ludzką sztukę, rozum bratni.
Ty zbiorze sennych sił, uroków,
Wyciągu wszech zabójczych soków,
Mistrzowi swemu posłuż raz ostatni!
Sam widok twój łagodzi me cierpienie,
Gdy ujmę cię, przemija udręczenie
I duch mój sprzecznych się pozbywa chceń.
Po pełném morzu życia łódź przepłynie,
Gdzie w zwierciadlanych falach oko ginie,
Ku nowym brzegom nowy wabi dzień.
Śród lekkich chmurek wóz ognisty
Nadpływa ku mnie! Jam gotowy
Ziemskiego życia zgnieść okowy,
Do sfer jasności zdążyć czystéj.
Czyż na to życie rozkoszy bez końca
Zasłużyć mogłeś, marny ty robaku?
O tak, zaiste! Lecz od kręgu słońca
Twarz odwróć i po innym biegnij szlaku!
Odważnie roztwórz owe wrota,
Co każdy stroni od ich progów;
Czas dowieść czynem, że mężczyzny godność
Nie ustępuje dostojeństwu bogów:

Żeś poznał cierpień różnorodność
I nie truchlejesz wol ec mrocznych cieni
Siedliska mąk, utworu wyobraźni;
Że w czeluść jego, śród płomieni
Piekielnych, wkraczasz bez bojaźni;
Że umiész śmiało w nią się rzucić,
Chociażby przyszło w nicość się obrócić.

Więc wynijdź z swego futerału,
Ty czaro, czystsza od kryształu!
Nie tknąłem ciebie od lat wielu.
Krążyłaś nieraz w innym celu:
Rozweselałaś zgromadzonych gości,
Gdy śród biesiady w koléj szłaś swobodna
Te liczne rzeźby twoje, te pierścienie,
Co opiewano wierszem ich znaczenie,
A potém ciebie wychylano do dna—
Niejednę noc wskrzeszają z méj młodości.
Już ja do rąk nie podam cię sąsiada,
Dowcipu na twych scenach nie zaostrzę.
Niech płyn brunatny wnętrze twe obsiada,
Nim całun śmierci nademną rozpostrze.
Ostatnim trunkiem z całéj duszy mojéj
Cześć spełnię ranka, co się w blaski stroi.
(*Przykłada czarę do ust*).
(*Rozlega się odgłos dzwonów i śpiew chóralny*).

**Chór aniołów.** Chrystus z martwych wstał!
Radość ludzkości,
Którą w zdrożności
Dziedzicznych złości
Ogarnął szał.

**Faust.** Jak śpiew ten piękny! Jego jasny dźwięk
Tę czarę pełną od mych ust odkłania;
Huczące dzwony, czy wasz głuchy jęk
Zwiastuje pierwszą chwilę zmartwychwstania?
Wy chóry, czy głosicie śpiew pociechy,
Co niegdyś z ust aniołów szedł pod strzechy?

**Chór niewiast.**

Wonnności drogiemi
Myśmy Go namaściły,
Ze służki wiernemi
W grobieśmy Go złożyły;

W nawiązki czyste
Ciałośmy upowiły.
Dokądżeś, Chryste,
Uszedł nam z téj mogiły?

**Chór aniołów.**

Chrystus zmartwychwstał!
Zbawion w miłości,
Kto tu w żałości
I przeciwności
Opoką stał.

**Faust.** Zkąd brzmi tych tonów słodycz i potęga?
Jam proch, daremnie głos wasz ku mnie bieży,
Wrażliwych tylko on dosięga;
Ja słyszę go, lecz rozum mu nie wierzy.
Cud, to najmilsze wiary dziécię;
Ja do tych sfer się nie śmiem wznieść,
Zkąd dobra płynie do nas wieść,
A jednak taka jest nawyknień siła,
Że światu znów mnie powróciła.
Toż niegdyś inne wiodłem życie:
W wigilją z wyżyn mi zsyłało
Miłosny pocałunek niebo,
Wezwanie dzwonów uroczyście brzmiało,
Modlitwa była mi potrzebą.
I niepojęta, błoga mnie tęsknota
Na pola gnała, po za miejskie wrota,
Gdzie pośród rzewnych łez tysiąca
Świat marzeń dusza wytwarzała wrząca.
Ta pieśń wesela była mi zwiastunką
I lubéj wiosny sprowadzała godła;
Dziś stała mi się ona opiekunką,
Co z drogi śmierci w porę mnie odwiodła.
O, brzmijcie dalej, wy niebiańskie pieśni!
Łzy ronię — wracam znów do ziemskich cieśni.

**Chór uczniów.**

Już pogrzebiony
Ku górze uniósł się,
Z martwych ockniony,
Twórczą rozkoszą tchnie.
Gdy On w niebiesiech tam
Rządzi i stwarza,
Dzień każdy biednym nam
Cierpień przysparza.
Na tym padole my
Jęczym pod znojem;
Mistrzu, ronimy łzy
Nad szczęściem Twojém!

**Chór aniołów.**

Chrystus zmartwychwstał
Z łona zniszczenia;
Oswobodzenia
Radość wam dał.

Wy miłujący,
Czynem chwalący,
Braci karmiący,
Prawdę głoszący,
Rozkosz wieszczący—
Dla was On wszędzie
Blizki tu będzie!

---

## ZA BRAMĄ MIEJSKĄ.

Tłumy przechadzających się.

**Kilku czeladników.** Hej, bracia! Dokąd Bóg prowadzi?
**Inni.** My na leśnictwo idziemy gromadnie.
**Poprzedni.** A my do młyna, tam nas ujrzą radzi.
**Jeden.** Ja wolę rzékę.
**Drugi.** Kiedy tam niełądnie!
**Trzeci.** Więc gdzie?
**Czwarty.** Na folwark; nigdy tam nie zbywa
Na kraśnych dziéwkach i kufelku piwa,
A przytém bójek także nie zabraknie.
**Piąty.** Oj zawadjako, znów cię świerzbi skóra?
Mnie nie podoba się ta dziura;
Niech idzie tam, kto awantury łaknie.
**Służąca.** Nie pójdę! Wrócić już do miasta wolę.
**Druga.** On czeka tam, gdzie widzisz te topole.
**Poprzednia.** Niech czeka, to nie ziębi mnie, ni grzeje;
Wszak zawsze chodzi tylko przy twym boku
I z tobą tańczy w niedzielę na toku.
Co mnie obchodzą twoje tam nadzieje?
**Druga.** Nie zbrakłoby i tobie dziś zabawy,
Bo przyjść z nim miał ten kędzierzawy.
**Student** (*do kolegi*). Zakaty, jak te dziéwki kroczą krzepko!
Spróbujmy do nich zbliżyć się z zaczepką.
Gryzący tytuń, dzban mocnego piwa
I strojna służka — rozkosz to prawdziwa!
**Dziéwczyna miejska.** Doprawdy, pięknych tych chłopaczków szkoda,
Zgorszenie istne z temi amorami!
Toć każda z nas im chętnie ramię poda,
A oni biegną za sługami.
**Student drugi** (*do piérwszego*):
Zaczekaj, inne widzę tam dzierlatki,
Śliczniutkie, zgrabnie przystrojone, składne,
A w gronie ich i moje też sąsiadki;
Ja lubię bardzo te dziéwczęta ładne.
Stąpają skromnie, samym im niesporo;
Podejdźmy, chętnie z sobą nas zabiorą.
**Student piérwszy.** Z trusiami, bracie, próżne ceregiele;
Nie zwłóczmy, bo nam tamte ktoś zabierze.
Ta ręka, co w sobotę myje, pierze,
Najlepiéj pieści nas w niedzielę.

**Obywatel.** Nasz nowy burmistrz mnie się nie podoba,
Nadęty strasznie.... wielka mi osoba!
I cóż dobrego zrobił on dla miasta?
Doprawdy, z nami coraz gorzéj!
Na nieposłusznych rząd się sroży,
Piszcz, bracie, ale płać i basta.

**Żebrak** (*śpiewa*).

Zacne pany, piękne panie,
Postrojeni, rzeźcy, zdrowi,
Wzywam wasze zmiłowanie,
Rzućcie datek żebrakowi!
Niech nie śpiewam bez zachęty!
Szczęśliw, kto ubogich darzy.
Niech ten dzień, dla ludzi święty,
Żniwem będzie dla nędzarzy.

**Obywatel drugi.** Co do mnie, lubię ja czasami
O wojnie wieść rozmowę w święta:
Jak tam daleko, gdzieś za Bałkanami,
Krew leje się i walka wre zacięta.
Wieczorem człek po piwku wtedy
Na rzékę patrzy, jak mu towar spławia,
I cudzéj już nie pomni biedy,
Lecz pokój ceni i wysławia.

**Obywatel trzeci.** Sąsiedzie, chętnie ja się na to godzę:
Niech łby strącają, choć nie wiedzą czemu,
Niech wszystko się tam u nich gmatwa srodze,
Lecz w domu żyjmy sobie podawnemu.

**Starucha** (*do dziewcząt miejskich*):
Ho, ho, śliczniutkie moje wy panienki!
W was każdy pewno się zadurzy.
Choć dbacie słusznie o swe wdzięki,
Nie bądźcie harde — stara wam usłuży.

**Jedna z dziewczyn.** Uchodźmy ztąd! bo z taką wiedźmą przecie
Nie godzi nam się pokazywać w świecie;
Choć mi przyszłego, w cielesnéj obłoczy,
Na święty Andrzéj stawiła przed oczy.

**Druga.** Mnie pokazała go w krysztale,
Wojaka niby, w innych zuchów rzędzie;
Lecz nadaremnie szukam ja go wszędzie,
Nie mogę jakoś spotkać się z nim wcale.

**Żołnierze** (*śpiewają*).

Grody potężne,
Mury i blanki....
Pragniem pozyskać
Harde kochanki.
Śmiały jest trud,
Wspaniały plon!

Brzmią naprzemiany
Trąby i surmy,
Jak na rozkosze,
Tak i na szturmy.
To mi to życie,
To mi to czyny!
Poddać się muszą
Grody, dziewczyny.
Śmiały jest trud,
Wspaniały plon!
A dla żołniérza
Wspanialszy on.



(*Faust i Wagner nadchodzą*).

**Faust.** Z lodu zwolniła rzéki, strumyki
Wiosny ożywcza już siła;
W dalekie góry, w ciemne przesmyki
Stara się zima schroniła.
Ztamtąd w ucieczce szle ona w gości
Śniegi i bryły lodowe.
Lecz promień słońca wróg to białości,
Barwną on sieje pokrowę.
Jednakże kwiatów jeszcze nam nie stało,
Widzimy za to strojnych szat niemało.
Odwróć się tylko i spójrz na wyżyny,
Na córy miasta i na jego syny.
Zdala, z poza bramy krat,
Barwny wciąż się tłum wyłania,
Każdy się przechadza rad,
Święcąc dzień zmartwychpowstania,
Bo też z zadusznych swych poddaszy tam
Naprawdę zmartwychpowstał sam:
Z wąskich ulic dymu, tłoku,
Z świątyń poważnego mroku,
Z pęt wyrobku i rzemiosła,
Czerń na światło się wyniosła.
Patrz tylko, patrz, jak rzesza żwawo
Przez pola i ogrody się przebija,
I jak na rzéce tłumnie a jaskrawo
Rój różnobarwnych czółen się uwija.
Ruchoma fala wszędy płynie;
Toż nawet i na gór wyżynie
Pstrokate mieszczek błyszczą stroje;
Tu każdy znajdzie niebo swoje.
Już słyszę zdala rozgwar wsi,
Tu być człowiekiem wolno mi!

**Wagner.** Przechadzka z wami, korzyść to i chwała,
Lecz gdybym sam był, czcigodny doktorze,
To noga moja tuby nie postała;
Bo już powiedzieć muszę wam w pokorze,

Iż wrogiem jestem krzyków, dudleń, kręgli,
Na które ludzie tutaj się sprzysięgli.
Jak opętani wrzaskiem budzą echa,
I to ich śpiew radosny, ich uciecha.

**Wieśniacy pod lipą.** (*Taniec i śpiew*).

Pasterz sobie szedł na tany,
W kaftan kraśny, w kwiat przy-
Strojny jakby lala. [brany
Koło lipy tartas wrzał,
Porwał wszystkich tańca szał:
Hejże, hejże, hu, ha, hop!
Płynie smyczków fala.

I gdy szybko w wir ten wrzący
Wkraczał, trącił w bok niechcący
Dziewuchę milutką.
Ona groźny robi gest:
Kawalerze, głupiś jest!
Hejże, hejże, hu, ha, hop!
Powiem ci to krótko.

Tańczą w kole dzielnie, żwawo,
To na lewo, to na prawo,
Powiéwają suknie.
Pierś faluje, pała skroń,
Pędzą pary w dłoni dłoń:
Hejże, hejże, hu, ha, hop!
Choć je w bok kto stuknie.

Nie tak śmiały bądź, mój panie!
Oj, niedobre to kochanie,
Gdy się wam pozwala.
On nie skąpi zdradnych słów,
A z pod lipy huczy znów:
Hejże, hejże, hu, ha, hop!
Płynie smyczków fala.

**Stary wieśniak.** To pięknie, panie, z waszéj strony,
Że nie gardzicie dzisiaj nami,
Że mąż tak zacny i uczony
Przestawać raczy z prostakami.
Więc przyjmcie od nas dzban ten najpiękniejszy,
Napitku pełen aż po brzeg,
I niech nietylko wam pragnienie koi,
Nietylko troski niech umniejszy,
Lecz każda jego kropla, z ręki mojéj,
Niech wam o rok przedłuży wiek.

**Faust.** Przyjmuję chętnie dzban ten z waszéj ręki
I za życzenie szczére składam dzięki.
(*Lud gromadzi się około niego*).

**Stary wieśniak.** Doprawdy bardzo serca to niewoli,
Że z nami dziś dzielicie radość chwili;
Toć dawniéj przecie w każdéj ciężkiéj doli
I chwile smutku chętnieście dzielili.
Niejeden ze wsi stoi tu dziś żywy,
Co ojciec wasz z gorączki zaraźliwéj
Wyléczył go, gdy już z nim było krucho.
Pan doktor byłeś wtedy bardzo młody,

A jednak zawsze z radą i otuchą
Do nawiédzonéj szedłeś sam zagrody.
I wynoszono trupów ztąd niemało,
Lecz dzięki Bogu, wam się nic nie stało;
Przetrwaliście w straszliwéj téj potrzebie:
Naszemu zbawcy pomógł Zbawca w niebie.

**Wszyscy.** Życzymy zdrowia i chylimy czoła!
Niech długo jeszcze nas ratować zdoła!

**Faust.** Uchylcie czoła przed Tym, czyja siła
Ratować uczy i ratunek zsyła.
(*Idzie daléj z Wagnerem*).

**Wagner.** O mężu wielki! Jakąż dumę w tobie
Rozbudzać musi ta ogólna cześć!
Szczęśliwy, kto swe dary w każdéj dobie
Potrafi światu na pożytek nieść.
Toć ojciec cię synowi pokazuje,
I każdy śpieszy gdzieś ty jest;
Gdy ty nadchodzisz, taniec się wstrzymuje,
Dogóry czapki! korny każdy gest.
Omało że nie padną na kolana,
Jak gdyby wobec majestatu Pana.

**Faust.** Podejdźmy wyżéj, gdzie ten kamień leży,
I tam spocznijmy po wędrówce długiéj.
Toż nieraz ja w samotném rozmyślaniu
Siadałem śród gorących tu pacierzy
I pełen wiary, w wiosny méj zaraniu,
Łamaniem rąk, łzą rzewną i tęskliwą
Błagałem Boga, by na prośbę sługi
Powstrzymać raczył bujne śmierci żniwo.
Ten poklask tłumu bije mi o uszy
Szyderstwem tylko. Zajrzyj do méj duszy
I osądź ile ojciec, ile syn
Na sławę taką zasłużyli.
Mój rodzic był to sobie człek poczciwy,
Co na swój sposób każdy czyn
I każdy szczegół badał w danéj chwili,
Co i przyrodę, tajnie jéj i dziwy,
Oceniać umiał pilnie a dokladnie.
Bywało śród adeptów mu wypadnie
W magicznéj kuchni coś usmażyć,
Lub zlewek jakiś wstrętny warzyć.
Czerwony Lew, zalotnik śmiały,

Do Lilji się przybliża Białéj (1);
Obojgu potém płomieniste łoże
W weselnéj ściele się komorze.
Aż znów, upstrzoną w różne wzory,
Królową we szkle czar zaklęcia owiał
I lek gotowy.... Jeśli umarł chory,
Już nikt nie pyta czy téż kto wyzdrowiał?
I tak piekielne nasze te mikstury
Powyludniały nam doliny, góry,
Nierównie srożéj niźli mór.
Ja sam truciznę setkom podawałem,
A teraz słyszę, jak z zapałem
Morderców sławi pochwal chór.

**Wagner.** Dlaczego, mistrzu, próżno się smucicie?
Wszak mędrzec każdy dosyć ma zasługi,
Gdy to, co wziął po przodkach, pracowicie
I skrzętnie wiąże w badań szereg długi.
Żeś jako młodzian czcił ojcowską sztukę,
Zapewne każdy tobie to pochwali,
A jeśliś sam zbogacił czém naukę,
To syn twój z czasem pójdzie jeszcze daléj.

**Faust.** Szczęśliwy, w kim nadzieja nie wygaśnie,
Że z tylu błędów prawda się wynurzy.
To czego nie wiész, potrzebne ci właśnie,
A to co wiész, już może ci nie płuży.

Lecz niech godziny téj uroku
Żałobne myśli nam nie mącą!
Patrz, jak wieczorne słońce tam gorąco
Zabarwia chaty w purpurowym mroku.
Zachodzi już, dzisiejszy dzień przeżyty,
Lecz wskrzesi ono życie w światła fali.
O, czemuż nie mam skrzydeł, by przez szczyty
Podążać za niém daléj, coraz daléj?!
Ujrzałbym wtedy śród promieni
U moich stóp spokojny świat,
Płonące wzgórza, dolin cichych kwiat
I strumyk, co się w złotą rzékę mieni.
Polotu mego jużby nie wstrzymały
Otchłanie groźne, niebotyczne skały,
Wierzchołki gór i przepaściste jary.

---

(1) Mistyczna terminologia chemii średniowiecznéj.

Tam morze przed zdumionym wzrokiem
Rozwija wszystkie swoje czary
I słońca krąg osłania się obłokiem;
Pić pragnę jego światło wiekuiste!
Przedemną dzień, po zamną nocy cienie,
Nademną niebo kryształowe, czyste.
O! niedościgłe to marzenie!....

Ze skrzydłem ducha tylko z trudem
Cielesne skrzydło się jednoczy;
Lecz ponad ziemskim pyłem, brudem
Uczucia fala wciąż się toczy:
Gdy pod błękitnym niebios stropem
Skowronek grzmiącą swoję pieśń wydzwania,
Gdy po nad sosen ciemnym snopem
Wspaniale orzeł loty swe rozsłania,
Gdy przez jeziora i płaszczyzny
Żórawie ciągną do ojczyzny.

**Wagner.** I ja miéwałem różne bziki czasem,
Lecz pragnień takich nigdy nie pochwalę.
Najłatwiéj się przesycić polem, lasem,
A ptakom skrzydeł nie zazdroszczę wcale.
Inaczéj zgoła rozkosz nas duchowa
Unosi z księgi w księgę, z kart na karty;
Ponętną przy niéj bywa noc zimowa
I czujesz żar w swych członkach rozpostarty,
A w odczytanym starym pergaminie
Już niebo całe duszę twą opłynie.

**Faust.** Ty jeden tylko popęd czujesz w sobie
I obyś nigdy nie starł się z innemi!
Lecz w piersi mojéj dwie mieszkają dusze,
Niepogodzone, sprzeczne z sobą obie:
Gdy jedna, w grubych zmysłów zawierusze,
Jak kleszczmi chwyta się rozkoszy ziemi,
Wnet druga wznosi się w etery,
Do wielkich przodków niedościgłéj sfery.
Jeżeli duchy są w przestworach czystych,
Pomiędzy ziemią a niebem, w błękicie,
To niechże zstąpią z wyżyn promienistych
I w nowe, barwne mnie prowadzą życie!
O, gdybym posiadł cudem płaszcz skrzydlaty

I gdyby mógł w nieznane nieść mnie kraje,
Nie oddałbym go za najdroższe szaty,
Ni za królewskie gronostaje.

**Wagner.** Nie wyzywajcie téj potwornéj zgrai,
Co włada nami zdradnym swym powiewem
I tysiąckrotnych niebezpieczeństw siewem
Na zgubę się człowieka czai.
Z północy duchy ostre zęby szczerzą,
Mrozami ciebie rażąc, jakby strzałą;
Potężną znów ze wschodu mknąc nawałą,
Posuchę straszną wszędy szerzą;
Z południa cię pustyni tchnienie
Owiewa, niecąc żary na twe skronie;
Z zachodu dészcze leją wód strumienie,
Że mało świat w nich nie zatonie.
Usłużą chętnie, bo im tak potrzeba,
Posłuszne są, bo zdradę knują,
Udają wobec nas zesłańców z nieba
I anielskiemi szepty.... okłamują.
Lecz idźmy! Świat już zamroczony,
Powietrze ziębią mgły tumany;
Wieczorem dom najbardziéj pożądany...
I w cóżeś, mistrzu, tak wpatrzony?
Co wzrok twój w dal się tak przeciska?

**Faust.** Czy widzisz psa czarnego tam śród rżyska?

**Wagner.** No, widzę, lecz nie dziwię ja się temu.

**Faust.** Spójrz dobrze! Za co masz to zwierzę?

**Wagner.** Za pudla, który téż po psiemu
Trop pana śledząc, biedzi się tém szczerze.

**Faust.** Zważ tylko, ślimaczemi kręgi
On do nas się przysuwa bliżéj
I płomieniste za nim wstęgi
Strzelają wgórę coraz wyżéj.

**Wagner.** Czarnego pudla widzę, jak się skrada,
A was złudzenie chyba myli.

**Faust.** Mnie zda się jednak, że w téj chwili
Magiczne pęta pies ten na nas wkłada.

**Wagner.** Spostrzegam tylko, że lękliwie biega,
Bo zamiast pana, obcych dwóch spostrzega.

**Faust.** Zacieśnia krąg swój, już jest blisko.

**Wagner.** Toć to nie duch, lecz biédne psisko,
Co skomli i ogonem chwieje,

A wszystko to właściwe psu.
**Faust.** Wołamy cię! Do nogi, tu!
**Wagner.** Doprawdy, to pocieszne dzieje:
Gdy wy staniecie, i on czeka:
Mówicie doń, to wspina się i szczeka;
Zgubicie co, on wam odzyska szkodę,
Lub też wyłowi kij rzucony w wodę.
**Faust.** Masz słuszność, może mnie się tylko zdaje,
Że duch w nim tkwi, a wszystko to tresura.
**Wagner.** Gdy pies jest zmyślny, to się miłym staje
Mędrcowi nawet — taka psia natura,
A ten niech sam przed wami się pochwali,
Bo pewnie go studenci wychowali.

(*Wkraczają w bramę miejską*).

(Dalszy ciąg nastąpi).





# Karol Ernest von Baer

## i jego poprzednicy.

### KARTKA Z DZIEJÓW EMBRYOLOGII ZWIERZĄT.

---

Nur dadurch, dass wir das *Gewordene* im *Werden* erfassen, dürfen wir hoffen, einen Einblick in den oft sehr complicirten Bauplan, wie er vor allem die höchsten Lebewesen, die Wirbelthiere, charakterisirt, zu gewinnen.

*Wiedersheim.*

(Lehrb. der vergleich. Anatomie d. Wirbelth. 1883).

Ku końcowi roku ubiegłego odbyła się w Dorpacie uroczystość odsłonięcia pomnika zmarłego przed dziesięciu laty znakomitego embryologa, Karola Ernesta Baer'a. Okoliczność ta była nam pobudką do skreślenia obrazu działalności tego wielkiego męża, któremu nauka o rozwoju zwierząt zawdzięcza najdonioślejsze odkrycia. Dzieła jego, ze względu na materyał faktyczny i ogólne poglądy w nich zawarte, poczytują powszechnie za najlepsze ze wszystkich, jakie wogóle literatura embryologiczna wszech czasów i narodów posiada, i słusznie wskazują Baera, jako twórcę embryologii porównawczéj. On pierwszy w zakres badań swoich włączył wszystkie grupy zwierząt kręgowych, on pierwszy zbadał dokładnie tajniki rozwoju zarodka kurczęcia, on pierwszy usiłował ująć procesy, zachodzące przy rozwoju embryonu, w pewne prawa.

Embryologia jest nauką nową, nauką wieku XIX i zaledwie wątłe jéj zawiązki dadzą się odszukać w pismach dawniejszych naturalistów.

W dziele swojém „Περὶ ζώων γενέσεως" podaje Arystoteles niektóre uwagi, tyczące się rozmnażania i rozwoju zwierząt. Myśliciel ten obserwował rozwój zarodka kurczęcia i pierwszy zauważył w nim serce (στίγμη κινουμένη), pierwszy podał wiadomość o żyworodztwie rekinów i o istnieniu u nich łożyska, pierwszy poznał sposób roz-

mnażania się pszczół i niektórych mięczaków. Obserwacye jednak jego, choć były dość dokładne, uległy z czasem zupełnemu zapomnieniu i nie dały żadnego popędu do nowych w tym kierunku badań. Dopiero z odrodzeniem się anatomii w XVI w. występują na jaw pewne usiłowania, mające na celu badanie rozwoju zarodka ludzkiego i wyższych zwierząt, lecz usiłowania te do żadnych rezultatów na razie doprowadzić nie mogły. Wprawdzie w początkach XVII w. ogłosił słynny Fabricius ab Aquapendente, profesor w Pawii, dwa obszerne dzieła, poświęcone formowaniu się płodu, lecz z wyjątkiem niedorzecznych teoryi nic w nich nie odszukasz. Fabricius dużo rozprawia o procesach, odbywających się niewidocznie w jajku, mało zaś i zupełnie fałszywie mówi o tém, co dla gołego oka widoczném było. Według niego cały zarodek kurczęcia rozwija się ze sznurków, przytrzymujących żółtko w jajku, czyli z t. zw. *chalazae*, podczas gdy żółtko twórcze (*discus proligerus*) przedstawia według Fabriciusa tylko bliznę, powstałą wskutek oddzielania się jajka od jajnika.

Dopiero, gdy w drugiéj połowie XVII wieku Regner de Graaf odkrył w jajniku zwierząt ssących pęcherzyki, od niego pęcherzykami Graafa nazywane i długi czas błędnie za jajka poczytywane, poszukiwania embryologiczne zwróciły się na nowe tory. Wkrótce po tém odkryciu przedstawia Swammerdam rozwój jajka żaby, z rysunkami pierwszych stadyów bróżdkowania żółtka, a Malpighi daje niektóre dokładne obserwacye nad rozwojem zarodka kurczęcia.

Prąd spekulacyjny, jaki panował w w. XVIII w naukach przyrodniczych, głośném odbił się echem i w embryologii. Nie obserwacyi żądano, lecz zadawalniano się teoretycznem rozwiązywaniem kwestyi, które mogły być rozstrzygnięte li drogą spostrzeżeń. Dwie teorye panowały wówczas o rozwoju zarodka: teorya ewolucyi i teorya epigenezy. Według teoryi ewolucyi, któréj najgorętszymi zwolennikami byli Leibnitz, Bonnet i Haller, w rozwijającém się jajku istnieje już gotowy zarodek ze wszystkimi organami, cały zaś rozwój polega tylko na wzroście tych organów. W jajku zatém przypuszczali istnienie mikroskopowego, niewidzialnego początkowo organizmu, a skoro istnienie gotowego organizmu w jajku było przyjętém jako fakt, wszelkie obserwacye embryologiczne stawały się zbytecznemi.

Zupełnie innego zdania o rozwoju zarodka byli zwolennicy teoryi epigenezy. Według téj teoryi zarodek rozwija się w jajku stopniowo wskutek rdzennych zmian w niém zachodzących, a chociaż ta teorya odpowiada rzeczywistości, długo jednak nie była przyjmowaną już dla tego, że jéj nie uznawał Haller.

Obaleniem teoryi ewolucyi i ustaleniem teoryi epigenezy zyskał sobie Kasper Fryderyk Wolff (1733—1794) wielką zasługę w dziejach embryologii. Znakomity ten uczony nietylko wzbogacił naukę licznemi ścisłemi obserwacyami, lecz także pierwszy ugruntował podwaliny racyonalnéj teoryi embryologicznéj. W roku 1759 wydał on w Halli rozprawę p. t. *Theoria generationis*, w któréj śmiało uderza na zwolenników teoryi ewolucyi i rysuje obraz stopniowego rozwoju zarodka. Jako gorący zwolennik teoryi epigenezy, uznawał potrzebę bliższego badania procesów, zachodzących w zapłodnioném jajku, i już w r. 1768 ogłosił jako akademik w Petersburgu znakomitą swoję pracę *De formatione intestinorum*, w któréj znacznie naprzód posuwa znajomość rozwoju zarodka kurczęcia. Na uwagę zasługują zwłaszcza jego spostrzeżenia nad rozwojem kanału pokarmowego; dowiódł bowiem, że organ ten u kurczęcia rozwija się z listka rozpłaszczonego, który przyjmuje stopniowo kształt żłobka, brzuszną swoją stroną przylegającego do żółtka. Komunikacya pomiędzy kanałem pokarmowym a żółtkiem coraz się zwęża, tak, że wkrótce pozostaje tylko otwór pępkowy, który téż niebawem znika. W ten sposób tworzy się rurka, która zupełnie oddzieloną jest od żółtka i wkrótce otrzymuje otwory zewnętrzne, otwór gębowy i otwór odchodowy. „Przez te poszukiwania Wolffa został poraz pierwszy zbadany organ od swego zaczątku do zupełnego rozwoju i, co ważniejsza, rozwój tak złożonego organu, jak kanał pokarmowy, sprowadzony został do prostego listowatego zaczątka“ (Kölliker: *Entwicklungsgeschichte des Menschen und der höheren Thiere*, *1879*, str. 10).

Jeszcze większe, aniżeli powyższe obserwacye, znaczenie dla historyi rozwoju zwierząt posiadają wnioski teoretyczne Wolffa, wyłożone w dziele o powstawaniu kanału pokarmowego. Jako właściwy odkrywca metamorfozy roślin, którą wygłosił już w 26-tym roku życia, a którą powszechnie niesłusznie przypisują Goethemu, szukał on również organów zasadniczych w ciele zwierzęcém. Skoro wszystkie organy roślinne dają się sprowadzić do liścia, skoro części składowe kwiatu przedstawiają tylko przeobrażone liście, sądził Wolff, że i organy zwierzęce dadzą się sprowadzić do wspólnego mianownika. Jakoż przekonał się, że zaczątek kanału pokarmowego przedstawia wielkie podobieństwo do zaczątku systemu nerwowego, naczyniowego i mięśniowego, wskutek czego pierwszy wypowiada myśl o wykształceniu się zarodka z utworów listkowych. „Ta wcale nie urojona, lecz na pewnych spostrzeżeniach oparta i nadzwyczaj zadziwiająca analogia części tak od siebie w zasadzie różnych zasługuje w wysokim stopniu na uwagę fizyologów, témbardziéj, że posiada głębokie znaczenie i znajduje się w ścisłym związku

z rozwojem i naturą zwierząt. Zdaje się, jakoby się wielokrotnie tworzyły jeden po drugim według wspólnego typu różne systemy, dające początek całemu zwierzęciu, i że systemy te są do siebie podobne, chociaż w zasadzie różnią się od siebie. System, który się nasamprzód tworzy, który nasamprzód przybiera właściwy kształt, jestto system nerwowy. Po jego utworzeniu powstaje według tegoż typu system mięśniowy. Potém zjawia się system trzeci, naczyniowy, który oczywiście nie jest o tyle odmienny od poprzednich, ażeby nie można było rozpoznać w nim formy, wspólnéj wszystkim systemom. Potém następuje system czwarty, kanał pokarmowy, który znów jest utworzony według tego samego typu i który, jako skończona, zamknięta w sobie całość, wydaje się podobnym do trzech pierwszych."

Jakkolwiek powyższe uwagi Wolffa dowodzą, że badacz ten niedokładne tylko miał wyobrażenie o całości rozwoju zarodka, niemniéj jednak ważne są z tego względu, że w nich poraz pierwszy przebija się genialna myśl o rozwoju wszystkich organów z utworów listkowych, myśl, około któréj koncentrują się obecnie wszystkie poszukiwania embryologiczne. Na nieszczęście jednak myśl ta nie znalazła uznania śród współczesnych mu badaczy po pierwsze dla tego, że umysł ich był zagwożdżony najniedorzeczniejszemi teoryami i wszelkie nowatorstwo przyjmował z niedowierzaniem i lekceważeniem, powtóre zaś dlatego, że Wolff uczynił swoją pracę mało zrozumiałą, albowiem w celu uprzystępnienia badań swoich wyłożył je wprawdzie obszernie lecz zbyt chaotycznie, i wprowadził takie mnóstwo terminów, że osiągnął rezultat wręcz przeciwny. Jak mało znaną była praca jego, dowodzi fakt, że Oken, który w r. 1806 ogłosił swoje badania nad rozwojem kanału pokarmowego, nie wiedział nawet wcale o jéj istnieniu. Rozpowszechnienie myśli swoich zawdzięcza Wolff Meckel'owi, który w r. 1812 przełożył pracę jego na język niemiecki.

Jedynym badaczem, który po wyjściu tego przekładu zrozumiał doniosłość idei Wolffa, był Pander. Ten rozgłośną sławę swą w nauce zawdzięcza faktowi, że drogą obserwacyi stwierdził wnioski teoretyczne Wolffa. Według niego początkowo w zarodku kurczęcia uwydatnia się jedna warstwa, t. zw. listek śluzowy; na jego zewnętrznéj stronie powstaje późniéj listek surowiczy, następnie zaś pomiędzy niemi występuje trzecia warstwa, naczyniowa.

Z ogłoszeniem znakomitych prac Pandera: *Dissertatio inaug. sistens historiam metamorphoseos, quam ovum incubatum prioribus quinque diebus subit* (Würzburg 1817), oraz *Beiträge zur Entwicklungsgeschichte des Hünchens im Eie* (tamże 1817), założone zostały podwa-

liny teoryi listków zarodkowych. Pander jednak bardzo mało mówi o przemianach, zachodzących w tych listkach i o rozwoju z nich organów i dopiero Baer znakomitemi pracami swemi zdołał należycie teoryą listków zarodkowych ugruntować.

Nim przejdziemy do rozpatrzenia prac Baera i do szczegółowego wyłuszczenia jego zasług na polu embryologii, podamy w kilku słowach opis życia jego, skreślony na podstawie książki, wydanéj dla uczczenia 50 letniego jubileuszu doktorskiego Baera, w r. 1865 przez stan szlachecki w Estonii (*Nachrichten über Leben und Schriften des Herrn Geheimrathes Dr. Karl Ernest v. Baer mitgetheilt von ihm selbst*).

Urodzony d. 28 lutego 1792 roku w majątku ojczystym Piep w Estonii, Baer pierwsze nauki pobierał w gimnazyum w Rewlu, poczém studyował medycynę w Dorpacie w latach 1810—1814. Uzyskawszy tu stopień doktora medycyny, udał się dla dalszego kształcenia się do Würzburga, gdzie wówczas przebywali najznakomitsi zoologowie i gdzie pod kierunkiem sławnego Döllingera oddawał się studyom nad anatomią porównawczą razem z późniejszym swym przyjacielem Panderem. Powolany w r. 1817 przez Burdacha do Królewca, został prosektorem, następnie (1819) profesorem nadzwyczajnym, wkrótce zaś profesorem zwyczajnym zoologii, a po ustąpieniu Burdacha w r. 1826 objął zarząd instytutu anatomicznego. W r. 1829 został akademikiem w Petersburgu i godność tę z krótką tylko przerwą piastował do r. 1862, poczém został członkiem honorowym akademii. Jako członek czynny akademii petersburskiéj odbył Baer liczne podróże kosztem rządu w celu zbadania Rosyi, a rezultaty swoich poszukiwań ogłaszał w Pamiętnikach i Bulletynach Akademii. Od r. 1851—1856 zajmował się z polecenia rządu badaniem rybołówstwa w jeziorze Pejpus, na brzegach rosyjskich morza baltyckiego i na morzu kaspijskiem, co ogłoszoném zostało w czterotomowém dziele, wydaném w Petersburgu w r. 1857—1859. Baer umarł w Dorpacie w d. 28 listopada 1876 r.

Z licznych prac Baera, których spis w końcu autobiografii zajmuje blisko 70 stronic druku, a które dotyczą anatomii, zoologii, etnografii, geografii i historyi, pomnikowemi po wszystkie czasy pozostaną dwa dzieła embryologiczne, ogłoszone na początku działalności naukowéj Baera. Mam tu na myśli pracę „*De ovi mammalium et hominis genesi*, *Lipsiae* 1827,“ w któréj autor komunikuje doniosły fakt odkrycia istotnego jajka u zwierząt ssących, oraz podstawowe dzieło „*Ueber Entwicklungsgeschichte der Thiere*, *Beobachtungen und Reflexion*“ (część I, 1828, część II, 1837), obejmujące całkowity rozwój zwierząt kręgowych. Z temi dwoma dziełami zaznajomimy czytelników nieco obszerniéj.

Widzieliśmy już wyżéj, że teorya listków zarodkowych otrzymała silne poparcie i stanęła na gruncie faktycznym dzięki poszukiwaniom Pandera. Oken, któremu się zdawało, że dokładnie zbadał rozwój zwierząt ssących, a który w rzeczywistości skonstatował tylko przedłużenie kanału pokarmowego do pęcherza żółtkowego, z niecierpliwością oczekiwał rezultatów badań Pandera i zaraz po ich ogłoszeniu umieścił w redagowanéj przez siebie Isis (1817) sprawozdanie, w którém podał najistotniejsze ustępy z pracy Pandera, lecz w którém również w sposób dobitny przyznaje się do ich niezrozumienia. Okenowi przyznać należy tę zasługę, że zarówno swoje błędne poglądy, jak i myśli genialne wypowiadał zawsze z całą otwartością i szczerością. Słusznie domagał się Oken w powyższém sprawozdaniu szematycznych przekrojów, któreby uwidoczniały zawiłe procesy, zachodzące przy rozwoju. „Nie rozumiemy nic—powiada Oken,—jak u Wolffa, i chcielibyśmy wiedziéć, czy ktokolwiek to rozumie.“

Ta ogólna niedostępność poszukiwań Wolffa i Pandera skłoniła Baera w r. 1819 do przedsięwzięcia rozległych w tym kierunku badań. Baer był wówczas, jak wiemy prosektorem przy prof. Burdachu i na tém stanowisku gruntownie się zaznajomił z anatomią porównawczą, co mu również dało klucz do zrozumienia procesów, zachodzących w rozwijającém się jajku. Przejęty teoryą listków zarodkowych, zwrócił Baer przedewszystkiém główną uwagę na tę kwestyą i wkrótce doszedł do rezultatów, które nietylko potwierdzały ogólną myśl Wolffa i Pandera, lecz ją znacznie rozwinęły, uzupełniły i na właściwym postawiły gruncie. Teorya listków zarodkowych w téj formie, w jakiéj ją podał po raz pierwszy Baer, zdołała się utrzymać dotychczas w nauce w obec najściślejszych poszukiwań embryologicznych i ta spuścizna po Baerze przekazana potomstwu należy do najdroższych skarbów, jakie nauka posiada.

W najogólniejszych zarysach myśl Baera daje się sformułować w sposób następujący. Początkowo zarodek nie jest zróżniczkowany, zewnętrzna powierzchnia jego jest gładka, wewnętrzna ziarnista. Późniéj następuje podział zarodka na trzy warstwy: zewnętrzną—zwierzęcą (*animale*), wewnętrzną—roślinną (*vegetative*) i środkową—indyferentną. Są to trzy listki zarodkowe w tém znaczeniu, w jakiém je obecnie pojmujemy: zewnętrzny—ektoderma, wewnętrzny—entoderma i środkowy—mezoderma. Środkowa warstwa pozostaje na razie niezmienioną, późniéj jednak rozszczepia się na dwie blaszki, z których jedna przylega do warstwy zwierzęcéj, druga zaś do warstwy wewnętrznéj. Te dwie blaszki przedstawiają somatyczną (ścienną) i wisceralną (trzewiową) warstwę mezodermy, a utworzona przez

ich rozszczepianie szczelina reprezentuje zaczątek jamy ciała (*coelom*). U Baera somatyczna warstwa mezodermy nazwaną jest mięśniową, bo z niéj rozwijają się mięśnie ścianek ciała tj. mięśnie, których ruchy zależą od naszéj woli (mięśnie dowolne), wisceralna zaś—warstwą naczyniową, bo z niéj bierze początek między innemi układ krwionośny. W ten sposób po zróżnicowaniu się mezodermy na dwie różne warstwy, zarodek składać się będzie z dwóch warstw podwójnych: zewnętrznéj czyli ekto-mezodermalnéj czyli właściwéj zwierzęcéj, bo z niéj rozwijają się organy życia zwierzęcego, i wewnętrznéj czyli mezo-entodermalnéj czyli właściwéj roślinnéj, bo z niéj biorą początek organy życia roślinnego. W skład warstwy zwierzęcéj wchodzą blaszka skórna i mięśniowa, w skład zaś warstwy roślinnéj—blaszka naczyniowa i śluzowa.

Tak sformułowana teorya listków zarodkowych jest obecnie w nauce ogólnie przyjętą i w takiéj też formie występuje ona u Baera, naturalnie bez terminów *ekto-*, *mezo-*, *entoderma*. które zostały do nauki wprowadzone w nowszych dopiero czasach. Jeżeli brakowało czegoś teoryi Baera, to podkładu histogenetycznego. Baer nie sprowadza oddzielnych listków zarodkowych do komórki, i dla tego o pierwszych procesach, zachodzących w jajku, tylko niedokładne daje pojęcie. Dokładne zrozumienie tych procesów zostało umożebnione po udoskonaleniu mikroskopu i po odkryciu komórki zwierzęcéj, co nastąpiło dopiero po zupełném ukończeniu i ogłoszeniu prac Baera.

Uczony nie zadowolnił się powyższymi wynikami swych badań. Usiłował on po raz pierwszy zgłębić tajemnicę pozostawania organów i na tym punkcie znakomite otrzymał rezultaty. Wszystkie organy tworzą się z listków zarodkowych w postaci fałd i wpukleń. Z warstwy skórnéj rozwija się całkowity system skórny i centralny system nerwowy: mózg i rdzeń. System nerwowy bierze początek ze środkowéj części warstwy skórnéj w postaci dwóch wzniesień, które brzegami swymi stykają się, stopniowo się zbliżając do siebie, i w ten sposób tworzy rurę, z któréj różnicuje się mózg i rdzeń. Układ kostny i mięśniowy wyprowadza Baer z warstwy mięśniowéj. Zasługuje na uwagę ta okoliczność, że Baer opisuje poraz pierwszy strunę grzbietową (*chorda dorsalis*), jako organ poprzedzający rozwój stosu kręgowego i pozostający całe życie u ryb chrząstkowatych. Sama nazwa „*chorda dorsalis*“ bierze swój początek od Baera.

Co się tyczy głębszych dwóch warstw: naczyniowéj i śluzowéj, to według Baera łączą się one i tworzą razem kanał pokarmowy oraz krezki. Organy zmysłów wyprowadza Baer z systemu nerwowego, ślinianki, wątrobę, trzuskę i płuca, z kanału pokarmowego w postaci

wypukleń, które się późniéj różnicują. Nareszcie serce, naczynia, nerki i organy płciowe rozwijają się według Baera z listka naczyniowego.

Baer robił początkowo swoje poszukiwania na jajku kurzém, potém rozszerzył je na gady, płazy i ryby, wzbogacając w ten sposób naukę licznemi odkryciami, które mu słusznie dały imię pierwszego embryologa porównawczego. Te porównawczo-embryologiczne badania oprócz skupienia ogromnego materyału faktycznego doprowadziły Baera jeszcze do wniosków ogólniejszych, mających znaczenie filozoficzne. Badając rozwój zwierząt ssących, zauważył Baer uderzające podobieństwo zarodków tych zwierząt do zarodków kurczęcia i uwagi jego bystrego umysłu nie mogła ujść zasadnicza jedność, wspólność rozwoju zwierząt, zaliczanych do różnych grup systematycznych. Baer powziął przekonanie, że systematyczne badanie rozwoju zwierząt ssących, przeprowadzone przez wszystkie stadya do pierwszego zaczątku, jeszcze więcéj uwydatnić zdoła zasadnicze to podobieństwo i otóż poszukiwania jego nad rozwojem psa w zupełności usprawiedliwiły taki pogląd. Postępując od stadyów starszych zarodka do coraz młodszych, zauważył Baer, że zarodek staje się stopniowo prostszym, że zarodek psa staje się coraz podobniejszym do zarodka kurczęcia zarówno w budowie głowy, jak i całego ciała, aż nareszcie doszedł do takich stadyów, których odróżnianie od odpowiednich stadyów zarodka kurczęcia staje się niemożliwém. Te poszukiwania, jak zobaczymy niżéj, doprowadziły Baera do wykrycia jajka u zwierząt ssących, lecz oprócz tego dały mu materyał do wygłoszenia praw rozwoju zwierząt, obecnie ogólnie przyjętych.

Wiadomo, że całe królestwo zwierzęce składa się z kilku typów. Każdy typ obejmuje grupę zwierząt, które pod względem ogólnego planu budowy są do siebie podobne. Odróżniamy więc typ kręgowców, mięczaków, członkonogów, robaków itd. Był czas, kiedy za Cuvier'em poczytywano typ za osobną, zamkniętą w sobie całość, kiedy nie znano wcale form przejściowych, łączących oddzielne typy ze sobą, i jakkolwiek już wówczas głoszono teoryą stopniowego rozwoju świata zwierzęcego (Buffon, Etienne Geoffroy St. Hilaire, Lamarck, Göthe), teoryą, którą dopiero należycie rozwinął i ugruntował Darwin, wobec jednak braku faktów teorya ta wówczas ostać się nie mogła.

Otóż badając rozwój zwierząt do jednego typu należących, doszedł Baer do wniosku, że typ wyraża się już w zarodku i kieruje całym rozwojem zwierzęcia. Jeżeli weźmiemy zarodek zwierzęcia kręgowego, to się przekonamy, że najwcześniéj rozwijającym się

organem jest stos kręgowy, następnie zjawiają się najwięcéj charakterystyczne cechy oddzielnych klas, późniéj dopiero występują cechy dalszéj grupy itd. Z ogólnego typu z czasem wykształcają się grupy podrzędne, co pozwala nam przyjąć, że im więcéj dwie formy różnią się od siebie, tém wcześniejsze stadya ich rozwoju badać należy, ażeby znaleść pomiędzy niemi podobieństwo. To podobieństwo jednak nasunęło już Baerowi myśl, czy na samym początku rozwoju wszystkie zwierzęta nie są do siebie podobne i czy nie da się odnaleść forma pierwotna, wspólna wszystkim zwierzętom? Badając rozwój zwierząt z tego punktu widzenia, znalazł Baer, że zaczątek wszystkich zwierząt przedstawia się w postaci zbitéj masy, w któréj późniéj występuje jama, tak że cały zarodek przyjmuje postać pęcherza—blastuli w dzisiejszém pojęciu embryologów. Zaczątek ptaków należy rozpatrywać jako pęcherz, stopniowo obrastający żółtko, jajko żaby posiada również kształt pęcherza wcześniéj, aniżeli wystąpią w niém cechy zwierzęcia kręgowego, to samo da się powiedzieć o zwierzętach ssących. Ponieważ zarodek przedstawia najmniéj rozwinięte zwierzę, to przyjąć należy, że ogólną najprostszą formą, z któréj zwierzęta się rozwinęły jest pęcherz—blastula. Ta myśl Baera w zupełności się zgadza z pojęciami, które panują obecnie w nauce. Blastula występuje przy rozwoju licznych form zwierzęcych, z niéj powstaje najczęściéj, dzięki wpukleniu jednéj połowy pęcherza w drugą (inwaginacyi), t. z. gastrula, t. j. zarodek o dwóch warstwach, zewnętrznéj (*ektoderma*) i wewnętrzéj (*entoderma*), i dopiero późniéj pomiędzy niemi grupuje się środkowa warstwa zarodkowa (*mezoderma*), biorąca początek z dwóch pierwszych. W ten sposób zarodek staje się trójwarstwowym, z trzech listków złożonym. Nowsze badania wykazały, że trójwarstwowy zarodek właściwy jest wszystkim grupom zwierzęcym, z wyjątkiem pierwotniaków, których ciało składa się z jednéj komórki.

Wychodząc z powyższego punktu zapatrywania tj. przyjmując, że dla skonstatowania podobieństwa między różnemi formami zwierzęcemi należy badać tém niższe stadya rozwoju, im różnica pomiędzy temi formami jest większą, Baer kreśli następujące prawa rozwoju: 1) Ogólne cechy jakiejkolwiek grupy zwierzęcéj występują wcześniéj aniżeli cechy szczegółowe. 2) Z najogólniejszych cech wykształcają się najprzód mniéj ogólne, a następnie stopniowo coraz więcéj szczegółowe, aż nareszcie zjawią się cechy rodzinne, rodzajowe i gatunkowe. 3) Zarodek każdéj określonéj grupy coraz więcéj oddala się od stadyów drugiéj grupy, tak że zarodek jakiegokolwiek zwierzęcia wyższego podobny jest tylko do zarodka zwierzęcia niższego, nigdy zaś nie jest podobny do dojrzałéj formy tego

zwierzęcia. Prawa powyższe dadzą się sformułować w sposób następujący: *Rozwój wszystkich organizmów złożonych postępuje od znamion ogólnych do szczegółowych*; *stopniowo rozwijają się cechy, wspólne większéj liczbie zwierząt, późniéj dopiero zjawiają się cechy, właściwe pojedyńczym grupom, rodzinom, rodzajom i gatunkom.* Jestto *prawo Baera.*

Idea Baera o podobieństwie zarodków wyższych zwierząt do zarodków zwierząt niższych została przed 20 laty nieco modyfikowaną przez Haeckla w znakomitém jego dziele: „*Die Generelle Morphologie der Organismen*“ (1866) i ujęta w t. zw. *zasadnicze prawo biogenetyczne*, mające doniosłe znaczenie dla zrozumienia genealogicznego pokrewieństwa zwierząt. Według Haeckla wyższe zwierzęta w stanie zarodkowym przechodzą stadya, w jakich zwierzęta niższe pozostają całe życie, czyli innemi słowy *rozwój osobnikowy* (*ontogenia*) *zwierząt jest krótkiém i prędkiém powtórzeniem rozwoju całego szeregu przodków danego organizmu, rozwoju całego rodu* (*filogenii*). „Ścisły ten związek ontogenii i filogenii jest, według mnie, jednym z najważniejszych i najbardziéj niezaprzeczonych dowodów teoryi pochodzenia. Nikt nie jest w stanie objaśnić tych objawów, nie sprowadzając ich do praw odziedziczania i przystosowywania; one jedne mogą je wytłómaczyć, szczególnie zaś wspomniane powyżéj prawa skróconego, jednoczesnego i jednomiejscowego odziedziczania. Wszelki wysoko stojący i zawikłany ustrój, jak np. ludzki lub każdego innego ssaka, rozwijając się, różniczkując i udoskonalając coraz bardziéj, przechodzi przez ten sam szereg przekształceń, przez które przechodzili jego zwierzęcy przodkowie od niepamiętnych czasów i przez olbrzymio długie peryody... Pewne bardzo wczesne i niskie stopnie rozwojowe zarodków ludzkich i wyższych kręgowców, odpowiadają pewnym ukształceniom, które trwają przez całe życie u ryb. Potém następuje przekształcenie ciała podobnego do ryby w ciało podobne do skrzeka. Daleko późniéj rozwija się z ostatniego ciało ssaka z właściwemi mu oznakami, a w następujących po sobie stopniach rozwoju można rozróżnić cały szereg postępowych przekształceń, odpowiednich różnicom rozmaitych rzędów i rodzin zwierząt ssących. W takiém samém następstwie szeregowém widzimy także przodków ludzi i wyższych ssaków, pojawiających się w dziejach ziemi: naprzód ryby, potém skrzeki, późniéj niższe ssaki, a dopiero ku końcowi wyższe zwierzęta. Zarodkowy przeto rozwój danego osobnika jest ściśle równoległym paleontologicznemu rozwojowi odnośnego rodu. Ważny ten i zajmujący objaw daje się objaśnić jedynie tylko przez Darwinowską teoryą doboru, przez kolejne oddziaływanie praw przystosowywania i odziedziczania“ (Haeckel: Dzieje utworzenia przyrody, 1871. Tom I, str. 209).

Baer dokładnie nie zdawał sobie sprawy z doniosłości swych poszukiwań i nie przypuszczał, że prawa jego staną się pożądanym kluczem do zrozumienia teoryi naturalnego doboru. Baerowi zdawało się, że badania jego ugruntują teoryę typów Cuviera i wykorzenią kiełkującą wówczas myśl o stopniowym rozwoju organizmów, gdy tymczasem myśl ta znalazła w dziele Baera żyzny grunt do zupełnego ukształtowania. Baer dał pierwsze zasady embryologiczne, w wysokim stopniu potwierdzające teoryą wspólnego pochodzenia organizmów.

Znakomite swoje obserwacye ukończył Baer w 1821 roku i najgłówniejsze rezultaty wyłożył tegoż roku w trzech prelekcyach w towarzystwie lekarskiém w Królewcu. Z ogłoszeniem tych badań nie śpieszył się Baer i w ciągu następnych lat sprawdzał i uzupełniał wyniki swych poszukiwań. Ten brak pośpiechu, właściwy wszystkim dawniejszym badaczom, tłómaczy nam, dlaczego ich prace pomimo przestarzałości poglądów czytają się jeszcze dziś z pożytkiem, albowiem podane w nich fakty oparte są na ścisłych i sumiennych obserwacyach. Niestety, tego się nie da powiedzieć o dzisiejszych pracownikach, którzy najdrobniejszy fakt, powierzchownie obserwowany, z gorączkowym pośpiechem ogłaszają *urbi et orbi*, ażeby wkrótce został przez nich samych odwołany, albo przez kogo innego obalony. To nam tłómaczy ogromny wzrost dzisiejszéj literatury zoologicznéj, utrudniający prawidłowe i systematyczne studya. Dzisiejsza nauka przedstawia mieszaninę ziarn i plew, których odróżnianie bywa bardzo trudném. Niechaj embryologowie nasi wezmą sobie za wzór w tym względzie Baera i niechaj w ogłaszaniu swych badań naśladują mistrza, a wtedy jedna ich praca sumienna ważyć będzie na szali nauki więcéj, aniżeli dziesiątki lichych elaboratów, choćby w różnych językach pisanych.

Poszukiwania swoje nad rozwojem zwierząt ogłosił Baer poraz pierwszy w r. 1826 w encyklopedycznéj fizyologii, wydanéj przez Burdacha. Oddzielnie wydał je w r. 1828 z licznemi dopełnieniami i rysunkami. Zaraz po wyjściu dzieło to zostało przetłómaczone na język francuski przez Brescheta, a w r. 1855 podał zeń Huxley liczne wyjątki w swoim *Scientifical memoirs* jako „*Fragments relating to Philosophical Zoology.*“

Wspomnieliśmy już wyżéj, że poszukiwania porównawcze nad rozwojem zwierząt kręgowych doprowadziły Baera do wykrycia jajka zwierząt ssących. Rozwój zwierząt ssących najwięcéj pociągał ku sobie badacza zarówno pod względem kształtowania się zarodka, jak i pierwszych procesów, zachodzących w jajku. Rozpatrując naj-

niższe stadya rozwoju psa, znalazł Baer w jajowodach bardzo małe na wpół przezroczyste pęcherzyki, które przedstawiały zaczątki zarodka. Od tak młodych stadyów do samego niezróżnicowanego jeszcze jajka krok był niedaleki i jakkolwiek Baer nie przypuszczał nawet, żeby mu się udało dotrzéć do tego początku życia, niemniéj jednak zdołał wydrzéć naturze tajemnicę, która gęstą mgłą otaczała początki rozwoju zwierząt ssących i człowieka.

Jajnik zwierząt ssących i człowieka składa się w stanie zupełnie rozwiniętym z bogatéj w naczynia i gladkie włókna mięśniowe tkanki łącznéj (*stroma ovarii*), w któréj rozmieszczone są w wielkiéj ilości pęcherzyki Graaf'a, dochodzące u człowieka wielkości od 1 do 1,5 mm. Każdy pęcherzyk Graafa otoczony jest gęsto utkaną błoną z tkanki łącznéj (*theca folliculi*). Wewnętrzną powierzchnię téj błony wyściela wielowarstwowy nabłonek, tak zw. *membrana granulosa*. Wnętrze pęcherzyka wypełnia jasno-żółty płyn—*liquor folliculi*. Na jednéj stronie pęcherzyka komórki nabłonkowe tworzą wzniesienie t. z. *discus oophorus*, w którego środku zawarte jest jajko (*ovulum*) Jajko ludzkie przedstawia okrągły 0,18—0,2 mm. wielkości pęcherzyk, w którym można odróżnić następujące części składowe: grubą, zbitą, prążkowaną błonę (*zona pellucida*), ziarnistą, protoplazmatyczną zawartość (żółtko, *vitellus*), w któréj się mieści jądro (*vesicula germinativa*), a w tém ostatniém znajduje się jąderko (*macula germinativa*). Większe pęcherzyki Graaf'a leżą zwykle blisko powierzchni jajnika. W czasie menstruacyi pęka dojrzały pęcherzyk, płyn w nim zawarty wylewa się, a jajko wchodzi do jajowodu i tu zostaje zapłodnione. Pęcherzyk uwolniony od zawartości marszczy się, komórki nabłonkowe ulegają zwyrodnieniu tluszczowemu i na jajniku pozostaje wskutek tego żółta blizna t. zw. *corpus luteum*. Jajko zaś, jeżeli zostało zapłodnione, ulega dalszemu rozwojowi.

Tak się przedstawia rzecz cała w świetle nowoczesnych badań.

Ażeby dokładnie ocenić doniosłość odkrycia jajka u zwierząt ssących i człowieka, przytoczymy tu za Baer'em poglądy w kwestyi powstawania jajka, jakie panowały na początku niniejszego stulecia. Poglady te wygłoszone zostały jeszcze w połowie XVIII wieku przez Albrechta Hallera. Słynny ten mąż znany był ze swéj rozległéj uczoności i niepojętéj pilności. Był on bezwątpienia pierwszym anatomem i fizyologiem. Haller pracował samodzielnie we wszystkich gałęziach tych umiejętności i wydał najważniejsze i najobszerniejsze dzieła z téj dziedziny. Interesował się on naturalnie i embryologią. Poglądy jego na rozwój zwierząt, znane w nauce pod niewłaściwą nazwą teoryi ewolucyi, poznaliśmy już wyżéj i dziwić się tylko należy, że mąż ten wyznawał tak dziwne pojęcia, skoro sam zbadał roz-

wój serca i kości u zarodka kurczęcia. Haller pragnął ujrzéć na własne oczy jajko zwierząt ssących i w tym celu na rok przed wyjazdem swoim z Gettyngi, gdzie był profesorem (1752), wszedł w stosunki ze studentem Kuhlemannem, ażeby przedsięwziąć szereg poszukiwań nad zapłodnionemi zwierzętami, których parzenie się mogło być dokładnie spostrzeżone. Dla urzeczywistnienia tych zamiarów wybrano owce. Kuhlemann wziął na siebie znaczne koszta, pilnowanie owiec i określenie momentu parzenia się, Haller zaś miał robić ścisłe poszukiwania w sali sekcyjnéj. Na badania te poświęcono 40 owiec, pomimo to jednak żadnych rezultatów nie otrzymano. Chociaż Haller przyznawał, że pęcherzyki Graafa ważny mają wpływ na dalszy rozwój jajka, gdyż u zwierząt, które się jeszcze nie parzyły, pęcherzyki te były zamknięte, po parzeniu zaś jeden pęcherzyk, a u zwierząt rodzących wiele młodych kilka pęcherzyków było otwartych i z czasem przeobrażało się w żółtą bliznę, chociaż Haller — według słów Baer'a — zdawał sobie sprawę z tych faktów, niemniéj jednak udawało mu się odnaleść jajko dopiéro na 17, albo 18 dzień, czyli wtedy, kiedy już jajko to było dość duże i uległo pierwszym procesom rozwoju. Przy poszukiwaniach nad innemi zwierzętami nie był Haller szczęśliwszy. Dla tego téż wnioskował, że z pęcherzyków Graafa wydziela się płyn, który w macicy staje się śluzowatym i z niego tworzy się zarodek wskutek krystalizacyi. Za pierwszą błonę zarodka poczytywał Haller t. z. omocznię (*allantois*), która właściwie jest ostatnią. Dzięki owéj powadze zdołał Haller poglądy te na pewien czas utrzymać w nauce i znajdujemy je nawet w I tomie Fizyologii Burdacha, wydanym w r. 1826, z pominięciem tylko słowa „krystalizacya.“ Taki sposób powstawania zarodka zwierząt ssących i człowieka demonstrowano nawet w wykładach uniwersyteckich, tak pokazywano ten proces Baerowi, kiedy studyował medycynę w Dorpacie. Zdaje się obecnie niepojętém, że nie starano się wcale sprawdzać poglądów Hallera; okoliczność tę jednak usprawiedliwiają znaczne koszty, połączone z tego rodzaju poszukiwaniami, głównie zaś wielkie uznanie, jakiém się cieszył Haller. Uważano Hallera za największy autorytet w rzeczach dotyczących anatomii i fizyologii. Pisał on tysiące recenzyi z ruchu naukowego i od jego sądu zależała przyszłość wszystkich młodych badaczy. Oprócz tego wydał Haller takie mnóstwo prac samodzielnych, że nazwisko jego stało się synonymem anatomii i fizyologii. W drugiéj połowie zeszłego wieku i na początku niniejszego studyować anatomią i fizyologią znaczyło prawie to samo, co studyować Hallera. „Nie przypuszczano wcale—mówi Baer—że człowiek, który tyle pisał, mógł się w spostrzeżeniach swoich i sądach mylić“, a to się niestety dość często zdarza.

Nieliczna zaledwie garstka ówczesnych fizyologów śmiała wątpić o prawdziwości poglądu Hallera. Jedni trzymali się błędnego, lecz więcéj już do prawdy zbliżonego zapatrywania, że pęcherzyki Graaf'a przedstawiają właściwe jajka i że dostają się one w stanie zamkniętym do jajowodów; inni uważali kwestyą za nierozstrzygniętą. W r. 1797 ogłosił anglik Cruikshank pracę, w któréj zapewniał, że znalazł w jajowodzie królika jajka w trzy dni po parzeniu się i że jajka te były znacznie mniejsze od pęcherzyków Graaf'a u tegoż zwierzęcia, słowom jednak Cruikshanka nikt wiary nie dawał. Z równém niedowierzaniem spotkali się dwaj badacze francuscy Prévost i Dumas, którzy w opisach pięknych obserwacyi swoich, dotyczących pierwszych stadyów rozwoju psa i królika, również utrzymywali, że widzieli jajka tych zwierząt; najmniejsze jednak jajka, jakie badacze ci obserwowali, miały od 1 do 3 mm. w średnicy, co dowodzi, że mieli oni przed sobą już młode zarodki, nie zaś jajka niezróżnicowane.

Taki był stan zajmującéj nas obecnie kwestyi, gdy Baer w roku 1826 rozpoczął swoje poszukiwania nad tym przedmiotem. Już w tym samym roku widział on kilkakrotnie przezroczyste jajka psa takich samych wymiarów, jakie podają Prévost i Dumas, wiosną zaś roku następnego (1827) udało mu się odszukać w jajowodach znacznie mniejsze i mniéj przezroczyste, a wskutek tego bardziéj widoczne jajka. Baer nie wątpił, że ma przed sobą jajka, nie upatrywał bowiem nic dziwnego w tém, że żółtko jajek u zwierząt ssących może być początkowo nieprzezroczystém, przeciw czemu wystąpili w pracy swéj Prévost i Dumas. W początkach maja mówił Baer z Burdachem o téj kwestyi, przyczém wyraził przekonanie, że nie wątpi ani na chwilę, iż jajka zwierząt ssących dostają się do macicy z jajowodów już gotowe. Otrzymawszy od Burdacha domową jego suczkę, która na kilka dni przedtém się parzyła, poddał ją Baer ścisłym poszukiwaniom, a znakomity skutek je uwieńczył. Według Prévosta i Dumasa należało mniemać, że pęcherzyki Graaf'a jeszcze po kilku dniach po parzeniu się powinny być zamknięte, mniemano bowiem wówczas, że pęknięcie tych pęcherzyków zależne jest od spółkowania, co się z rzeczywistością nie zgadza. Otóż przypatrując się pilnie jajnikowi suczki, dostrzegł Baer w jednym pęcherzyku Graaf'a żółtą plamkę, a sprawdzając obserwacyą swoję na innych pęcherzykach znajdował ciągle to samo. Z gorączkowym pośpiechem otworzył Baer jeden pęcherzyk i za pomocą nożyka ostrożnie przeniósł żółtą plamkę do napełnionego wodą szkiełka zegarkowego, które umieścił na stoliku mikroskopu. Rzuciwszy spojrzenie na pre-

parat, cofnął swój wzrok, jakby piorunem rażony — słowa Baera — gdyż widział wyraźną kulę żółtkową. Ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, zajął się Baer bliższém zbadaniem przedmiotu i przekonał się wkrótce, że ma przed sobą utwór zupełnie podobny do żółtka jajka kurzego. Było to pierwotne niezróżnicowane jajko psa.

W ten sposób zostało poraz pierwszy odkryte niezapłodnione jajko zwierzęcia ssącego. Jajko to przedstawiało się nieprzezroczystem i otoczone było tęgą błoną; nie pływało swobodnie w płynie pęcherzyka Graaf'a, lecz przymocowane było do ścianek tego pęcherzyka za pomocą licznych komórek (*discus oophorus*). Ten sam rezultat otrzymał Baer przy badaniu innych suczek i naturalnie szukał go u innych ssących i człowieka. Tu jajko jest bielsze i trudno się daje odszukać na zamkniętych pęcherzykach Graafa i bez mikroskopu. To nam objaśnia, dla czego poszukiwania Hallera nad owcą pozostały bez skutku. Jajko jest tu słabo zabarwione i jeżeli się nie wié, że jest ono przymocowane do ścianek pęcherzyka Graaf'a, nie sposób go odszukać w wypływającéj cieczy, gdyż pozostaje w samym pęcherzyku. Niepowodzenie zatém Hallera przypisać należy temu, że badacz ten miał do czynienia z materyałem niewdzięcznym.

Pozorna różnica jajka zwierząt ssących i ptaków polega tylko na niejednakowéj ich wielkości. Nikłe wymiary pierwszego zależą oczywiście od tego, że u ssących jajko wkrótce po oddzieleniu się od jajnika otrzymuje materyał odżywczy od matki, nie zachodzi tu zatém potrzeba nagromadzenia tego materyału w jajku. Już w czasie pierwszych procesów rozwoju łączy się jajko zwierząt ssących ze ściankami macicy, obfitującemi w naczynia krwionośne i stąd czerpie rozwijający się zarodek pożywienie (łożysko—*placenta*). Zupełnie inaczéj dzieje się u ptaków. Tu jajko zaraz po oddzieleniu się od jajnika porzuca matkę i zaczyna pędzić żywot samodzielny, musi samo dostarczać rozwijającemu się zarodkowi materyału odżywczego. Dla tego téż w jajku ptaków znajdujemy obficie nagromadzone żółtko odżywcze, tworzące się w jajniku, żółtko zaś twórcze, z którego rozwija się cały zarodek, posiada minimalne wymiary i przedstawia się w postaci białéj plamki na powierzchni żółtka. Tylko ta plamka odpowiada jajku ssących. Co się tyczy białka i skorupy jajka ptaków, to są to utwory podrzędne, służące tylko do ochraniania zarodka od zewnętrznych wpływów szkodliwych i powstają nie w jajniku, lecz w przewodach jajowych. Te utwory rozwinęły się wskutek przystosowania do odpowiednich warunków, a nie występują na jajku ssących dla téj przyczyny, że jajko ssących rozwija się w zupełnie odmiennych, a dla zarodka bardzo korzystnych warunkach.

Niebawem po dokonaniu powyższego odkrycia, które — jak utrzymuje sam Baer — więcéj przypisać należy szczęściu, aniżeli zasłudze, postanowił je autor ogłosić. Napisał więc sprawozdanie ze swoich poszukiwań i odesłał do akademii w Petersburgu jako pismo dziękczynne za wybranie go na członka korespondenta akademii. Praca ta wyszła p. t. *De ovi mammalium et hominis genesi* dopiéro w r. 1828, chociaż na karcie tytułowéj figuruje r. 1827. Wkrótce po wyjściu téj pracy z druku ogłosił Baer szczegółowy do niéj komentarz niemiecki w zeszycie styczniowym *Zeitschrift für organische Physik* (1828), wydawanéj przez prof. Heusingera. Zamiast jednak należnego uznania, spotkał się Baer na razie z szyderstwem i zazdrością. Minister oświaty Altenstein, któremu Baer, według obowiązującego wówczas zwyczaju, posłał egzemplarz swéj pracy, odpowiedział mu, zapewne po zasięgnięciu zdania u ówczesnych uczonych niemieckich, że się bardzo cieszy, że Baer *znowu* znalazł jajko zwierząt ssących w jajniku; dla niego zatém nic nowego w pracy Baera nie było. Przypuszczano wówczas, że pęcherzyki Graaf'a przedstawiają istotne jajko. Przez cały rok 1828 panowało w pismach głębokie milczenie. Najwięcéj jednak martwiło Baera to, że na zjeździe naturalistów, który się odbył w Berlinie w sierpniu tegoż roku, nikt ani słówkiem o jego pracy nie wspomniał. Czyżby rzeczywiście nie warta była tego? — myślał Baer. Wszak dopiéro w r. 1821 towarzystwo naukowe w Gettyndze ogłosiło premium na wykrycie miejsca powstawania jajka u zwierząt ssących i takowe przyznało w r. 1824 pracy Hausmanna, który utrzymywał, że widział długo po parzeniu się rozwój jajka z cieczy, wylanéj z pęcherzyków Graafa, a praca Baera wszak ten pogląd zupełnie obala! Najwięcéj niepodobało się Baerowi milczenie młodych, bo co się tyczy „starych panów“, to nie miał im Baer za złe, że pracy jego nie czytają, albo że się nie chcą pozbyć swoich dawnych poglądów. Lecz oto w ostatnim dniu zjazdu spytał się go prof. A. Retzius, czy może im pokazać jajko ssących w jajniku. Na żądanie Baera przyniesiono suczkę i wobec najznakomitszych przedstawicieli nauki, pomiędzy którymi oprócz Retziusa byli obecni Johannes Müller, Ernest Weber, Purkinje i inni, odkrycie Baera zostało stwierdzone.

Największe uznanie dla swojéj pracy znalazł Baer we Francyi. Już w r. 1829 zjawiło się w *Bulletin des sc. médicales*, wydawanym przez Férussac'a nadzwyczaj pochlebne sprawozdanie, w którém recenzent między innemi pochwałami pisze, że zagadka od wieków rozstrzygana dopiéro teraz rozwiązaną została. W tymże roku opisał Prévost w 16 tomie *Annales des sciences naturelles* jajko krowy jako nieprzezroczysty pęcherzyk, mający w średnicy $^1/_8$ — $^1/_2$ mm.,

a przylegający do ścianki pęcherzyka Graaf'a. Prévost nie wątpi, że jajko to dostaje się do macicy przez jajowody. Wspomnieć tu jeszcze należy, że w tymże roku 1829 przełożył Bréschet pracę Baera na język francuski i wydał p. t. „*Lettre sur la formation de l'oeuf dans l'espèce humaine et dans les mammifères*,“ oraz że w r. 1831 został Baer z inicyatywy Cuvier'a nagrodzony złotym medalem przez akademią paryską, i że zawiadomienie go o tém odznaczeniu wziął na siebie Aleksander Humbold. W odpowiednim reskrypcie akademii paryskiéj wymienione były obie najważniejsze prace Baera: „*De ovi mammalium etc.*“ i „*Entwicklungsgeschichte der Thiere.*“

Zupełnie innego przyjęcia doznała praca Baera w Niemczech. W recenzyi swojéj, umieszczonéj w „Annalach“ Heckera (1829, luty), przypisuje sobie dr. Plagge odkrycie jajka zwierząt ssących i dla uzasadnienia tych pretensyi ogłasza wkrótce w „*Archiv für Anatomie und Physiologie*,“ wydawanym przez Meckla (1829), pracę z jednym rysunkiem, która jednak dowodzi, że już po ogłoszeniu odkrycia Baera autor ten nie miał jeszcze dokładnego pojęcia o jajku ssących. Plagge również utrzymywał, że jajko ssących widział już Graaf, co jednak niezgodném jest z prawdą, gdyż Graaf za jajka poczytywał odkryte przez siebie pęcherzyki.

Najcharakterystyczniejszém jednak było wystąpieniem Hausmann'a, dyrektora szkoły weterynaryjnéj w Hannowerze. W roku 1840 wydał Hausmann drugą poprawioną i uzupełnioną edycyą swojéj rozprawy konkursowéj, „*Ueber die Zeugung und die Entstehung des wahren weiblichen Eies bei den Säugethieren und beim Menschen*,“ w któréj utrzymuje, że znalazł obecnie jajko w jajniku, nazywa je również *ovulum*, lecz jest zdania, że nie jest to prawdziwe jajko, gdyż takowe się rozpuszcza, i dopiero po upływie 19—23 dni, zależnie od zwierzęcia, tworzy się jajko prawdziwe, które składa się ze wszystkich błon, zarodka i naczyń krwionośnych! Był to, jak się zdaje, ostatni zamach na znakomite odkrycie Baera.

Wysoka doniosłość tego odkrycia jakoteż obserwacyi Baera, wyłożonych w jego „*Entwicklungsgeschichte*,“ zrozumianą została i należycie ocenioną dopiero po r. 1840, kiedy znajomość rozwoju zwierząt kręgowych naprzód się posunęła dzięki takim mężom, jak Reichert, Bischoff, Kölliker. Gorące słowa uznania, jakich uczeni ci nie szczędzą w pracach swoich Baerowi, wyrazy uwielbienia i czci prawdziwéj, jakiemi darzą tego męża, wynagradzają Baerowi wszelkie przykrości, doznawane nawet od przyjaciół—mam tu na myśli głównie Burdacha,—którzy mu sławy jego zazdrościli. Prace Baera posłużyły za punkt wyjścia dla badań embryologicznych i tworzą

trwały fundament, na którym wznosi się gmach nowoczesnéj embryologii.

Głębokie poglądy Baera, wyrzeczone w jego „*Entwicklungsgeschichte*“ a podniesione w części do stopnia prawa, znanego w nauce pod nazwą prawa Baera, w części zaś zmodyfikowane przez Haeckla w t. zw. zasadnicze prawo biogenetyczne, zostały poparte przez najnowsze badania embryologiczne. Dowiodły one istnienia w naturze wielu form, które najzupełniéj przypominają pewne stany rozwoju zwierząt wyższych. Organizmy jednokomórkowe odpowiadają jajku zwierząt wyższych, kolonie wymoczków, znanych pod nazwą *Volvocineae*, odpowiadają blastuli, występującéj przy rozwoju licznych form zwierzęcych, grupa *Dicyemidae* pozostaje całe życie w stadyum gastruli, itd.

Najlepszą część życia swego poświęcił Baer ugruntowaniu swoich poglądów w licznym szeregu prac, mających ogólniejsze znaczenie. Dla stwierdzenia podobieństwa w rozwoju wyższych i niższych kręgowców przedsięwziął poszukiwania nad rozwojem człowieka, ryb, płazów, badając głównie stadya początkowe. Te poszukiwania doprowadziły go między innemi do wyjaśnienia istotnego znaczenia pęcherza pławnego ryb, który dawniéj był poczytywany za płuca. Baer wykazał, że rozwój tego organu zupełnie podobny jest do rozwoju płuc u zwierząt wyższych: zarówno pęcherz pławny ryb, jak i płuca wyższych kręgowców biorą początek z przedniéj części kanału pokarmowego, który tworzy wypuklinę, różnicującą się późniéj u wyższych kręgowców w organ, mający za zadanie pośredniczenie w wymianie gazów krwi i powietrza tj. w organ oddechowy, podczas gdy u ryb pozostaje na pierwotnym stadyum rozwoju i odgrywa rolę aparatu hydrostatycznego, służącego do zmieniania ciężaru gatunkowego zwierzęcia podczas pływania. Baer nawet wykazał łączność pęcherza pławnego z kanałem pokarmowym. W ten sposób wyjaśnił on, jak dwa organy, mające jednakowy początek i jednakowo się rozwijające, organy, które dziś nazywamy homologicznymi, w funkcyi swojéj mogą się znacznie od siebie różnić, w funkcyi swéj nie zawsze są analogicznemi. Tylko u najwyższéj grupy ryb u t. zw. Nipłazów (*Dipnoi*) pęcherz pławny jest jednocześnie homologiczny i analogiczny płucom, u tych bowiem ryb wykazaną została przemiana krwi żylnéj w tętniczą w pęcherzu pławnym.

Zasadnicze prawo biogenetyczne znajduje silne poparcie w poszukiwaniach Baera nad skrzelami i naczyniami skrzelowemi, występującymi u wyższych zwierząt kręgowych, nie wyłączając ssących. Wiadomo, że skrzela ryb przymocowane są do t. zw. łuków skrzelo-

wych, rozwijających się z przedniéj części kanału pokarmowego w ten sposób, że z obu stron kanału pokarmowego zjawiają się szczeliny poprzeczne—szpary skrzelowe, poprzedzielane mostkami, szczeblami, które stopniowo kostniejąc przechodzą w skielet skrzel, w łuki skrzelowe. Do tych łuków skrzelowych posyła tętnica, wychodząca z serca, odpowiednią ilość pni tętniczych, które wchodząc do skrzel, ulegają dalszemu rozgałęzianiu. Krew tętnicza wychodzi ze skrzel przez takąż ilość pni, które z każdéj strony łączą się ze sobą, i powstałe w ten sposób dwa pnie oddalając się od części głowowéj łączą się w główną tętnicę ciała, w aortę. Taki stosunek istnieje u ryb nietylko w stanie zarodkowym, lecz pozostaje niezmieniony całe życie. Otóż jeżeli wyższe zwierzęta w stanie zarodkowym przechodzą stadya, przypominające według Baera odpowiednie stany zarodkowe zwierząt niższych, czyli jak słuszniéj utrzymuje prawo biogenetyczne, przypominające stadya, w jakich zwierzęta niższe pozostają całe życie, to w zarodku ptaka lub ssawca powinniśmy znaleść i szpary i łuki skrzelowe i łuki tętnicze. I w rzeczy saméj istnienie tych utworów u wszystkich zwierząt, wyżéj od ryb stojących, zostało odkryte przez Baera i Rathkego jednocześnie. Zarodki płazów, gadów, ptaków i ssących posiadają dobrze rozwinięte łuki i szpary skrzelowe wraz z łukami tętniczymi, utwory te jednak poczęści zanikają w miarę wykształcenia się zarodka, jako niepotrzebne, poczęści zaś dają początek pewnym organom, nie występującym u ryb.

Istnienie tych utworów u zarodków zwierząt, wyższe zajmujących miejsce w klasyfikacyi, objaśnia się prawém dziedziczności, zanikanie zaś w późniejszym stanie zarodka tłomaczy się przystosowaniem do odmiennych warunków życia, przystosowaniem do życia lądowego, do oddychania sprężystém powietrzem. I człowiek na pewném stadyum rozwoju jest rybą, i on posiada w stanie zarodkowym szpary i łuki skrzelowe oraz łuki tętnicze na równi z innemi wyższemi zwierzętami. Fakt ten znakomicie przemawia za poglądem, że wyższe zwierzęta kręgowe rozwinęły się z ryb drogą naturalnego doboru, a zarazem wymownie potwierdza ideę o równoległości ontogenii i filogenii.

Jakkolwiek zwierzęta kręgowe stanowiły najulubieńszy przedmiot badań Baera, niemniéj jednak mąż ten przyczynił się także do znajomości zwierząt bezkręgowych. Z licznych jego prac, dotyczących budowy i rozwoju zwierząt niższych, najwięcéj na uwagę zasługują poszukiwania nad rozwojem jeży morskich, u których Baer obserwował pierwsze stadya dzielenia się jajka i pierwszy zauważył udział jądra w tym procesie. W pracy swojéj „*Beiträge zur*

*Kenntniss der niederen Thiere*" oprócz faktów anatomicznych, dotyczących niższych zwierząt, wykazuje Baer, że pokrewieństwo trzech wielkich typów zwierząt bezkręgowych, ustanowionych przez Cuviera (*animaux mollusques*, *animaux articulés*, *animaux rayonnés*) może być dowiedzione tylko na mocy ich rozwoju. Baer wyraża przekonanie, że ścisłe badanie pierwszych stadyów rozwoju tych zwierząt powinno wykazać ich bliskie pokrewieństwo, co też w naszych czasach dowiedzione zostało.

Nie mogąc w krótkim szkicu niniejszym zaznajamiać czytelnika z całkowitą działalnością Baera, która przybrała ogromne rozmiary, zwrócimy jeszcze tylko uwagę na dwa punkta, świadczące wymownie o głębokości poglądów i szerokości umysłu tego wielkiego męża. Przedewszystkiém musimy zaznaczyć, że Baer pierwszy usiłował w klasycznėm swém dziele „*Entwicklungsgeschichte der Thiere*" rozgrupować zwierzęta, klasyfikować je na zasadzie danych embryologicznych. Nie ulega wątpliwości, że materyał, jakim rozporządzał wówczas, zwłaszcza dotyczący niższych zwierząt, zanadto był kruchy, ażeby na nim można było ugruntować trwałą klasyfikacyą, niemniéj jednak zasadnicza myśl Baera utrzymała się dotychczas. Podział wszystkich zwierząt na dwie grupy, zależnie od charakteru elementu rozmnażania, znany jest obecnie jako podział na *Protozoa* i *Metazoa*. Pod nazwą Protozoa rozumiemy obecnie grupę zwierząt, których ciało składa się z jednéj komórki, do Metazo'ów zaś zaliczamy zwierzęta, które się z licznych składają komórek, zwierzęta, które składają się z tkanek. Charakterystyka tych dwóch grup, jaką daje Baer, brzmi wprawdzie odmiennie, ale do tego samego prowadzi rezultatu. Określa on Protozoa, jako grupę, któréj elementem rozmnażania jest spora, Metazoa zaś występują u Baera jako zwierzęta, rozmnażające się za pomocą jajka. Dalszy podział téj ostatniéj grupy opiera Baer na ogólnych zasadach rozwoju organów i w tym względzie utrzymuje cztery typy Cuviera. Baer zatém oderwał od czwartego typu Couviera, od typu promienistych (*animaux rayonnés*), grupę pierwotniaków, która i obecnie w klasyfikacyi zwierząt najniższe i odrębne zajmuje miejsce.

Jakkolwiek po téj klasyfikacyi Baera znajomość niższych zwierząt pod względem ich rozwoju ogromne zrobiła postępy, dotychczas jednak nie posiadamy zadawalniającéj klasyfikacyi genealogicznéj, opartéj na faktach embryologicznych. Klasyfikacye embryologiczne Vogta (1851), Fritz Müllera (1864), Van-Benedena (1868), Haeckla (1874 i 1875), oparte na zjawiskach, zachodzących przy brózdkowaniu (segmentacyi) jajka, zwłaszcza na całkowitém lub częściowém przewężaniu jego przy rozwoju oraz na prawidłowości lub niepra-

widłości tego procesu, do żadnych rezultatów nie doprowadziły i dotychczas jeszcze nie zdołały wyrugować ogólnych zasad klasyfikacyi Cuvier'a i Baer'a.

Zaledwie krok naprzód stanowi w niéj podział Metazoów na dwie grupy, oparty na sposobie powstawania środkowego listka zarodkowego (*mezodermy*) i jamy ciała. W znakomitéj swéj pracy „*Coelomtheorie*" (1881) odróżniają bracia Hertwigowie dwa rodzaje mezodermy. W jednych razach mezoderma rozwija się w ten sposób, że od pierwotnych dwóch listków zarodkowych, ektodermy i entodermy, oddzielają się komórki ruchliwe, amebowate, rozpraszające się bez porządku w szczelinie pomiędzy pierwotnymi dwoma listkami zarodkowymi, w t. zw. pierwotnéj jamie ciała (*blastocoel*). Ten rodzaj mezodermy nazywa się *mezenchymą*, ona wypełnia pierwotną jamę ciała, pozostawiając z niéj tylko nieregularne szpary, które tworzą ostateczną jamę ciała u osobników dojrzałych. Jamą zaś ciała nazywamy przestrzeń pomiędzy ścianką ciała a przewodem pokarmowym. W innych razach mezoderma rozwija się w postaci listka jednolitego, wypełniającego pierwotną jamę ciała. W tym listku jednolitym zjawia się późniéj szczelina, rozdzielająca go na dwie warstwy: jedna przylega do ektodermy, tworząc listek somatyczny (ścienny), druga przylega do entodermy, tworząc listek wisceralny (trzewiowy), przestrzeń zaś pomiędzy tymi dwoma listkami pozostaje u osobników dojrzałych, jako jama ciała ostateczna. Ten rodzaj mezodermy nazywa się *mezoblastem*, a utworzona przezeń jama ciała—*enterocoel*, podczas gdy w pierwszym razie jama ciała ostateczna nosi nazwę *schizocoel*.

Na zasadzie powyższego rozwoju mezodermy i jamy ciała Hertwigowie proponują podział Metazoów na dwie grupy: *schizocoelia*, u których ostateczna jama ciała zjawia się jako nieprawidłowe szczeliny w mezenchymie, i *enterocoelia*, u których jama ciała jest przestrzenią pomiędzy ściennym i trzewiowym listkiem mezoblastu. Do grupy pierwszéj należą jamochłonne, mięczaki i niższe robaki, czyli t. zw. *Scolecida* (*Bryozoa*, *Rotatoria*, *Plathelminthes*), do drugiéj zaś robaki wyższe czyli *Coelhelminthes* (*Nematodes*, *Chaetognatha*, *Brachiopoda*, *Annelides*, *Euteropneusta*, *Tunicata*), szkarłupnie (jeże morskie, gwiazdy i lilie morskie oraz strzykwy), wszystkie stawonogie, nie wyłączając skorupiaków, u których ostatniemi czasy mezoblast został odkryty (Urbanowicz), nakoniec kręgowe. Ponieważ różny sposób powstawania środkowéj warstwy zarodkowéj wywiera wpływ na charakter morfologiczny, a nawet na budowę histologiczną prawie wszystkich narządów zwierząt rozwiniętych, powyższy podział staje się naturalnym, chociaż ustalenie jego wymaga jeszcze

usilnych badań nad rozwojem jamy ciała i mezodermy u różnych grup zwierzęcych.

Drugi punkt, któryśmy tu jeszcze poruszyć chcieli, dotyczy badań Baera nad potwornościami. Nie ulega najmniejszéj wątpliwości, że zarówno potwory ludzkie, jak zwierzęce i roślinne są rezultatem zboczeń w rozwoju; dla dokładnego zatém zrozumienia potworności niezbędną jest gruntowna znajomość normalnego rozwoju. Z drugiéj jednak strony potworności, jako zboczenia od normalnego rozwoju, mają dla nauki o rozwoju osobnikowym i rodowym zwierząt, dla poznania ontogenii i filogenii, nadzwyczaj doniosłe znaczenie, albowiem one nam w wielu razach dają klucz do zrozumienia i należytego ocenienia wielu na pozór niezrozumiałych zjawisk, zwłaszcza, jeżeli potworności te dadzą się sprowadzić do atawizmu. Atawizm jest-to zwrot wsteczny, dziczenie, cofnięcie do formy pierwotnéj, od któréj dany gatunek pochodzi, i jako taki ma doniosłe znaczenie dla teoryi stopniowego rozwoju organizmów, dla teoryi doboru naturalnego. Zdarza się np., że osioł się rodzi z pręgowatemi kończynami. Na pozór jest-to zjawisko nic nieznaczące i uwagi nie godne. Porównywając jednak osła tego z osłem dziko w Abissynii żyjącym, oraz z praosłem, bardzo do zebry zbliżonym, dojdziemy do przekonania, że osioł nasz swojski pochodzi od osła abisyńskiego, a ten ostatni od praosła. Podstawę do takiego rozumowania daje właśnie potworność z pręgowatemi nogami, gdyż zjawisko to należy uważać za zwrot wsteczny do przedwiecznéj formy rodowéj. Jeszcze lepszy przykład, tłómaczący znaczenie potworności atawistycznych dla embryologii, przedstawia nam źrebię końskie. Dość często się zdarza, że rodzi się źrebię, które zamiast jednego kopyta posiada trzy w kopyta zaopatrzone palce. Zjawisko to daje podstawę do przypuszczenia, że koń pochodzi od formy trójpalczastéj, że prarodzic konia posiadał trzy palce. I w rzeczy saméj poszukiwania paleontologiczne dowodzą prawdziwości tego przypuszczenia, albowiem kopalna forma konia z epoki trzeciorzędowéj, Hipparion, posiada trzy palce. Badania paleontologiczne wykazują, że wszystkie zwierzęta kopytne, zarówno parzysto- jak i nieparzysto kopytne pochodzą od jednéj formy pierwotnéj pięciopalczastéj, od któréj liczny szereg form przejściowych do formy obecnie żyjących znaleziony został w pokładach trzeciorzędowych skorupy ziemskiéj.

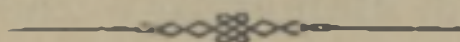
Doniosłe znaczenie potworności dla embryologii starał się w ostatnich czasach wykazać prof. Fol z Genewy, który wespół z p. Waryńskim (1) przedsięwzięli poszukiwania w celu sztucznego

(1) Patrz *Ateneum* r. 1886, t. II, 166—172.

wywoływania potworności u zarodków. I Baer w swojéj *„Entwicklungsgeschichte“* zwraca uwagę na związek teratologii, t. j. nauki o potwornościach z embryologią, a w kilku oddzielnych pracach (z których największą jest *Ueber doppelleibige Missgeburten oder organische Verdoppelungen in Wirbelthieren*, 1844) starał się wyjaśnić powstawanie podwojeń na danych embryologicznych.

Tak się przedstawiają zasługi Baera na polu embryologii. Zrobił on dla nauki wszystko, co przy ówczesnych środkach badania możebném było uczynić i śmiało powiedziéć można, że jego dzieła posłużyły za kamień węgielny dla nowszych poszukiwań. Nowoczesna embryologia jest tylko szczegółowém opracowaniem kwestyi, poruszonych przez Baera i przez niego z gruba rozstrzygniętych. Znakomite swe postępy zawdzięcza ona ulepszeniu mikroskopu, który w rękach embryologów stał się niby skalpelem do analizowania najzawilszych zjawisk, zachodzących w zapłodnioném jajku. Odkrycie komórki zwierzęcéj przez Schwanna (r. 1839) pozostanie nazawsze pamiętném w dziejach embryologii z tego względu, że wskazało badaczom drogę, którą kroczyć mają przy poszukiwaniach nad rozwojem zwierząt, a drogą tą jest sprowadzanie listków zarodkowych do budowy komórkowéj (Reichert, Remak).

*S. Grosglik.*
Kand. Nauk Przyrodn.





# POWIEŚĆ SPÓŁCZESNA W ANGLII.

## II. POWIEŚĆ OPISOWO-IDYLLICZNA.

Z rodzajem tym przenosimy się w sferę absolutnego już prawie, bezpodzielnego ideału, w powietrzną, srebrnemi mgłami podesłaną, lazurowém niebem nakrytą, lekkiemi tylko zefirami przewiewaną strefą między ziemią a księżycem. Jeżeli dotkniemy się kiedy ziemi, to chyba gdzieś na śnieżnym jakim alpejskim szczycie, i tylko na chwilę, tylko dla wzbicia się wyżéj jeszcze elastyczném od twardéj powierzchni odbiciem, tylko dla artystycznego, na kontraście opartego efektu. Rodzaj to niezmiernie rozpowszechniony w mglistéj Ossyana ojczyznie—w téj chwili zwłaszcza, dzięki całéj plejadzie powieściopisarek, których niewieściéj wyobraźni sprzyja ta nadziemna okolica. Wątek powieściowy bywa tu zwykle bardzo nikłym; najpospoliciéj służy za pretekst bądź do panoramicznych krajobrazowań, jak we włoskich powieściach panny La Ramée („*Pascarel*“, „*Signa*,“ itd.) bądź do wprowadzenia na scenę jednéj i drugiéj typowéj niby, niby z natury schwyconéj, ale w gruncie rzeczy absolutnie sztucznéj, konwencyonalnéj postaci, jak u Williama Black'a („*Daughter of Heth*,“ „*Princess of Thule*“); bądź wreszcie, jak u Miss Broughton i jéj współzawodniczek, do mniéj lub więcéj niewinnéj igraszki z rozmaitemi przejawami téj specyalnéj formy uczuciowo-zmysłowego stosunku między mężczyzną a kobietą, która pod nazwą *flirt'u* zdobyła sobie prawo obywatelstwa w naszych nawet polskich salonowych progach.

Ma się rozumiéć, łącząc w ten sposób talenta i utwory zbliżone do siebie pewną wspólną cechą, nie mam na myśli sprowadzać ich do wspólnego mianownika pod względem artystycznéj ich wartości. Inną artystką jest Ouida a inną autorka „*Cometh up as a flover*.“ Wcale

zaś niepoślednim w swoim rodzaju artystą jest szkocki pisarz, którego nie przez słabość dla brzydkiéj połowy rodzaju ludzkiego, do którego należę, położę tu na pierwszém miejscu.

## 1. William Black.

Tak jak Jerzemu Eliot, muza powieściowa późno pokazała mu drogę do sławy. Choć nie tak późno. Wiemy téż o nim i od niego samego to, czego nie dowiedzieliśmy się i nie dowiemy się nigdy o autorce „Adama Bede“: Wiemy co robił *przedtém*. A robił rzeczy bardzo rozmaite. Urodzony w Glascow, około 1841 roku, zaczął od—zielnika Flory Brytańskiéj. Dla czego Flora ta okazała mu się niewierną, nie wiadomo nam, ale zdrada musiała być straszną, skoro przyprawiła go o rozpaczliwy zamach—na nowy przekład Liwiusza. Od Liwiusza nieznanemi nam także manowcami zaszedł do maszyny urzeczywistnić mającéj *perpetuum mobile*. Błąkał się oczywiście po manowcach, jak czynią pospolicie ludzie zrozpaczeni, i wzorem ich także zawrócił w końcu do porzuconéj poprzednio okolicy: wziął się do malarstwa, naturalnie do malarstwa mającego z Florą związek. Malował pejzaże, i, podług własnego zeznania, popełnił „okropności farbami olejnemi.“

W jaki sposób dostał się w końcu *in the right way*? Być może, iż historya młodego marzyciela z „*Shandon Bells*,“ bolesnym zawodem miłosnym dotkniętego, zamykającego się w samotności irlandzkiego ustronia nadmorskiego, i tam znajdującego niespodziewanie źródło ożywczych natchnień, temat do opisanych szkiców, które przesłane dziennikowi londyńskiemu spotykają się z powszechną ciekawością i powszechném uznaniem; być może, iż historya ta jest poniekąd autobiografią. W każdym razie powiastka jest ładną—choć nieco długą. Typ młodéj śpiewaczki koncertowéj—autorki bolesnego zawodu—nadobnéj *Kitty*, flirtującéj zapamiętale na prawo i na lewo, przysięgającéj wieczną miłość biednemu kronikarzowi prowincyonalnego pisma (*Williamowi Fitzgeraldowi*), który dał się zawieść nieostrożnie w noc księżycową nad brzeg schowanego w dolinie strumyka, a wydającéj się, przy nastręczonéj okazyi, za bogatego przemysłowca, nie przewrotnéj jednak z gruntu, nie złéj absolutnie i zdradliwéj, szczeréj owszem tak dobrze w zalotności swojéj jak i w swoim egoizmie—typ ten jest dość udatnym, realnym nawet, ale otoczonym samemi już fantastycznemi kreacyami—zacząwszy od bohatera powieści, choć najmniéj jeszcze fantastycznego z wszystkich. Mniéj od staréj pani *Chetwynd* utrzymującéj w Londynie bezpłatny *table-d'hôte* dla całego legionu artystów i pisarzy, a przemie-

niającéj z dnia na dzień naszego bohatera w irlandzkiego posiadacza zamków i włości; mniéj od panny *Chetwynd*, jéj siostrzenicy, przepędzającéj życie w zaułkach londyńskich, bez obrazy swéj młodości i piękności, i nawracającéj tam starych grzeszników i młode grzesznice do uczciwego życia. Naturalnie Numa idzie w końcu za Pompiliusza, to jest panna *Chetwynd* za *Williama Fitzgeralda*, który przebolał pamięć zmiennéj *Kitty*, i po 14 latach, wraca z ośmioletnim synkiem i z zapasem filozofii do uroczéj doliny nadmorskiéj w okolicach Inischeen:

„Rzekłbyś że śmiech odzywa się w szmerze tego strumyka, śmiech kogoś co słyszał wszystkie niedorzeczności powtarzane przez rozmaitych kochanków, jacy odwiedzili to ustronie. Może zrozumiał on wszystko, ten strumyk, i płynie sobie daléj śmiejąc się. Tak jest, słychać śmiech wyraźnie. Ach! pomyśléć o wszystkich tajemnicach leżących tam na dnie, i przysięgach wszystkich—a nigdy słowa przestrogi z jego strony! Czy psotnika to śmiech, czy sardonicznego świadka? Ba, lepiéj w żart rzecz obrócić. Wszystko na świecie kończy się śmiechem...

„ ..... Cała ta miniona epoka jego życia zdawała mu się tak odległą; i piękną poniekąd, teraz kiedy boleść rozstania się z nią minęła także. Wzbogaciła ona bądź co bądź jego wspomnienia. Jedném zaklęciem wywołać on mógł z téj dalekiéj przeszłości szereg wdzięcznych obrazów, zawsze ze śmiejącą się, rozkoszną *Kitty* pośrodku. Może dała mu ona także klucz do niejednéj życiowéj tajemnicy. I na cóż tedy miałby on myśléć z niechęcią i wzgardą o biednéj *Kitty*; mówić o zdradzie i kłamstwie? Zaliż kłócimy się z umarłymi?“...

Jest więc coś podobnego do filozoficznéj intencyi w téj dwutomowéj idylli; coś nakształt katechizmu uniwersalnéj pobłażliwości, przejawiającéj się nawet w apostolskim zawodzie miss *Chetwynd*, którego trudy dzieli niebawem *William Fitzgerald*. Robotnicy, katechizowani przez Miss Chetwynd i przez jéj współpracowników, i zabawiani lekturami z Pisma Świętego, wzdychają—do piwa. Miss *Chetwynd* oświadcza się za piwem a nawet za teatralnemi rozrywkami, i *William* popiera ją energicznie. Ale najwięcéj miejsca w „Shandon-Bells,“ tak jak i we wszystkich powieściach autora trzymają krajobrazy, i wiążące się z niemi opisy wycieczek i *sport*'ów nadmorskich. Ładne, ale nużące czasem monotonnością. Nie zliczę ile razy uczestniczymy w połowie pstrągów morskich; ale coś bardzo dużo razy. Nierzadko trafia się w tych hymnach na cześć natury realistyczna nuta:

„ ... Tak cichém jest powietrze, tak cichém i jasném niebo, że niebieska barwa tamtych w dal sięgających odnóg morskich zda się ciemną, nieprzezroczystą prawie barwą, barwą niebieskiego laku“...

W ogóle jednak przeważa nastrój idealny.

„Shandon-Bells“ jest jedną z ostatnich powieści autora. Poprzedza ją w Tauchnitzowskim katalogu długi już szereg utworów, nader długi jak na pisarza względnie młodego jeszcze, który zaczął późno, a nie puszcza czytelnika, za każdą nową powieścią, bez dwóch co najmniéj tomów. Powodzenia tych utworów było rozmaitém, ale w ogóle wielkiém bardzo, choć z krytycznego stanowiska nie zawsze usprawiedliwioném. Autor sam wyraża zdanie, iż powieści p. t. „W jedwabnéj sukni“ (*In silk attire*) dostało się w tym względzie nad zasługę; i aż nadto skłonnym mnie znajduje do przyznania mu racyi. Natomiast mniema on, iż „drugiéj z obojętnością, prawie z niesmakiem przyjętéj powieści p. t. „Kilmeny,“ stała się krzywda; i tu nie potrafię być z nim w zgodzie. Nie mogę zresztą poprzeć mojego sądu szczegółowym rozbiorem, pilno mi bowiem do dwóch innych powieści, w których streszcza się niejako cała dotychczasowa twórczość utalentowanego pisarza. Są to: pierwsza i ostatnia z jego udanych powieści: „*The Daugter of Heth*“ i „*The princess of Thule.*“

Jak domyśla się zapewne czytelnik, dwa te tytuły są przezwiskami, z których pierwsze podyktowane biblijném wspomnieniem. Stary to ogrodnik pastora z *Airlie* (pod Glascow), dogmatyczny i fanatyczny Andrzej, daje to przezwisko młodéj *Katarzynie Cassilis*, synowicy pastora, urodzonéj z matki Francuzki, wychowanéj we Francyi, i przybywającéj po śmierci rodziców do jedynego teraz krewnego swego i naturalnego opiekuna. Nie wróży on nikomu nic dobrego—ten w swych pojęciach i przesądach zakuty Andrzej—z pojawienia się téj cudzoziemki, téj „córki obcego i wrogiego pokolenia.“ Drudzy wszelako nie dzielą jego uprzedzeń. Ładna, uprzejma i zalotna „Coquette“, jak ją nazywają ci drudzy, zjednywa sobie wszystkie serca. Sam stary dudziarz miejscowy, (typ mistrzowską skreślony ręką dzielnego niegdyś, zdziecinniałego dziś highlandera, który był pod Waterloo i *przypomina sobie* czasem), sam *Neil Lamont* hołduje jéj wdziękom. Niebawem jednak obawy złowróżbego *Andrzeja* sprawdzają się. „Coquette“ rozkochała w sobie młodziutkiego *Toma*, najstarszego z synów pastora; sama zaś rozkochała się jednocześnie w lordzie *Earlshope*. Ztąd naturalne wielorakie starcia, rozterki bolesne uczuć i walki, które się tém kończą, że lord *Earlshope* topi się razem ze swoim własnym jachtem podczas gwałtownéj burzy, „Coquette“ zaś oddaje rękę *Tomowi*, ale umiera z rozpaczy, wprowadziwszy, podług wróżb *Andrzeja*, żałobę i nieszczęścia do nawiedzonego przez się domu.

Jak widać z krótkiego tego poglądu na treść powieści, autor nie pokusił się o wielkie w niéj bogactwo zawikłań romansowych

i dramatycznych perypetyi. Nie chodziło mu też widocznie o nie. Założył on sobie za cel coś nakształt *eksperymentu*, drogiego nowoczesnym naturalistom francuskim. Wziął pewien specymen, pewien typ niewieści, i przeniósłszy go z otoczenia, w którém się on wykształcił, w inne całkiem odmienne otoczenie, wziął przed się pokazać jak się on zachowa w téj nowéj sytuacyi, jakie będą naturalne reakcye obustronne, wywołane tém anormalném zbliżeniem obcych sobie pierwiastków. Trzeba zaś przyznać, że zrobił, dla wywiązania się z tego zadania, bardzo wiele. Obraz parafii szkockiéj i pasterskiego w niéj ogniska, z ogrodnikiem *Andrzejem* i jego żoną *Lizbetą*, z heroicznym *Neilem Lamont*'em i trywialnym *Eneaszem Gillespie*'m, nauczycielem szkolnym, należy do najlepszych kreacyi w tym rodzaju, jakiemi się pochlubić może jakakolwiek literatura. I samemu typowi *Coquette*'y *Cassilis* nie zbywa na żadnym do jego charakterystyki potrzebnym przymiocie. Jest ona tak powabną i zalotną i bezwiednie okrutną, jak być powinna. Ale... ale nasuwa mi się pod pióro impertynenckie zapytanie Jowialskiego do szambelana improwizującego przysłowia:

— Do czego to stosujesz?

Jaki jest sens moralny tego eksperymentu? Czy ten, że dogmatyczny Andrzéj ma słuszność; że uczciwe rodziny szkockie zamykać się powinny przed cudzoziemcami; że pastor z *Ariole* wyrzucić był powinien za próg swego domu osieroconą synowicę, i że fanatyzm jest rzeczą rozsądną, i że przesąd jest rzeczą zbawienną? Czy może ten sens znowu, że wszystkie Francuski są lekkomyślnemi istotami, przeznaczonemi do bałamucenia serc ludzkich? Typ „*Katarzyny Cassilis*" jest najdowodniéj konwencyonalnym, stworzonym *ad hoc* dla potrzeby eksperymentu, i tak samo konwencyonalnym i niczego nie dowodzącym sam eksperyment.

Ale nie mam na myśli potęgować mojego zarzutu w tym względzie przeciwko autorowi, tém bardziéj że nie jest dowiedzioną dla mnie rzeczą, iż chciał on absolutnie dowieść czegokolwiek swoją powieścią. Mam inny natomiast zarzut w pogotowiu, nierównie ważniejszy w mych oczach. Autor użył pierwszego lepszego pretekstu — konwencyonalnego, dajmy na to, eksperymentu — dla oprawienia w ramy z jego pomocą, mistrzowskiego obrazu parafii szkockiéj. Dobrze. Ale dla czego ramy te mają szerokość trzech tomów? Przypomina mi się anegdotka o parze naiwnych wieśniaków, która przybywszy po raz pierwszy w życiu do wielkiego miasta i dostawszy się do teatru na paradyz, przypuściła, że widowisko polega na jedynym ciekawym przedmiocie, dającym się wygodnie oglądać z wydzielonego jéj górnego miejsca — to jest na olbrzymim złocistym

świeczniku. Zatém po półgodzinnych oględzinach żona rzecze do męża: „Ładna *sztuka*, niema co mówić, ale ponośmy się napatrzyli jéj dosyć.“ I opuszczają oboje teatr. I mnie ładnym zda się obraz parafii *Airlie* pod Glascow, ale po pierwszym tomie zdaje mi się jakobym się go dosyć napatrzył. Ha! gdybym miał obok jakąś intrygę powieściową, jakąś komplikacyą umiejętnie powikłanych zdarzeń.... Jakże jednak sprzeczać się w tym względzie znowu z autorem, który odważył się poświęcić dwa tomy opisowi faetonowéj przejażdżki z Londynu do Edymburga. Niema nic w tych dwóch tomach („*Stranges adventures of a phaeton*“) prócz tego faetona, familii w nim siedzącéj, drogi z Londynu do Edymburga, no, i rzeczy widzianych po drodze. Sławna podróż fiakrem z „Pani Bowary“ (Flaubert'a) jest niczem w porównaniu. Łączność wszelako zaznaczona przezemnie na wstępie między wybrykami spółczesnego francuskiego naturalizmu a ekscentrycznościami angielskiéj maniery uwidocznia się w tym przykładzie.

„Księżniczka z Thule“ jest drugim z kolei tego samego rodzaju eksperymentem, tylko w odwrotnym niejako sensie. Córka to tym razem szkockiego pół-barbarzyńskiego *chieftaina*, wiodącego pół-patryarchalne, pół-odludne życie na jednéj z północno-wschodnich wysepek „Borba“ zwanéj, i ztąd „Królem Borby“ przezywanego także. Zabłąkany w te strony młody malarz londyński rozkochuje się w pięknéj wyspiarce, poślubia ją i uwozi do Londynu. Reszty domyśla się czytelnik. Olbrzymi, hałaśliwy a wyrafinowany Londyn i piękna ale trochę dzika i do innego życia przywykła wyspiarka nie umieją trafić z sobą do ładu. Niebawem téż brak ten porozumienia, przeciągający się i wzmacniający się raczéj z dniem każdym, zaczyna nużyć i niecierpliwić rozczarowanego towarzysza prostaczéj „księżniczki“. Niebawem staje się on coraz rzadszym przy jéj boku gościem, wracając stopniowo do swych kawalerskich nawyknień i rozrywek. Trudno nie usprawiedliwić go do pewnego stopnia i co robić w Londynie z kobietą, która po kilkumiesięcznym pobycie w stolicy, zapytana czy lubi „*Covent-garden*“ odpowiada, że ogród bardzo piękny, i robi wielkie oczy, kiedy ją objaśniają, że nie o ogrodzie, a o teatrze mowa. Jak to? Jest tam teatr? Nieco późniéj sprowadza ona z „Borby“ *kuzynkę* niby swoję (która choć kuzynką zwie się podług wyspiarskiego obyczaju, nie mniéj przeto umywa rądle u jéj własnego ojca i nie wychodzi z kuchni), i tę rubaszną, cudacznie wystrojoną Maryśkę rozgaszcza w swoim salonie.

Czy nie sztuczny to znowu typ? Czy możliwy logicznie? Zwłaszcza, że aby mogła być interesującą, wyspiarka ta jest, z woli au-

tora, inteligentną niby, bardzo inteligentną nawet i wykształconą. Gra na fortepianie, śpiewa i cytuje Pope'go bez zająknienia.

Eksperyment kończy się zresztą tym razem mniéj tragicznie niż poprzednio. Znudzony małżonek „księżniczki“ zachodzi bardzo daleko na drodze kolejnych ustępstw, czynionych wspomnieniom życia kawalerskiego. Dumna, ale o swoich obowiązkach małżeńskich i o nakazanéj przez nie uległości wiele rozumiejąca córka barbarzyńcy, znosi długo najdotkliwsze ciosy i upokorzenia, i dopiéro wzgarda okazana nie nadto uprzejmie powitanéj „kuzynce“ przywodzi ją do ostateczności. Skoro niemasz dla téj nie dość wytwornéj towarzyszki miejsca w *salonie*, tedy nie powinno go być i dla niéj saméj. I z nowéj kawalerskiéj wycieczki wracający małżonek znajduje dom pusty. „Księżniczka“ wróciła do swojego morskiego państwa. Ale odnajdują się tam oboje przy końcu powieści — po długich z jego strony miesiącach pokutniczego życia na innéj wyspie. (Jest dużo wysep w téj powieści).. Stroniąc od sponiewieranéj małżonki, oddając się uciechom rozwiązłego stołecznego świata, oglądając się wreszcie na milionowy spadek po dogorywającéj ciotce, porzucił on swoje pędzle, zapomniał o pracy i o sławie, stał się lekkomyślnym próżniakiem. Ucieczka żony przywołała go do poczucia rzeczywistości, do poznania swych błędów. (Czytelnicy moi płci męskiéj zechcą schować zeszyt przed żonami). Uciekł sam z Londynu, wyrzekł się milionów ciotki, zamknął się w odludnéin ustroniu, zasiadł napowrót przed stalugami i w przeciągu kilku miesięcy znalazł spokój sumienia, natchnienie, sławę i majątek. Obrazy jego rozentuzjazmowały odrazu całą stolicę. (Naturalnie!).

Pozostaje mu do odzyskania miłość żony. W ciągu artystycznych wędrówek, zbliża się on do jéj dzikiego królestwa. Spogląda na nią zdaleka, pokorny, o przebaczenie proszący i łaknący jéj spojrzeń. Ale nie śmie stanąć przed nią. Aż dowiaduje się, że ma adwokata, wymownego i zwycięskiego adwokata u jéj boku — małe niemowlę spoczywające w jéj objęciach. I wtedy jedna chwila naprawia wszystko. I oto ona ze swéj strony żąda jego przebaczenia, przyznaje się do win wzajemnych, obiecuje wzajemną poprawę. Życie wspólne będzie odtąd kompromisem między wymaganiami cywilizacyi i nawyknieniami prostaczego wyspiarskiego życia, między Londynem i „Borbą.“

Jużci ładne to, zwłaszcza pod piórem takiego stylisty jak p. William Black. Ładnemi zwłaszcza krajobrazy szkockie — choć połów pstrągów prześladuje mnie w nich znowu. Postać „króla Borby“ jak z granitu wykuta. Całość artystyczna i wdzięczna, ale znowu je-

szcze zawsze, strasznie, okropnie, przeraźliwie długa (1). Mniemam na seryo, że gdyby Willam Black i jego współzawodnicy na polu powieściopisarstwa angielskiego doszli kiedykolwiek do przekonania, że można opisać okolicę, chociażby najpiękniejszą, bez porachowania wszystkich drzew, jakie się w niéj znajdują, że można powtórzyć rozmowę przy przedobiednim *lunch*'u bez poinformowania nas o ilości kawałków cukru zawartych w każdéj filiżance herbaty, że można wreszcie napisać ładną powieść w *jednym* tomie, — wtedy powieściopisarstwo angielskie nie miało by równego w Europie.

Niestety, zamiast urzeczywistnienia tego postulatu, patrzymy za dni naszych na wręcz przeciwne zjawisko: na plejadę sąsiednich, francuskich powieściopisarzy biorących się. wzorem swych angielskich sąsiadów, do rachowania drzew i kawałków cukru....

## 2. **Ouida (panna La Ramée)**.

Wielorakie są przyczyny, dla których nie mam zamiaru wdawać się na tém miejscu w przegląd, chociażby pobieżny nawet, długiego już literackiego zawodu panny La Ramée. Poprzestanę na wymienieniu pierwszéj z nich, a mianowicie téj, że zawód ten nie zdaje mi się należéć do mojego przedmiotu. Panna La Ramée pisze po angielsku—kiedy nie pisze po francusku dla „Revue des deux Mondes"— ale nie pisze angielskich powieści. Przynajmniéj dzisiaj. Nie zapominam ani o „Strathmorze", ani o „Chandosie." Ale „Strathmore" i „Chandos" tak już daleko od nas i od niéj saméj. W spółczesném powieściopisarstwie autorka „Pascarel'a" i „Pipistrell'a" i „Bimbi'ego", należy raczéj do włoskiéj literatury. Jest ich kilka, nie zapominając o pani Elliot (nic wspólnego, prócz podobieństwa nazwiska z Jerzym Eliot, przez jedno *l*) i o pannie Kavanagh, łaskawych autorek, urodzonych w ojczyznie czerwonych włosów, które wyręczają brakujących spadkobierców Manzoniego i Massima d'Azeglio. Nie można im mieć tego za złe. Włoskiéj powieściowéj literaturze spółczesnéj ciężko było by bez nich, to jest właściwie nie byłoby jéj wcale, włoskiéj powieściowéj literatury spółczesnéj; angielska zaś mogłaby odstąpić tuzin jeszcze swoich przez Tauchnitza katalogowanych *misses*, któremu drugiemu ubogiemu krajowi i mieć się dobrze.

Panna La Ramée mieszka we Florencyi i pisze po angielsku włoskie powieści. Wyobraźnia jéj zaklętą została nad brzegami

---

(1) Powieść ta przełożoną została na język francuzki przez rodaka naszego pana Stryjańskiego, w Paryżu u Calmann-Levy'ego.

Adryatyku i Śródziemnego morza. Chyba że na chwilę, włożywszy parę drewnianych *sabotów*, powędruje w północne kraje, ale na krótką chwilę tylko i z prędkim na południe powrotem. Przez co nie chcę wyrazić przekonania, iż *wszystkie* rzeczy opisywane przez nią, obyczaje, stosunki i postacie wprowadzone na scenę są włoskiemi w rzeczywistości. Nie jestem wcale przekonany o tém. Oto jest „Pascarel" naprzykład. Co on zacz? Włoch? A niechże mnie Bóg broni, abym wierzył, że się we Włoszech tacy ludzie rodzą. Człowiek genialny, który pochłonął wszystkie nauki, nie wyłączając nauk ścisłych, i wszystkie filozofie; mógł być profesorem matematyki w Bolonii, ale wolał odstąpić katedrę ubogiemu przyjacielowi i zrobić się wędrownym komedyantem; wdział tedy kostyum pcliszynela i obiega okolice Florencyi improwizując arcydzieła sceniczne, których spisywać nie raczy; improwizuje zresztą tylko dla ludu, bo wielkimi tego świata pogardza, i trzeba mu zmyślić historyą o słabém dziecku dopraszającém się rozrywki, ażeby go ściągnąć w pałacowe progi; kiedy zaś dowiaduje się o podstępie, tedy rzuca pod nogi magnatom ofiarowane sobie złoto i oddala się z pogardą; piękny jak Apollo, silny jak Herkules, czuły jak Romeo, szlachetny jak nie wiem kto, rzuca się z gołemi rękoma na sześciostopowego olbrzyma uzbrojonego w sztylet, rozbraja go i powala na ziemię; rozkochuje się w porzuconéj na bruk sierocie, ale oddala się od niéj, aby nie uledz pokusom namiętnego temperamentu, i, aby większą między nią a sobą samym wykopać przepaść, improwizuje dla niéj ojca, w osobie bezdzietnego lorda, mającego milion funtów szterlingów dochodu (jak wszyscy lordowie i namiętność do zbierania dzieci po ulicach.....).

Żyję i umrę z przekonaniem, że ani we Włoszech, ani gdzieindziéj nie zobaczyła panna La Ramée tego bohatera swojego—chyba w swéj wspomnianéj wyżéj okolicy, między ziemią a księżycem.

A „Signa"! historya genialnego (zawsze genialnego!) samouczka, improwizującego w ośmnastym roku życia, bez szkół, bez nauczycieli, bez pojęcia o kontrapunkcie, najpiękniejszą z oper, ale gubiącego swój geniusz w objęciach niegodziwéj zalotnicy. (Stara historya „Rosweina" i „Dalili" zresztą, z dodatkiem kilku nieprawdopodobieństw więcéj).

A „In Maremma"! historya etruskiego grobu z pochowanym w nim rycerzem o uwieńczonych złotym laurem skroniach i mieszkającą w nim *Muzą*, córką bandyty, która to *Muza* spędza czas na ocalaniu więźniów uciekających z galer. Raz rzuca się w morze i wyciąga na brzeg własnego ojca, którego siły opuściły wśród zbyt długiéj przeprawy z więzienia do przeciwległego wybrzeża. Drugi raz ukrywa w swém podziemném schronieniu hr. *Luitbranda d'Este*,

8*

niewinnie skazanego za niepopełnione przez się morderstwo. (Powieść ta, gdyby się działa naprawdę we Włoszech, byłaby w wysokim stopniu kompromitującą dla tamtejszego sądownictwa, i dla tamtejszéj organizacyi więziennéj, dopuszczającéj tylu więźniom dobywać się na wolność). I nie poprzestają oni jeszcze na wolności! Stary bandyta Saturnino Mastarna, zaledwie *po raz wtóry* oswobodzony z więzów, wybiera się do Rzymu, aby szukać pomsty na osobie hr. *Luitbranda d'Este*, który zbałamucił jego córkę. (Co miał robić, siedząc z nią przez rok cały, czy więcéj, w Etruskim grobie?). Ale powrócony do dobréj sławy i majątku porzucił ją. (Co miał robić także?). Przybywa tedy do Rzymu zuchwały bandyta, za którym śledzą napróżno karabinierzy (oj ci karabinierzy włoscy!); wchodzi do wspaniałego pałacu, w którym *d'Este* mieszka, nie zatrzymany przez lokajów śpiących w przedpokoju (oj ci włoscy lokaje!); wstępuje po marmurowych wschodach na pierwsze piętro, otwiera drzwi, spotyka nową gromadę lokajów, którzy tym razem nie śpią, ale przerażają się jego rozkazującą postawą; powołuje przed siebie niewiernego kochanka, dobywa sztylet — i pada na ziemię, obalony przez własną córkę, przez bohaterską *Muzę*, która domyśliwszy się jego zamiarów, przybyła z nim razem do Rzymu, pilnowała jego kroków, wcisnęła się za nim niepostrzeżenie do pałacu i wyrwała mu teraz z ręki broń morderczą.....

(Skłaniam się do wniosku, że gdyby panna La Ramée przypuszczała sama możliwość realnéj egzystencyi podobnych *Muz* w bliskiém sąsiedztwie swéj rozkosznéj willi florenckiéj, tedyby szukała co prędzéj innego schronienia dla własnéj muzy). Nietylko zresztą realności, ale i sensu nie umiem dopatrzyć się osobiście w tych pomysłach, włoskiego czy jakiegokolwiek. Kiedy tedy mówię, że autorka „Pascarel'a" pisze powieści włoskie, nie stosuje się to ani do obyczajów, ani do stosunków, ani do postaci, z któremi obcować nam każe jéj wyobraźnia, a które nie należą do żadnéj narodowości. Do czego więc? Jest niezaprzeczenie coś włoskiego w jéj powieściach. Autentycznie, realnie, namacalnie włoskiego. Jest *tło* — tło z natury uchwycone całkiém fantastycznego skądinąd obrazu. A że to tło zajmuje pospolicie u niéj bardzo wiele miejsca, że historya „Pascarel'a" wygląda tak, jak gdyby sama była tłem służącém do rozwinięcia panoramicznego szeregu krajobrazów, że tak samo się ma z historyą „Pipistrella" i z historyą etruskiéj „*Muzy*", przeto charakterystyka moja zda mi się być trafną i słusznym powód do uchylenia się przed rozbiorem téj nie łatwo rozebrać się dającéj, bo nader różnolitéj twórczości. Jedną stroną swojego talentu i to stroną najwięcéj charakterystyczną właśnie należy Ouida, przynajmniéj

Ouida dzisiejsza, do Włoch, drugiemi stronami do kosmopolitycznego królestwa fantazyi, a więc do wszystkich krajów i do wszystkich literatur — najmniéj jednak podobno do Anglii i do spółczesnéj angielskiéj literatury.

Nie idzie zatém, abym lekceważył ryczałtowo te rozmaite strony. Rozumiem o nich rozmaicie, ale wogóle bardzo wiele. Kiedy panna La Ramée zebrawszy, skupiwszy to, co jest prawdziwie niewieściego, czułego i rzewnego w jéj naturze i poetycznego w jéj wyobraźni i artystycznego w jéj natchnieniu, pisze historyą dwóch małych *sabotów* („*Two little Wooden Shoes*“), gotów jestem uklęknąć przed nią—choć taka demonstracya może skądinąd nie przedstawiać nic ponętnego.

Kiedy panna La Ramée przypomniawszy sobie, że jest wielką artystką i że wielkiéj artystce wszystko wolno, nawet mistyfikować ludzi i nawet ich nudzić, włóczy mnie po etruskich grobach w ślad za swoją *Muzą*, czy po willach, domach gry, jachtach i trywialnych awanturach zimowéj wilegiatury nad morzem Śródziemném, w kompanii z „*Księżną Napraxine*“ i „*Hrabią Othmarem*“, przepraszam ją za niegrzeczność, ale ziewam, bo nie mogę inaczéj.

Kiedy panna La Ramée, pilnując się nowych swoich teoryi, w materyi kompozycyi artystycznéj, *nie odczytuje* swoich utworów, pisząc od niechcenia z królewską niedbałością, i zapomina o dokończeniu swoich frazesów, albo je powtarza na trzeciéj stronie (obacz „Pascarel“ i „Signa“, *passim*), stawiam sobie pytanie, czy jest jakiekolwiek boskie czy ludzkie prawo skazujące mnie na czytanie utworów, których autor sam *odczytać* nie raczył?

Kiedy nakoniec panna La Ramée, obierając historyą pięknéj hrabiny *Hildy* i wspaniałomyślnego księcia *della Rocca* za pretekst do pospolitéj salonowéj reporterki, do mniéj lub więcéj niewinnego plotkarstwa, i do mniéj lub więcéj szlachetnego pomszczenia towarzyskich słusznych, czy niesłusznych uraz, kompromituje swoje pióro niesławną emulacyą z paryskim „Gil-Blasem“, i pisze: „*In a Winter City*“, tedy nie mogę jak tylko winszować sobie, że mnie los nie osiedlił nad brzegiem niebieskiego Arno.

Znowu jednak co się tyczy opisowéj, krajobrazowéj strony tych samych utworów, nie mam podostatkiem wielbiących wyrazów w moim podręcznym słowozbiorze dla wypowiedzenia wszystkiego, co o niéj myślę. Niektóre obrazy w „Signa“, w „Pascarel“ i nawet w „In Maremma“ należą do najpiękniejszych jakie znam. Tylko pozwolę sobie dodać, że jeden krajobraz i drugi krajobraz i trzeci i czwarty i dwudziesty w téj saméj powieści — to bardzo dużo krajobrazów. I z tém zastrzeżeniem przechodzę do porządku dziennego.

### 3. Miss Rhoda Broughton. — Miss Thackeray. — Miss Kavanagh. etc. etc. etc.

Jest ich tuzin, jest ich dwa tuziny, jest ich więcéj niżbym zliczyć potrafił, (choć miewałem swojego czasu nagrody z matematyki), które między sobą nazywają się skromnie „Sybillami“ (1), które noszą się z tém szczerem przekonaniem, że od czasu Joanny Austen, Karoliny Brontë i Jerzego Eliot prawo salickie, do góry nogami przewrócone, jest prawem przyrodzoném angielskiéj powieściowéj literatury, i które piszą, które piszą...

„*The Wizard's son*,“ 2 tomy; „*Hester*,“ 3 tomy; „*Madam*“ 2 tomy; „*The ladies Lindores*“, 3 tomy; *The greatest heiress in England*“, 2 tomy; „*The primrose Path*, 3 tomy; „*Effie Ogilvie*“, 2 tomy; ogółem 7 powieści i 17 tomów—oto *dwuroczny* bilans jednéj z nich, Mrs Oliphant, którą wyróżniam zresztą pośród tłumu, nie tylko ze względu na jéj osobliwą płodność, i wyróżniam tak dalece, że jéj przeznaczam osobne miejsce w tych szkicach.

Aczkolwiek zaś *osobliwa*, nie jest ta płodność *wyjątkową*: nie wiem nawet, czy które inne z szanownych *authoresses*, Miss Florence Marryat, np., nie mogła by się upomniéć o pierwszeństwo w téj mierze.

Co one piszą, wszystkie?—Chcę dowieść od razu, że nie powoduje mną żadne osobiste uprzedzenie. Co one piszą? Rzeczy bardzo moralne, w ogóle, i uczciwe i przyzwoite i budujące. Powieść angielska ma przecież, nawet na kontynencie, wyrobioną reputacyą w tym sensie, którą tym paniom właśnie zawdzięcza. I reputacya to najzupełniéj usprawiedliwiona. (Tauchnitz zrobił na niéj majątek). Nieprawdaż, że kiedy widzimy na stole przed jedną z naszych polskich panienek, bladą, szaro-żółtawą okładkę z „*Collection of British Authors*“, nie odczuwamy żadnego niepokoju w umyśle? I nie przychodzi nam nawet do głowy zajrzéć do środka, spojrzéć chociażby tylko na tytuł, albo na imię autora. Ha! gdyby to była jasnożółta okładka „*Calmann-Levy'ego*“ czy niebieska „*Ollendorff'a*“! Wielki Boże! A toć mogła to by być powieść Zoli! albo gorzéj jeszcze Maupassanta! Blado-żółty Tauchnitz nie budzi takich obaw. Czyja to powieść? Ba! jakiejś *miss* zapewne. Coś w rodzaju „*Red as the rose is she*“, albo „*Cometh up as a flower*“. Może „*Two-lilies*“ miss Julii Kavanagh. Oczywiście są i inne powieści w „Tauchnizu,“ z innemi autorami. Ale jest tyle tych *misses*, tyle téj *rożowéj* i *liliowéj* li-

---

(1) „A book of Sybils“, przez miss Kavanagh.

teratury, że według reguły prawdopodobieństwa, można się mienić bezpiecznym.

Tak jest, szanowne, dobre, bogobojne *misses* zrobiły z powieści angielskiéj społecznéj powieść uczciwą, nieszkodliwą i dającą bezpieczeństwo. Patentowaną dla użytku ośmnastoletnich panienek całego świata. *Copyright for Continental circulation*, jak opiewa bladożółta okładka. Oblały ją one takiemi strumieniami olejku różanego i wody święconéj, że sam Paweł de Kock, gdyby się dostał do Tauchnitz'a, utonął by bez śladu w téj powodzi. Zacne, prostoduszne, świętobliwe *misses*! Można wziąć wszystkie powieści miss Yonge, zaczynając od dwutomowego „Spadkobiercy Redclyffów“ a skończywszy na pięciotomowych „*Pillars of the House*“, ogółem coś czterdzieści tomów, wybrać którąkolwiek, rozłożyć na pojedyncze porcye jednogodzinnego czytania, i mieć, bez kościoła i ambony, kazania zapewnione na wszystkie niedziele i dni świąteczne roku. Miss Rhoda Broughton napisała gdzieś, w przystępie chwilowego zawrotu głowy, że słowo *becoming*, oznaczające przyzwoitość towarzyską, jest słowem nieznośnie trywialném, a gdzieindziéj, pod wpływem gorszego jeszcze obłędu, że małżeństwo jest rzeczą nieznośną. Dwa razy tylko zdarzyło jéj się napisać coś podobnego, i dwadzieścia tomów napisanych od téj pory świadczą o szczerości jéj żalu i jéj skruchy. Wystawiła ona cały legion bohaterów i bohaterek tak przyzwoicie zachowujących się jak tylko można, pożeniła mało dwa tuziny zakochanych w sobie i w późniejszém pożyciu szczęśliwych istot; podobno nawet okazała skłonność do stwierdzenia osobistym przykładem swoich lojalnych uczuć względem sakramentu,—nie pomogło to wszystko. Miss Rhoda Broughton wyklętą została ze świątobliwego grona swych towarzyszek, i dotąd podobno nie przywróconą do ich duchowéj komunii; i jeżeli ośmieliłem się położyć tutaj jéj imię, w tém bogobojném towarzystwie, to dla tego tylko, że rachuję na to, iż żadna *miss* nie przeczyta mnie po polsku, a mój rodak, p. Nake, z *British-Museum*, nie wyda mnie angielskiéj publiczności.

Tak jest, niemasz uczciwszéj i moralniejszéj literatury pod słońcem, nad tę literaturę niewieścią. Człowiek czuje się lepszym czytając ją. Sam, przebywszy dopiero dni kilka w jéj obcowaniu, doświadczam tego rozkosznego wrażenia. Jak gdybym skąpał się w wodzie drugiego oczyszczającego chrztu. Woda trochę zimna... Brr! I dużo bardzo téj wody. (Zdaje mi się także, jak gdybym się napił, nurka dawszy)... Ale za to jestem swobodny na sercu i na umyśle, lekki, ach, jak lekki!...

Czy jest co w téj literaturze prócz komentarzy do dziesięciu przykazań boskich, dziewięciu uczynków miłosiernych, siedmiu grze-

chów głównych, i—otóż masz! zapodziałem liczbę grzechów przeciw miłości bliźniego. (Nigdy nie mogłem jéj zapamiętać. *Od dziecka*, jak sierżant z „*The Trumpet-Major*"). Czy jest co innego w téj literaturze? A jużci! Jest najpierw talent opisowy... O już to kto chce zapoznać się z talentem opisowym, niech się tu zgłosi. Proszę wziąć np. historyą *Esthery Craven*—któż nie zna historyi *Esthery Craven* z „*Red as the rose is she*"?—*Esther Craven*, postanowiwszy szukać szczęścia i chleba w zawodzie nauczycielskim, posyła ogłoszenie do jednego z dzienników Londyńskich. Co się robi z tém ogłoszeniem? No, naturalnie zamieszczają je, jeżeli *Esther Craven* zapłaciła co się należy. Co za sucha odpowiedź! Ma się rozumiéć, że je zamieszczają; tém bardziéj, że reszta powieści zawisła od tego zamieszczenia. Ale pierwéj? Ogłoszenie dostaje się razem z zawierającym je listem do skrzynki pocztowéj; ze skrzynki do biura pocztowego; z biura... A potém, kiedy już dostało się do kolumn dziennika, przecież są w dzienniku inne ogłoszenia! Jakie? Kto je przesłał? Może ktoś z sercem równie bijącém od oczekiwania, niecierpliwości i niepokoju. Może... I są ludzie, nieprawdaż, którzy czytają ten dziennik. Jacy ludzie? Może znowu...

Czy ujawnia się teraz przed rozmysłem czytelnika, ryczałtowo rzecz tę zbywającego zrazu, co można zrobić z tak dobrym faktem jak zamieszczenie kilku wierszy w długiéj kolumnie ogłoszeń, kiedy się ma dar opisowego talentu? A Miss Rhoda Broughton ma ten dar i robi to wszystko, i wiele więcéj jeszcze. Prawdziwe cuda! I tak samo Miss Thackeray i tak samo Miss Kavanagh. Tym sposobem, za pomocą tego procederu, rozdziały rosną na rozdziałach pod ich piórem i tomy na tomach. Za pomocą tego samego procederu, francuzki pisarz, autor powieści p. t. „Une belle journée (1), zapełnił cały jeden tom o 350 kartkach opisem śniadania *en tête à tête* w garkuchni paryskiéj.

Ale słyszę uwagę, że proceder to nie nowy, że wypróbowany przez największych mistrzów powieściowego kunsztu, że zapożyczony mianowicie bezpośrednio od Dickensa. A przecież Dickens nie znudził nigdy nikogo w życiu!—Czy powiedziałem, że mnie Miss Rhoda Broughton znudziła kiedy? Zdaje mi się, że nie powiedziałem tego. Ale jeżeli mam być szczerym, tedy powiem, że mnie właśnie wielki Dickens znudził, i nie raz jeden i nie dwa razy, ale tyle razy właśnie, ile trafiłem na okolicznościową próbkę tego procederu w jego utworach. I to mimo całéj maestryi, całéj genialności wykona-

---

(1) P. Céard. Ob. studyum moje o „Powieści Spółczesnéj we Francyi," drukowane r. 1886 w *Ateneum*.

nia, jakiéj użyczyć jest w stanie temu procederowi ręka takiego jak on wirtuoza. Tylko że u niego proceder ten nie stanowi całego artystycznego zasobu a zastosowanie tego procederu—całéj powieści...

Czego więcéj doszukać się można w powieściach miss Rhody Broughton i jéj współzawodniczek? Pewnéj dozy zmysłu spostrzegawczego? Niezawodnie. Nawet sporéj dozy:

„... Niebawem jednak kłótnia uśmierza się; powaśniona na chwilę para malców wraca w najlepszéj zgodzie do ulubionéj framugi przy oknie, i zachowuje się tam tak cicho, że Joanna zagląda do niéj, aby zbadać przyczynę téj niezwykłéj spokojności—i znajduje obojga poważnie zajętych dokonaniem próby, które z nich potrafi utrzymać dłużéj miedzianego *penny* na końcu noska.“

Tego rodzaju trafne i wdzięczne nawet a niewinne spostrzeżenia znachodzą się nierzadko w „Joannie“ i w innych powieściach Miss Rhody Broughton. O! całemi tuzinami! Obok drugich, odmiennego charakteru, zwracających naszę uwagę na tę okoliczność np. że „poranny salon“ (*morning room*) tak się nazywa dla tego, że ludzie spędzają w nim zwykle wieczorne godziny,—i innych téj saméj głębokości. Są to oczywiście klejnoty. A i u Miss Thackeray spotkać się z niemi można, i nawet u Miss Kavanagh, poszukawszy dobrze. Jest zaś pewna kategorya angielskiéj czytającéj publiczności, która przywiązuje niezmierną cenę do tych pereł, i z którą spierać się tu nie myślę. Gotów jestem nawet przyznać, że w charakterze *dokumentu*, językiem spółczesnych *naturalistów* francuskich mówiąc, dla zapoznania się z drobiazgami angielskiego życia powszedniego, obfitość ta skrzętnie zebranych szczegółów i szczegółików przedstawia niezaprzeczoną wartość. Czy atoli chodzi bardzo czytelnikowi o zapoznanie się z drobiazgami angielskiego życia powszedniego? Jeżeli tak, to polecam mu powieści Miss Rhody Broughton i Miss Thackeray i Miss Kavanagh i wszystkich *misses*, wiele ich jest. Nawet tych, których niemasz w Tauchnitzowskim katalogu; a niemasz ich tam połowy, co mówię—czwartéj, dziesiątéj części!

No, a zresztą, co jest w tych powieściach? Treść? Powieściowy wątek? Powieściowa intryga? A tak, niezawodnie. Młoda, ładna, ale uboga („*pennyless*“) dziewczyna wydała się za starego profesora, owdowiała, i wydała się za młodego ale ubogiego niegdyś chłopca, z którym *flirtowała* swojego czasu, a który tymczasem zrobił majątek, jak to było jego psim obowiązkiem. Młoda, ładna, ale uboga dziewczyna (strach, co ich się tam rodzi młodych, ładnych i nieubłaganie ubogich!) wydała się za starego pułkownika, owdowiała i reszta jak wyżéj. Opowiedziałem dwie ostatnie powieści dwóch koryfeuszek rodzaju powieściowego, z którym mam sprawę: „*Belindy*“

przez Miss Rhodę Broughton i „*Mrs Dymond*“ przez Miss Thackeray. Jeżeli czytelnik nie ma dosyć, mogę opowiedziéć więcéj, tym samym kosztem. Ale może lepiéj zrobię, opowiadając, co mnie samemu się przytrafiło niedawno z tą samą „*Belindą*“, któréj dwa tomy leżą oto przedemną na stole z rozciętemi, jak należy, kartkami. Miała ona wielkie powodzenie ta „*Belinda*“, tam, nad Tamizą. Ale to wielkie. Krytyka wytknęła tylko zbytek ujemnych rysów, a w szczególności egoizmu w charakterystyce starego profesora, który trzyma biedną *Belindę* całemi godzinami nad komentarzami do Empedoklesa i zmusza ją do zajęcia miejsca przy *table-d'hôte* dlatego, że zapłacił za obiad. Czarne to w saméj rzeczy rysy; za czarne jak na rodzaj powieściowy, w którym *miss* Rhoda Broughton celować zawsze pragnie, choć wyklęta. Nie jest rzeczą *przyzwoitą*, aby charakter ludzki wyglądał tak strasznie. *It is not becoming*. Ale Miss Rhoda Broughton jest niepoprawną! Podobało jéj się powołać na swoję obronę to, że profesor ten zawarł raczéj umowę niż związek małżeński z jéj bohaterką, wyrażając dobitnie, że mu chodzi o sekretarza nie o żonę, i to wreszcie, że *znała* takiego profesora. Co za racya? I proszę zauważyć, co się zdarzyło! Znalazł się profesor autentyczny, realny, który poznał się w portrecie zdjętym z niego samego, czy z innego podobnego oryginału, i w przystępie pokory—czy dumy szalonéj — zaniósł autorce swoje podziękowania. *O, schocking! disgusting! dreadful!* Wszystkie uczciwe *misses* trzęsą się jeszcze od oburzenia, a krytyka miejscowa żywi nadzieję, że tym razem *miss* Rhoda Broughton pozna swój błąd i poprawi się. Osobiście umrę z przekonaniem, że się ten profesor przechwalił...

Ale wracam do swojéj osobistej przygody. Otóż, wziąwszy do ręki pierwszy tom „*Belindy*“, dobiłem się na 260-téj i któréjś kartce do sceny, w któréj *Belinda*, znudzona Empedoklesem, postanawia porzucić swojego uczonego małżonka i „oddać się dyabłu“ (*go to the devil*) razem z młodym i przystojnym Dawidem *Riversem*. Naturalnie nie przywodzi ona tego postanowienia do skutku (Miss Rhoda Broughton ma jeszcze pewną miarę, nawet w swych najzuchwalszych pomysłach); nie, w przyzwoitym czasie, *in the becoming time*, to jest *ante factum*, wraca jak się należy z drogi do dworca, aby upaść do nóg zdradzonemu (w projekcie) towarzyszowi życia, wyznać mu wszystko, prosić o przebaczenie i być odtąd najpotulniejszą i najcierpliwszą z Empedoklesowych komentatorek. I naturalnie (od czegoż byłby Pan Bóg, gdyby nie nagradzał tak heroicznych przedsięwzięć?) zdradzony (w projekcie) małżonek dostał tymczasem apopleksyi i poszedł połączyć się na wieki z Empedoklesem, jak na uczciwego małżonka przystało.

Tam do licha! pomyślałem, przeczytawszy to zakończenie tomu, czyżby Miss Rhoda Broughton zebrała się tym razem na napisanie czegoś innego, jak historyi o czapli na wysokiéj desce? Jest coś w tém zakończeniu, z czego by można wyprowadzić powieść *à la Daudet.* Jest *sytuacya* mniéj więcéj interesująca. Francuski pisarz nie napisał by wprawdzie całego tomu dla doprowadzenia do téj sytuacyi; zaczął by prawdopodobnie od niéj i w drugim zaraz rozdziale wprowadziłby na scenę prawdziwy temat powieści. Jaki temat? Jakikolwiek. Nastręcza ich się tyle do wyboru! Przecież ta niespodzianie owdowiała *Belinda* nie ciśnie odrazu ciepłych jeszcze zwłok swego męża dla rzucenia się w objęcia swego kochanka. Czy znajdzie ona zresztą te objęcia gotowe do równie gorącego uścisku? Czy znajdzie w nich wymarzone szczęście? Nie potrzeba zresztą francuskiego pisarza koniecznie. Jest powieść pana Justyna Mac-Carthy'ego, z którą spotkamy się niżéj, a która rozpoczyna się od identycznéj sytuacyi. Zobaczymy co Miss Rhoda zrobiła z tym fantem....

Tak sam z sobą rozprawiając, wziąłem tom drugi do ręki.... Przez Boga żywego! a to co? Czytam i nie rozumiem zrazu.... Spoglądam na okładkę.... A toć ja *drugi* i *ostatni* tom przeczytałem, sądząc od początku do końca, że czytam *pierwszy.* I ani na chwilę nie przypuściłem omyłki! *Nie brakowało mi niczego* w tym drugim tomie. I sytuacya, w któréj dopatrywałem się cokolwiek więcéj zajmującego, cokolwiek oryginalniejszego *punktu wyjścia*, jest końcową metą, rozwiązaniem. Śmierć biednego profesora jest moralnością powieści.

Ale w takim razie, co u licha mieścić się może w 1-m tomie? Co robić może *Belinda* w ciągu tych drugich 260 kartek? Co? To samo. Komentuje Empedoklesa z profesorem *Forth*'em i *flirtuje* z *Danielem Rivers*'em. Trochę mniéj przepisuje a flirtuje trochę więcéj: oto cała różnica. — Czy ładnie flirtuje przynajmniéj? Nawet nie bardzo ładnie tym razem. Wszystko się zużywa. Nawet wyprządłszy całe włókno ludzkiego serca na cienką jak pajęczyna nić, można dojść do końca kłębka. Europa zawdzięcza Miss Rhodzie Broughton encyklopedyą *flirtu* we wszystkich jego rozmaitościach i *kokieteryi* we wszystkich jéj przejawach: kokieteryi grzesznéj choć bezwiednéj (ob. *Estherę Craven* w „Red as the rose is she“). kokieteryi świadoméj siebie i tém grzeszniejszej (ob. *Leonorę Herrick* w „Good by the lovers“); kokieteryi niewinnéj, użytéj dla przezwyciężenia niesprawiedliwych uprzedzeń (ob. *Gillianę*, w powieści tenże tytuł noszącéj) i t. d. Wszystkie te bohaterki trawią młodość swoję na *flirtowaniu.* Od rana do wieczora, kiedy księżyc wcześnie zachodzi, i od wieczora do rana, podczas przyjaznych lunacyi, flirtują bez zmęczenia. Nie jedzą i nie śpią, jeno flirtują. *Esther Craven flirtuje* z ku-

zynem *Bobem*, bo kuzyn i poczciwy, choć ma „buty niezgrabne,“ a z *St. John'em*, synem lorda *Gerarda*, bo syn lorda. Ma się rozumiéć flirtuje z jednym, (ma się rozumiéć z *Bobem*) na żarty a z drugim na seryo, choć zawsze bezwiednie. I dopiero naflirtowawszy się aż do tyfusu, osięga zasłużoną nagrodę i idzie za mąż—ma się rozumiéć za *St. John'a*. *Leonora Herrick* flirtuje o jeden stopień zanadto, bo aż do suchot, które nie przebaczają tak jak tyfus, i zmusza swego partnera do szukania odpoczynku w związku z mniéj powabną ale mniéj romansową kuzynką. (Prawda, że mężczyzna to już dojrzały;—wszyscy flirtujący partnerzy wprowadzani na scenę przez Miss Rhodę są dojrzałymi mężczyznami. *Flirt* jest grą wymagającą wyrobionych muskułów moralnych, tak jak francuskie *jeu de paume* wymaga wyrobionych muskułów cielesnych. Kobiety mają wyrobione muskuły z natury. Wyjątkiem jedynym między tymi bohaterami zdaje się być *Dawid Rivers*, wyżéj wspominany; ale téż *flirtuje* on słabo). Nawet idealna Joanna *flirtuje* do śmierci z kochankiem, od którego niedająca się wypełnić przepaść dzieli ją na zawsze, a którego nie mogąc zawieść w swoje objęcia, kieruje ona „ku wieczystym światłościom“. Natabene, kochanek ten jest pułkownikiem grenadyerów gwardyi.....

Zrobiła tedy miss Rhoda Broughton dla *flirtu* dosyć. I niedostatki dające się dopatrzyć w „Belindzie“ pod tym względem mogą być jéj przebaczone. A ja czy zrobiłem dosyć dla miss Rhody? Chyba że tak. Względem Miss Thackeray poczuwam się do niejakich skrupułów. Co mógłbym zrobić dla niéj? Opowiedziéć jéj ostatnią powieść („Mrs Dymond“)? Zdaje mi się, że już dopełniłem tego obowiązku. Ale przecież jest coś więcéj w téj powieści? Zapewne! Jest opis zamku St. Cloud przed burzą, to jest przed oblężeniem Paryża i po burzy, to jest po oblężeniu. Ale może by wolał czytelnik odczytać te opisy w któréj z francuskich powieści. Jest ich tyle tych opisów! A Miss Kavanagh? Otóż masz! Byłbym zapomniał o Miss Kavanagh i o „Dwóch Liliach“ i o „Drugiéj miłości Sybilli“ i o „Niezapominajce“! Nie, nie zapomnę o Miss Kavanagh. Noszę się już od dawna—trzeba wiedziéć o tém czytelnikowi—z zamiarem napisania książki, która będzie koroną mojego zawodu literackiego. Co do tytułu nie postanowiłem nic jeszcze stanowczo. Chciałbym coś oryginalnego i powabnego zarazem, coś np. jak „Kolenda dla grzecznych dzieci“, albo „wiązanie dla dobrze uczących się panienek“. Mam nadzieję wziąć się niebawem do dzieła, za lat dziesięć albo dwadzieścia najdaléj, i wtedy nie zapomnę o Miss Kavanagh, ani o Miss Yonge, ani o Mi-rs Forester, ani o Mi-rs Alexander, ani

o Mi-rs Wood, ani o Mi-rs Annie Edwards, (proszę zauważyć, że nie wypisuję z Tauchnitz'a), ani o Miss Peard, ani o Miss Frances Poynter, ani (a niechże mnie wszyscy święci pańscy bronią, abym miał zapomnieć!) o autorze tych rozkosznych wiązanek „z róż, lilii i tymianku," które przechodzą od jednych do drugich białych rączek pod imieniem: „Molly Bawn", „Doris", „Green pleasure and grey grief", (Zielona radość i szary smutek—co za tytuł dla czułego serca!). Nie, nie zapomnę z pewnością.

*K. Waliszewski.*





# PODOLE STAROŻYTNE

## PRZED WCIELENIEM ONEGO DO BYŁÉJ RZECZYPOSPOLITÉJ.

(Dokończenie).

Dzieje wydobycia się Podola z pod przemocy tatarskiéj oraz początkowego gospodarowania w niém książąt litewskich z rodu Gedymina są dość zagmatwane, gdy chodzi o ścisłość szczegółów. Najprzód sama powieść o wypędzeniu Tatarów zbyt zdradza pochodzenie legendowe, a co bardziéj — fakta dalszych przejść Podola, które nam podają kronikarze nieco późniejszéj doby, zbyt zabarwione polemicznie: gdy bowiem latopisce litewscy podnoszą zasługi i ujmują się za prawami swoich książąt oraz za starym ruskim obyczajem, Długosz z Kromerem, w obrazowaniu przeszłości ziemi podolskiéj usiłują uzasadnić prawowitość dążeń zaborczych korony polskiéj. Ale wogóle jednak główna osnowa faktów dość wyraźnie tu występuje.

Oto zwierzchnictwo ordyńców nad Podolem słabnie, a atamanom nie brak powodów do niezadowolenia: gotowi oni zerwać więzy ich krępujące, byle się oprzéć na kim znalazło! Polska zbyt zajęta urządzaniem się na właściwéj Rusi Czerwonéj, wreszcie dla kultury swéj zachodniéj bardziéj oddalona. Litwa Olgierdowa, ruska, przedstawia więcéj rękojmi: po zagarnięciu Wołynia, sięgając po Kijów, musi przecie ostatecznie rozprawić się z Tatarstwem. O to zaś, kto będzie zawiadywać wiernie możliwemi daléj w ziemiach ruskich zdobyczami — wśród Gedyminowiczów troski niema: jeden Koryat, skromny książe Nowogródka litewskiego, a brat w. księcia, ma synów aż czterech. Gdzie tu im dzielnice wykroić? — oto zadanie. Gotowi oni „służyć“ lenniczo wszędy — Polsce, Węgrom, a cóż dopiéro swoim!

Istotnie, starcie się Litwy, mającéj na widoku zagarnięcie pod swą moc wszystkich ziem Rusi staréj, słowiańskiéj, z Tatarami, uważającemi je za sobie wyłącznie podwładne, było nieuniknionem. Między pobudkami nie małą rolę odegrywało Podole. Póki jeszcze groźnemi się być zdawały uroszczenia Kazimierza W. do téj ziemi, jako dawnéj przynależności Halicza, Olgierd nie tylko zachował się względem władców podolskich spokojnie, lecz owszem poduszczał ich jeszcze (1351) przeciw Polsce. Lecz gdy ci 1356 r. przechylili się na stronę Kazimierza, w. ks. litewski rozpoczął z nimi długoletnią wojnę, która nakoniec została uwieńczoną świetnym jego (koło 1362) u Sinych Wód (Siniuchy) zwycięstwem. Trzej książęta tatarscy „otczyczy i didyczy Podolskoj zemli", po imieniu—podług podania: Choczebej, Kutłubuha i Dmitrej, zniesieni doszczętnie, kraj im podwładny uwolniony, hordy po sąsiednich „ułusach" — aż niby ku Dobrudży—rozproszone. Pierwéj już przecie, przed tém zwycięstwem, na początku może wojny, „so kniazia welikoho Olhirdowym pozwolenijem i s pomoczju Litowskoi zemli", ruszyli na wyższe, właściwe Podole synowcowie jego Koryatowicze. Było ich czterech: Konstanty, Jerzy, Aleksander i Teodor. „To tyi kniażata Koriatowiczy pryszed w Podolskuju zemlu, i woszli w pryjaźń so otamany, poczali boronity podolskuju zemlu od Tatara ~~basakom~~ wychoda ne poczali dawaty...." Wyzwolenie Podola nie było więc dziełem jednorazowém, skutkiem jakiego świetnego nad Tatarami zwycięstwa, lecz owszem uwieńczeniem długich wysiłeń saméj ludności przedewszystkiém. Jéj atamanów raczéj, umiejących korzystać i z nieustannych rozterek między Tatarstwem, osobliwie od śmierci chana Czanibeka (1357) i nie mniéj z gotowości do posług zbrojnych, szukających wszędy „kormlenija" licznie rozrodzonych wnuków Gedymina. Koryatowicze również, popierani przez swą Litwę, szukali nadewszystko podpory w żywiołach miejscowych—weszli w przyjaźń z atamanami. Że zaś nie zastali na Podolu ani jednego zamku, ani jednego gródka, coby był czy to „drewom rublenyj", czy „kamienijem budowanyj", gdyż Tatarowie wznosić takowych mieszkańcom nie dozwalali, wzięli się niezwłocznie do zapewnienia krajowi obronności i poczęli wznosić, zacząwszy on halickiéj granicy porządkiem, jeden po drugim, warowne zameczki, posuwając się wciąż coraz daléj z biegiem Dniestru i Bohu. Pierwszy taki zameczek stanął w Smotryczu, drugi—po zburzonym widać dawniéj przez Tatarów—w Bakocie, następnie „posiekszy les, umurowali horod Kamieniec." Oparci zaś o te wstępne warowienki, powoli „wsi horody podolskyi umurowali i wsiu zemlu Podolskuju oseli."

Wszakże mogło to się stać jedynie po śmierci Czanibeka, umiejącego jeszcze podtrzymywać powagę Złotéj hordy. Po nim zaś, gdy wśród krwawych wojen domowych, naczelnicy hord pomniejszych starali się zerwać ostatnie węzły, łączące je z głównem gniazdem, łatwiéj było i ludom podwładnym probować swych sił uśpionych. Okazało się to właśnie i na Podolu. Tu Koryatowicze mieli przed sobą walkę nie z potężnem, porządnie uorganizowaném państwem groźnych chanów, lecz z nieznacznymi względnie carzykami, niepewnymi samych siebie, walka, z którymi musiała ztąd nosić charakter drobiazgowy, bardziéj partyzancki. Nie wyrzekając się bowiem wcale swych pretensyi zwierzchniczych, poprzestawali nadal Tatarowie tylko na doraźnych, pustoszących kraj najazdach. W zapasach nieustannych tego rodzaju chcący ustalić swą władzę na Podolu książęta litewscy musieli się oczywiście opierać przedewszystkiém na siły miejscowe, dla zapewnienia sobie czego winni téż byli i postępować zgodnie z interesami mieszkańców. Sympatyczne wypowiadanie się o nich latopisarzy, kierujących się pod tym względem świeżem podaniem ludowém, wymownie przyświadcza, iż Koryatowicze umieli sobie tu radzić. Jeśli skutki Olgierdowego zwycięstwa u Sinych Wód, zepchnięcie ordyńców głębiéj w step, uwolnienie od nich Kijowa i t. d. nie mogły pozostać bez poważnego wpływu na ułatwienie zadania nowych książąt ziemi podolskiéj, skuteczniéj może pomagała takowemu pewność współdziałania atamanów. Koryatowicze stawali wśród nich niby zwierzchni nad-atamanowie tylko, mający po za sobą poważne stosunki polityczno-rodowe, a w kraju, jakby wyrastające wciąż z ziemi, na obronę ich władzy zameczki. W konieczności, mieli oni na zawołanie i dawny „ordyński wychód“, — dań, „serebro“, pobierane teraz już nie dla złożenia baskakom lenniczego haraczu, jak to i nadal rozumieli Tatarowie, lecz tylko dla powstrzymania ich najazdów. Sprawa zaś ta nie była rzeczą małéj wagi, kiedy książęta od obowiązku przykładania się do dani tatarskiéj nie uwalniali nikogo, nawet klasztorów (katolickich) i ich poddanych — zaznaczając wyraźnie w nadawanych przez się przywilejach stereotypowe: „sztož koły wsi zemlane imut' dawaty dań u Tatary, to serebro imijut takože tyi ludi daty.“

Jak daleko sięgały granice opanowanéj przez Koryatowiczów krainy—dokładnie określić niepodobna; można o tém wnosić tylko z podanych przez latopisarzy nazw grodów podolskich. Zameczki Winnica i Bracław miały być także przez nich wzniesione — już na średniém Pobożu. Lecz głębszy stepowy przestwór należał zawsze do Tatarów. Zachodnia granica wyzwolonego Podola opierała się o Ruś Czerwoną, zagarniętą teraz przez Polskę. Mniemanie zaś ja-

koby Kazimierz W. zajął zarazem i część choćby jakąś Podola, jest zupełnie nieuzasadnioném.

Następnie—zwracając się ku ściślejszemu określeniu działalności książęcéj braci Koryatowiczów, każdego już z osobna—nie znajdujemy też u rocznikarzy należytego punktu oparcia. Po za nielicznemi aktami urzędowemi, pewniejszem od innych jest podanie przechowane u latopisca w. ks. litewskich. Podług tego podania, synowie Koryata występują na Podolu nie z osobna, jeden po drugim, lecz jednocześnie i razem; najmłodszy z nich tylko, Teodor zdaje się przesiadywał dłużéj na ojcowiźnie swéj litewskiéj — Nowogródku. Stanowisko nowych tych książąt Podola wydaje się tak nieokreślaném, jakiém musiało być i faktycznie. Chociaż zdobyli oni ową dzielnicę za „przyzwoleniem" w. ks. Olgierda „pomocą litewskiéj ziemi", bardziéj jednak opierali oni widać swą władzę na przychylności a interesie samych mieszkańców. Władzy téj dobili się sami, nie wzięli jéj z rąk w. księcia Litwy, a jeśli się mogli uznawać kiedy za jego lenników, to chyba doraźnie tylko i wcale nie dla podtrzymania wspólności rodowéj. Polityką ich kierował interes ich własny, związany poważnie z interesem nowozdobytéj dzielnicy. Ztąd jednoczesne chylenie się ku współzawodniczącéj z Litwą Polsce Kazimierza, ztąd oglądanie się na Węgry. Samo też położenie Podola wymagało tego i umożliwiało to zarazem, zapewniając władcom jego pewną niezależność działania. Leżało bowiem Podole na szerokim szlaku wszelkich wypraw tatarskich—czy to na Litwę, czy do Polski, czy do Węgier nawet; zazdrośni więc sąsiedzi o wyłączne zwierzchnictwo nad tą krainą jednego z nich, widzieli jednak chętnie, że podnoszący się tam powoli a samoistnie prawie nowy porządek wytwarzał u ich granic jakąś tamę, wstrzymującą pierwszy niespodziany wylew koczowników. Chociaż tedy inicyatywa uwolnienia Podola przynależy może Olgierdowi, nie daje to jeszcze prawa do wnioskowania o panowaniu tu Litwy!

Owszem już najpierwéj z Koryatowiczów wspominanego księcia Konstantyna legenda litewska wiąże ściśléj z Kazimierzem W. Miał niby król polski zaprosić tego księcia do siebie, ofiarując mu z ręką swéj córki i dziedzictwo tronu po sobie, czego książe z pobudek jakoby gorliwości religijnéj nie przyjął. Fakt zmyślony, ale zawsze mogący przyświadczać, jak wcześnie władców litewskich na Podolu styka podanie z szerokiemi zamysłami polityki polskiéj. Nie mniéj są ślady stosunków z Węgrami: ks. Konstantyn z czasem (po 1385) „otiehal do Whorskaho korola i tam umer."

Drugi syn Koryata, Jerzy występuje już w r. 1349 w układzie książąt litewskieh z królem polskim względem ziemi lwowskiéj. Wi-

dać posiadał on już jakąś drobną dzielnicę w spornêm między Polską a Litwą Wołyniu lub na Rusi Czerwonéj. Bardzo téż być może, iż podobnie jak stryjeczny jego Jerzy Narymuntowicz bełzki, musiał i on wejść w stosunek jakiejś zależności od króla Kazimierza i do pewnego stopnia oddzielić interes własny od interesów reszty książąt litewskich. Po znanéj bowiem wyprawie Polaków na Wołyń 1366, Jerzy Koryatowicz znajduje się po stronie królewskiéj: w umowie Kazimierza z Olgierdem, Kiejstutem, Jawnutą i Lubartem, z polskiéj strony — obok Jerzego bełzkiego wspomniani są „drugi Jerzy i Aleksander.“ Kto zaś byli ci dwaj książęta — wątpliwości żadnéj niema. Aleksandrowi oddał wtedy Kazimierz odebraną od Lubarta cząstkę Wołynia. Czy był zaś Jerzy 1366 już i księciem podolskim? odpowiedzić stanowczo niepodobna.

Jako książęta Podola, bracia Koryatowicze nie tylko stali na straży tego kraju, lecz na ile o têm z pozostałych po nich pamiątek wnioskować da się, byli jego organizatorami i osadcami zarazem. Biorąc przykład z gospodarki wielkiego Kazimierza w sąsiedniéj Rusi Czerwonéj, nie tylko wznosili oni obronne zamki, lecz starali się téż i o podniesienie miast etc. R. 1374 książęta Jerzy z Aleksandrem nadali stołecznemu swemu Kamieńcowi prawo magdeburskie, z wszelkiemi onego znanemi używalnościami i obowiązkami, nadto 100 łanów ziemi oraz 20-letnią wolę (swobodę). Akt sam wydany pod datą 7 listopada podpisali jako świadkowie: kamieniecki wojewoda Ostafij Matwij Malentowicz z bratem swym Siemionem, Hryńko wojewoda czerwonogrodzki, Oleśko wojew. smotrycki, Oleśko Hołodowicz, Waśko Kobiak. Spisał go zaś Supron pisarz książęcy. Obdarowanie takowe swobodami Kamieńca nie mogło nie przyczynić się znacząco do ściągnięcia doń przemyślnego osadnika, a przeto i szybszego podniesienia miasta wogóle. Wprawdzie nowe przywileje wyosobniały je z konieczności z pośród reszty kraju, choć nie bez pewnéj korzyści i dla ogółu. Ale, żeby podobne obdarowywanie ziemią—gmin, instytucyi lub pojedynczych osób, jakiego dokonywali na mocy swych praw zwierzchniczych książęta, miało być „ekspropriacyą“ dotychczasowych właścicieli — tego p. Molczanowskiemu nie przyznamy. Zajęci porządniejszą organizacyą kraju, szukając po temu wzorów na Zachodzie, popierali książęta Jerzy z Aleksandrem nie mniéj téż i kult zachodni, robiąc hojne nadania posuwającym się ku wschodowi dominikanom (klasztorowi w Smotryczu). Wątpliwa tedy, czy ks. Jerzy — dla swéj gorliwości ortodoksalnéj— powołanym został na hospodarstwo mołdawskie przez antykatolickie niby stronnictwo Wołochów. Ci go wprędce otruli jednak: „kniazia Jurja Wołochowie wozma k sobie wojewodoju, i tamo jeho otkormili.“

Najwybitniéj z braci wszakże zaznaczył skłonność swą ku zachodowi ks. Aleksander. Wcześnie widać skarbił on sobie względy Kazimierza, gdy ten po wyprawie 1366 oddaje mu w zarząd odebraną Lubartowi ziemię włodzimierską. Na tém stanowisku służy wiernie królowi aż do jego śmierci 1370 i jako lennik korony polskiéj jedzie do Krakowa na pogrzeb. Tymczasem Lubart, korzystając z jego nieobecności, zajmuje zamek włodzimierski. Wyparty z Wołynia Aleksander prawdopodobnie wrócił do swéj dzielnicy podolskiéj, gdzie rządził z początku łącznie z bratem Jerzym, a po jego śmierci pewien czas sam, broniąc swéj dzielnicy od Tatarów, w walce z którymi zginął koło 1378.

Wobec roznamiętnionego współzawodnictwa między Polską a Litwą o spadkobierstwo dziedzin Danielowych, stanąwszy niejako po stronie polskiéj, zostawał ks. Aleksander podług wszelkiego prawdopodobieństwa w stosunku bardzo wytężonym względem swych stryjów, osobliwie zaś w. księcia Olgierda. Ten przecie, zajęty nieustanną walką z sąsiadami oraz szerzeniem granic swego państwa, nie niepokoił wcale Koryatowiczów, którzy w zapasach z Tatarami działali zupełnie samoistnie. Pod ich tedy zwierzchnictwem Podole poczęło powoli się ożywiać, wchodziło w stosunki handlowe z polskiemi (Kraków otrzymał przywiléj wolnego handlu 1375), a przez nie i z niemieckiemi miastami i podług możności popierało swych książąt. Ci zaś, w widokach może zapewnienia sobie większéj samodzielności, o ile odchylali się od pokrewnéj Litwy, o tyle bardziéj wchodzili w ściślejsze stosunki z Polską. Stosunki te ich z Kazimierzem W. i jego następcą Ludwikiem węgierskim sprawiły, iż do końca wieku XIV nie przyszło między Polską a Litwą do starcia z powodu Podola i że polski zabór w téj stronie nie przekraczał po za Trębowlę. Utrzymanie niepodległości Podola łącznie z pracą nad jego podniesieniem — oto główna zasługa pierwszych trzech Koryatowiczów. Czy przyjęcie przez ks. Aleksandra katolicyzmu (może jeszcze przed 1351) było skutkiem rachuby politycznéj — trudno coś stanowczego orzec. Bądź-co-bądź, nie prowadziło go to do jakiegoś niewczesnego prozelityzmu, otaczania siebie wyłącznie Polakami, zbytecznego uposażania łacińskich klasztorów etc. Potrzeby moralne miejscowéj ludności nie mniéj téż musiały być zaspakajane, zresztą wprowadzony feudalny porządek litewski nie dotykał ani wiary, ani obyczai mieszkańców. Przywiléj pod d. 17 marca 1375, którym ks. Aleksander potwierdza tylko poprzednie nadanie na ogólném prawie feudalném zrobione klasztorowi dominikanów w Smotryczu przez brata jego Jerzego; przywiléj ten, który doszedł nas

w ruskim swym pierwowzorze, przedstawia jeden z ciekawszych pomników owoczesnéj piśmienności podolskiéj i do pewnego stopnia ówczesnéj mowy miejscowéj. Pozorne lub wyraźne w nim polonizmy wcale jego autentyczności nie osłabiają. Jako świadkowie na nim podpisani: Hryńko pan starosta podolski, smotrycki wojewoda Rohozka i Prokop Semenko Karabczijewski.

Najmłodszy z Koryatowiczów Teodor — prawdopodobnie niezgodny z braćmi—szuka wcześnie dzielnicy czy opieki dla siebie za Karpatami, na Węgrzech, dokąd téż przybył jeszcze przed rokiem 1360. Koło tego czasu maramorscy Wołosi, dociskani przez króla Ludwika, gorliwego katolika, poczęli się przenosić na tę stronę gór i osiadać nad poblizką Podolowi Mołdawę. Dla zupełnego uwolnienia się widać od Węgrów, weszli oni w jakieś układy z ks. podolskim Jerzym. Natomiast zarząd oraz zaludnienie opuszczanego przez Wołochów obwodu powierzył król Ludwik bratu jego a może i przeciwnikowi Teodorowi. Głównem siedliskiem nowego zarządcy był zdaje się Mukaczów (Munkacz) z mocnym zamkiem nanowo przezeń odbudowanym. Gorliwy widocznie wyznawca obrządku wschodniego wzniósł on tu monaster św. Mikołaja. Tytułował się zaś jeszcze nawet w początku XV-go w. „Theodorus dux Podoliae, comes comitatus de Beregh“ etc. Przypisywane mu zaś przesiedlanie za Karpaty ludu ruskiego z Podola należy do późniejszych przywidzeń.

Kiedy ks. Teodor przybył na Podole—nie wiadomo; najpewniéj objął je po śmierci braci. Lennik Ludwika ze swéj dzielnicy na Węgrzech, mógł za takowego być uważanym i z Podola, gdy dotychczasowy jego suzeren a siostrzeniec Kazimierza W., wstąpiwszy po nim na tron polski, zagarnął Ruś Czerwoną na rzecz korony ś. Szczepana. Czy by miał się raczéj uznawać lennikiem w. książąt Litwy —Jagiełły?—nieprawdopodobne. Gdy następnie tenże Jagiełło został i królem Polski, pod obowiązkiem formalnym wcielenia Litwy do Korony, a niebawem i załogi węgierskie z zamków czerwonoruskich wypędzono, wypadło też i księciu Teodorowi uchylić czoło przed nowym władcą. Istotnie złożył on, za przykładem całego tłumu potomków Gedymina, hołd w Krakowie Jagielle. Czy jako królowi polskiemu?—najprawdopodobniéj. Nie zmieniało to wprawdzie w niczém faktycznego stosunku Podola ku Polsce, nie sprowadziło, za sobą większego krainy téj uzależnienia; lecz sam fakt owego hołdu posłużył z czasem za jedną z najgłówniejszych podstaw formalnych polskich zamierzeń, wytężonych ku jéj zupełnemu zawładnięciu.

Do czasu tylko przecie mógł trwać taki napół niezależny stosunek Teodora: o Węgry, zaburzone po śmierci Ludwika, opierać się

już nie mógł a czy to z Polski czy z Litwy, zmierzającéj niebawem również do skonsolidowania się, czekał go tylko nakaz posłuszeństwa. Wąpliwém mogło być to jedynie, zkąd ten nakaz będzie prędzéj siłą poparty: przez rozwielmożniającą się po sąsiedniéj Rusi Czerwonéj szlachtę małopolską, co tęskliwie z po za Seredu spoglądała ku ponętniejszym jeszcze obszarom podolskim lub téż przez bardziéj ambitnego od niéj w. księcia Litwy. Fakt wyniesienia na stolec w. książęcy dzielnego syna Kiejstutowego, Witolda, wprędce o tém zdecydował stanowczo.

Zaspokajając Jagiełłę i jego doradców pozorami formalnéj, dyplomatowéj, że tak powiemy, uległości, pojmował Witold swoje stanowisko i zadanie jako prawdziwy monarcha. Przedmiotem jego śmiałych, wielkich zamysłów było dźwignięcie potężnego państwa, pierwszym krokiem ku czemu z konieczności być musiało, jeśli nie zniesienie zupełne to możliwe ograniczenie władzy udzielno-feudalnych książąt licznie rozrodzonéj rzeczy Gedyminowiczów. Zostawały im do wyboru: korny posłuch lub utrata dzielnicy. I poczęli tedy nieposłuszni kniaziowie tracić swe ojcowizny jeden po drugim. Wnet téż przyszła kolej i na ostatniego z synów Koryata.

Książe podolski odmówił widocznie posłuszeństwa w. ks. Litwy: „Podolskaja zemla ne chotiła byt' posłuszna weł. kniaziu Witowtu i Litowskoj zemli"—powiada krótko latopisiec, nie podając szczegółów odmowy. Witold tedy, rozprawiwszy się z Włodzimierzem Olgierdowiczem ks. kijowskim, który mu również „ne woschoti pokory uczynity i czołom udaryty," wiosną 1393 r. wyruszył na Podole. Ks. Teodor na wieść o tém udał się—dla zapewnienia sobie może posiłków—na Węgry, gdzie dotąd posiadał znaczną dzielnicę, obronę zaś Podola powierzył wojewodzie Nestakowi, zostawiając mu oddział najemnych Wołochów. Tymczasem wojsko litewskie posuwające się od wschodu, zdobywało przemocą zamki podolskie jeden po drugim, poczynając od Bracławia a skończywszy na Czerwonogrodzie. Na domiar powodzenia i sam wojewoda Nestak, przy zdobyciu Kamieńca zdaje się, dostał się do niewoli. Do jesieni wojna została skończoną. Podbite Podole objął Witold pod swój bezpośredni zarząd, osadzając po miastach własnych starostów.

Nie zdołał jednak ambitny Kiejstutowicz na długo w nowozdobytéj krainie się utrzymać. Czuwała nad nią rada koronna, wystawiająca w obec dokonanego faktu domniemane prawa Polski, ale wystawiająca je bardzo przekonawczo. Witold zaś zbyt wytrawnym był politykiem: nieumocniony sam jeszcze należycie na Litwie, potrzebujący mieć oporę w Polsce, nie śmiał on wywoływać burzy i—rad nie rad ustąpił. Najprzód tedy r. 1394 jeszcze przyjął Ka-

mieniec z obwodem na prawie lenném od króla a następnie, gdy i to panów polskich nie zadowalniało, zrzekł się na rzecz Jagiełły, za pewną umówioną sumę (20 tys. kop.) całego właściwego Podola zupełnie, zatrzymując przy sobie tylko połać stepową z zamkami Bracławiem i Sokolcem. Zamki zatém Kamieniec, Smotrycz, Czerwonogród, Skała, Bakota, Międzyboż, Bożsk i Winnica latem 1395 już znajdowały się w ręku królewskich. Tegoż roku Jagiełło, powodowany nie łatwo dającemi się dziś wytłómaczyć widokami, aktem z d. 13 czerwca oddał znaczniejszą część swego nabytku, mianow. stare Poniże z pięcioma onego zamkami, (pierwszymi śród wyżéj wymienionych), na pełném prawie feudalném udzielno-książęcém wojewodzie krakowskiemu i możnemu już dziedzicowi Samborszczyzny Spytkowi z Melsztyna. Pod bezpośrednią władzą królewską pozostało tylko górne Poboże z Międzybożem, Bożskiem oraz Winnicą—prawdopodobnie również oddane niebawem bratu królewskiemu Dymitrowi Korybutowi, wyzutemu przez Witolda z Nowogródka siewierskiego, któremu miał być nadto dodanym sąsiedni Krzemieniec. Że było to wynikiem kompromisu między Witoldem a Jagiełłą tylko, to rzecz widoczna. Królowa Jadwiga i jéj bliżsi byli srodze niezadowoleni z takiego obrotu rzeczy usuwającego upragnione Podole z pod bezpośredniéj zależności od Korony. Uksiążęcenie już i tak potężnego choć zasłużonego dworowi, Spytka szczególnie nie mogło nie stać się kamieniem obrazy dla jego możnowładczych współzawodników.

Tymczasem Spytek, wszedłszy w posiadanie bogatéj książęcéj dzielnicy (za zwrotem królowi wyłożonych 20 tys. kop. czy grzywien) poczynał sobie jako prawdziwy pan jéj i dziedzic—jako „dominus et haeres ducatus Podoliensis.“ Podole pod jego władzą nie przestawało być w odrębnym względem Polski stosunku; razem z dziedziną przejął on jakoby i politykę sympatycznych dla ludności Koryatowiczów, dbał o bezpieczeństwo kraju i „boronił zemlu od Tatar“. W tym też celu pewno znosi się 1397 z hospodarem mołdawskim, a nawet odwiedza go—zdaje się w jego stolicy. Poróżniony z przemożném u dworu stronnictwem, podejrzewany nieledwie o dumne zamysły ze szkodą Korony, nie przyjmuje on już udziału w sprawach ogólnych i prawie nie zjawia się w Krakowie. Tém więcéj za to zbliża się ku Witoldowi, który go umiał ku sobie pociągnąć. Wreszcie wymagała tego i potrzeba zabezpieczenia jego dzielnicy od Tatarów, z którymi Witold śmiertelny bój był rozpoczął (1398). Wziął tedy udział w wielkiéj wyprawie sił litewskich za Dniepr i w pamiętnéj bitwie nad Worsklą 12 sierpnia 1399 r. po bohatersku na czele swych Podolan zginął. Zginął też tam razem i Dymitr Ko-

rybut. Zwycięzcy ordyńce, złupiwszy Kijów, rozpuścili swe zagony aż pod Łuck. Osierocone Podole stało teraz dla nich otworem —a nie było komu już go bronić: po Spytku zostało tylko dwóch małoletnich synów pod opieką matki.

Wypadało tedy szybko decydować o przyszłym zarządzie Podola. Witold zbyt osłabiony straszną klęską nad Worsklą nie śmiał na nie nakładać swéj ręki. Niepodobna mu było narażać się na nieodzowne zatargi z Jagiełłą. Ten zaś nie zaniedbał skorzystać z wyższości swego położenia; dzielnicę Spytkową od jego żony (1400) wykupił i oddał ją, jako lenno Korony—chociaż przeciwnikowi unii 1386, lecz zarazem najzawziętszemu wrogowi Witolda—bratu swemu Świdrygielle. W ten zatém sposób, przy zapewnieniu obronności większéj od tatarskich najazdów spornéj krainie, wysunięto na widownię jakby żywy hamulec śmiałych zamysłów w. księcia Litwy.

Nowy książe Podola rozpoczął czynem energicznym krótkie tu swe władanie. Oprócz średniego Podniestrza dostało mu się téż i Pokucie. Do tego kraiku rościli sobie oddawna hospodarowie wołoscy na Mołdawie pewne prawa. Obecnie jeden z nich Iwaszko złożył hołd koronie; ale brat jego Roman nie tylko że się ukorzyć nie chciał, lecz pragnąc zagarnąć wierzchowisko Prutu, pustoszył pograniczne posiadłości Świdrygiełły. Powetował mu ten przecie, zaraz 1400 r. wziąwszy napastnika do niewoli nawet.

Wszakże ambitny a niespokojny Olgierdowicz nie myślał wcale poprzestawać długo na skromnéj roli udzielnego księcia Podola: antagoniście Witolda—śniła się zwierzchnicza władza nad całą Litwą. Na razie nie było mu się na kim oprzéć: Witold żył w zgodzie z zakonem. Lecz skoro tylko przezorny syn Kiejstuta, zrozumiawszy fatalną nieodzowność dla siebie oparcia się o Polskę, zawarł 1401 r. z Jagiełłą pamiętny akt, mocą którego zapewniał Koronie po swéj śmierci całe w. księstwo litewskie, Świdrygiełło tracąc już wszelkie wyniesienia się nadzieje, rzucił się otwarcie w ramiona równie jak on rozsrożonych tém Krzyżaków. Zakon oburącz chwycił się okoliczności zadania śmiertelnego ciosu wzmacniającemu się coraz żywiéj polsko-litewskiemu zrzeszeniu i zapewnił wrogowi Witolda całe swe poparcie. Ze swéj strony liczył Świdrygiełło na przychylność niezadowolonych z wkraczającego zachodniego porządku żywiołów ruskich w. księstwa. Próżne jednak, jak wiadomo, były wysilenia przeciwników unii: 1404 Jagiełło i Witold pogodzili się z Krzyżactwem, Świdrygiełło stracił grunt pod sobą.

Opuszczając w początku 1402 Podole, zostawił tam przecie Świdrygiełło swe załogi dla strzeżenia zamków. Buntowniczego brata postanowił Jagiełło ukarać, odbierając daną mu tak niedawno

dzielnicę. Lecz teraz chciał on już Podole zająć bezpośrednio na siebie—nie mniéj czyhał na nie i Witold, potrzebną więc była największa przezorność w działaniu. Zarządzali krainą w imieniu Świdrygiełły namiestnicy jego Rusini i Polacy; w Kamieńcu zdaje się była załoga polska. Zdecydowany zagarnąć Podole na rzecz Korony, król 1403 wezwał ludność do złożenia mu posłuszeństwa jako zwierzchniemu panu. Ku wielkiemu zdziwieniu wszakże spotkał opór nie tylko ze strony Podolan, lecz nawet—siedzących na zamku kamienieckim Polaków. Jedni liczyli na powrót Świdrygiełły, inni obawiali się Witolda. Dla większéj pewności miał być przez króla poprzednio (1402?) zawarty tajemny układ ze starostą podolskim Hryćkiem Kierdejowiczem o poddanie zamków i całéj krainy. Jednak przyszło je zbrojnie zdobywać. Po zawarciu 1404 pokoju z zakonem i król i w. książe ruszyli na Podole. Mieszkańcy Kamieńca chętnie otwarli bramy swe królowi, zamek nie poddawał się. Jagiełło przeto był zmuszonym—niby—przyrzec uroczyście oblężonym, iż nie odda Podola i jego zamków żadnemu księciu a zawiadywać nimi będzie przez szlachtę, podobnie jak to już była królowa Jadwiga 1387 przyobiecała Przemyślowi: nikogo ze krwi książęcéj starostą nie naznaczać „nisi Polonum vel Rutenum de nobili genere procreatum.“ W tym razie najwidoczniéj zwrócono ostrze przeciw Witoldowi, który z obawy Świdrygiełły nie tylko nie protestował, lecz sam nawet w Kamieńcu złożył ponowną przysięgę wierności. Po poddaniu się stolicy, poddały się królowi i inne zamki Podola.

Jak daleko przecie sięgało tu panowanie polskie a bardziéj jeszcze, na ile téż ono dało się na razie ugruntować—określić ściśle niepodobna. Władza zawiadowców polskich, noszących nazwę starostów ziemi podolskiej i zbyt często dla trudności położenia zmienianych, nie daleko prawdopodobnie przekraczała obwód Kamieńca. Związany z Polską stosunkami handlowemi oraz przywilejami, ściągającemi doń wcześnie i ludność polską, był on może wyłącznem ogniskiem powagi królewskiéj na Podolu. Miejsca bardziéj oddalone chyba tylko nominalnie były uległemi. Nadania królewskie z owego czasu dotyczą jedynie bliższych Kamieńca miejscowości.

Odtąd nadługo, aż do śmierci Witolda zrywają się węzły łączące Świdrygiełłę z Podolem. Jedyną zaś pamiątką po nim, z tego czasu znaną nam, jest przywiléj dany 1401 przezeń dominikanom kamienieckim na wieś Zubrowce nad Smotryczem, mocą którego uwalniając nadal mieszkańców od służby zamkowéj, zobowiązuje ich do wnoszenia podawnemu opłaty zwanéj „poddańszczyna“ tudzież dani „tatarskiéj,“ jak i w ogóle do pełnienia wszelkich innych powinności ustanowionych podług zwyczaju ziemi podolskiéj i obowiązujących wszystkich podolskich ziemian.

Jako świadkowie występują tu: książe Wasili z mianem Bożski, Hryńko z Sokolca, Demian Werokub, Albert Rowski i marszałek książęcy Waśko. Najpewniéj wymienieni wyżéj: ks. Wasili, Hryńko i Albert byli to książęcy starostowie w odpowiednich miastach: Bożsku, Sokolcu i Rowie; a kto wie, czy ów książe, podpisujący się pierwszy, nie był Wasili Koryatowicz, który 1403 przysiągł Jagielle na wierność Koronie.

Po opanowaniu Podola i usunięciu ostatecznêm Świdrygiełły, król dla têm pewniejszego zaszachowania pretensyi Witolda począł się był 1403 znosić z wygnanym przezeń Teodorem Koryatowiczem, który nie przestając tytułować się podawnemu „księciem podolskim i władzcą mukaczowskim“, złożył był nawet hold Jagielle Niezawodnie zaś podtrzymywał w nim król pewne szersze nadzieje, gdy ten jeszcze i 1406 i 1408 podpisywał się, jako: „Dux Podoliae, comes comitatus de Beregh.“

W ogóle można powiedziéć, iż Podole po ustąpieniu niespokojnego Olgierdowicza znalazło się w jakiemś nieokreślonêm, przejściowêm tylko położeniu. Milczące przyzwolenie Witolda na zależność onego od Korony nie rokowało trwałości. Dopóki musiał on oglądać się na Świdrygiełłę i niechętne sobie stronnictwo ruskie, dopóki odczuwał dotkliwe skutki straszliwéj klęski 1399, dopóty nie śmiał wszczynać sporu o Podole. Lecz skoro mu się udało nakoniec 1409 schwycić swego najzawziętszego na Litwie przeciwnika i osadzić go na długo pod mocną strażą w Krzemieńcu a zapowiadająca się nieodwołalnie śmiertelna walka Polski z zakonem robiła jego pomoc pierwszym warunkiem powodzenia, wtedy przypomniał on i o swych prawach do ziemi podolskiéj. Spór o jéj dalsze posiadanie był uporczywy, ale koniec końcem Jagiełło musiał teraz ustąpić. W maju 1410 zawartym został układ, mocą którego król polski odstępował w. księciu litewskiemu 5 miast trzymanych przez Spytka z Melsztyna—mian. Kamieniec, Smotrycz, Czerwonogród, Skalę, Bakotę, nadto ile się zdaje—Międzyboż, Bożsk, Winnicę, któremi ten nie władał. W. książe zaś za ustąpienie to prawa na Podole wypłacił 40 tys. kop. groszy tj. sumę podwójną Spytkowéj.

Witold następnie zarządzał nabytêm nanowo Podolem przez swych starostów, którzy siedząc na zamku kamienieckim, grali rolę namiestników w. księstwa litewskiego. Wbrew bowiem wszelkim uroczystym względem króla zobowiązaniom, był w. książe litewski faktycznie niezależnym wcale monarchą i stanowczo zmierzał teraz ku zupełnemu wcieleniu Podola do Litwy. Lecz nie należy mniemać, żeby władza Witolda nad Podolem miała być już ubezpieczoną przez samo nabycie od króla praw na tę ziemię. Szlachta polska, osiadła

tu przeważnie od czasów Spytka z Melsztyna, szczególniéj zaś szlachta sąsiedniéj ziemi „ruskiéj" była wielce niezadowolona z oddania Podola Witoldowi i uważała stan rzeczy powstały tu od r. 1410 za czasowy jedynie, mogący trwać najdaléj chyba do jego śmierci tylko. Inne wręcz zato zapowiadali dążności zwolennicy zupełnéj autonomii litewsko-ruskiéj rzeszy. Skutki takiego przeciwieństwa wybuchły wprawdzie dopiero po śmierci Witolda, ale pierwsze tego objawy dały się dostrzedz już i za jego życia.

Tymczasem brało Podole, razem z innemi ziemiami ruskiemi żywy udział w rozstrzygającéj losy Polski i Litwy walce z Zakonem. Pod Grunwaldem występowało aż trzy chorągwie podolskie. Wprędce potém, jak się zdaje, wszystkie zamki Podola przeszły w ręce Witolda, osobliwie gdy ten począł się znosić z królem Węgier Zygmuntem, występującym w obec Jagiełły z uroszczeniami nietylko do Wołoszy mołdawskiéj, lecz i do ziem ruskich. Dotyczyły one i Podola—o tyle jednak o ile doń zaliczano wówczas Pokucie. Zwierzchnicze prawa bowiem, jakie posiadał Zygmunt nad Teodorem Koryatowiczem, który nie przestawał tytułować się księciem podolskim, nie miały tu napewno żadnego znaczenia. W traktacie wszakże r. 1412 między Węgrami a Polską, co zamknął te spory, a do którego przystąpił i Witold, dotknięto szerzéj Podola. Co do tego punktu—Zygmunt przyrzekał Jagielle, jako panu zwierzchniemu, nie czynić mu żadnych przeszkód we władaniu Podolem oraz nie popierać jakichkolwiek doń pretendentów. Faktycznie przecie zastrzeżenie owo umacniało przedewszystkiem prawa Witolda, jako rzeczywistego władzcy kraju.

Akt pamiętnéj unii horodelskiéj 1413 podpisał z Podola starosta Piotr Mongierdowicz.

Wobec owoczesnych warunków panowanie Witolda na Podolu musiało posiadać charakter wojenny przeważnie. Głównem onego zadaniem była obronność kraju nadewszystko. Podnoszono zamki i zapewniano im dostateczną siłę obronną przez sprężystsze uporządkowanie—znanym litewskim trybem—obowiązków wojennych tak ziemian jak włości. Napływ szlachty polskiéj może był powstrzymanym, żywioł ruski kornie słuchał władzy.

Czy przecie miejscowa ludność ruska była zadowoloną z surowych rządów Witolda—rzecz wątpliwa. Więziony przezeń na zamku krzemienieckim Świdrygiełło miał tu widać zawsze swych stronników. Przy pomocy ks. Daszka Fedorowicza ostrogskiego i Aleksandra przezwiskiem Nos z książąt pińskich wydostawszy się 1418 z długoletniego więzienia, zawadził on i o Podole, ustępując na Węgry. Podolanie wprawdzie, jak i inni stronnicy jego na Litwie, broni

w jego sprawie nie podnieśli, ale widocznie dane przezeń hasło wywołało na Podniestrzu silne poruszenie umysłów, kiedy Witold czuł się zmuszonym wyjednać u Jagiełły nakaz do wszystkich mieszkańców ziemi podolskiéj, by złożyli mu przysięgę wierności i posłuszeństwa. Chociaż skądinąd można nie mniéj przypuszczać, iż nakaz podobny mógł być zwróconym przedewszystkiém ku osiadłéj na Podolu — tak polskiéj jak czerwono-ruskiéj — szlachcie, ze zgrzytem tylko znoszącéj wędzidło surowego syna Kiejstuta. Że owo formalne, jurydyczne przyznanie Podola na rzecz Witolda — przy dobitném przecie zastrzeżeniu praw Korony—nie rokowało nic pomyślnego dla Litwy, pragnącéj utrzymać krainę tę w splocie swéj rzeszy i po śmierci Witolda, widać z faktów następnych. Ze strony koronnéj przygotowywano się wcześnie, by nie dopuścić do tego. Akt jeden z r. 1427 świadczy, iż „nobiles Podoliae" Stefan z Bydłowa, Hanko Cheliński, Piotr Kot i Klemens z Moskorzewa składają w Krakowie uroczyste przyrzeczenie, iż oddadzą królowi zamek kamieniecki w 6 niedziel po jego owładnięciu. Nie podlega téż wątpliwości, że nie chodziło tu o wsparcie polskiéj załogi zamkowéj, jakiéj by pewno Witold pod swą władzą nie zniósł, lecz poprostu o podchwycenie zamku.

Z innéj strony zostawało Podole pod nieustanną prawie grozą Tatarów. Wprawdzie stopień wytężenia ich naporu zmieniał się ze zmianą doniosłości wpływu samego w. ks. Litwy i pana Naddniestrza na ówczesny świat tatarski wogóle; lecz zawsze przecie stosunek do koczowników uwarunkowywał w każdéj chwili rozwój pomyślności krainy. Wskazywaliśmy już wyżéj na to, iż do końca XIV w. nie było wolném Podole zupełnie od wszelakich zobowiązań względem niedawnych swych władców, od czasu do czasu książęta podolscy zmuszeni bywali wykupywać się od tatarskich najazdów i opłacać Tatarom upominki, które w aktach dawnym zwyczajem zwano „dań." Z samych zaś aktów można wnosić, że dań owa nie była wypłacaną stale i regularnie, lecz pobieraną była od wszystkich mieszkańców każdorazowo wskutek szczególnego nakazu księcia lub jego namiestnika, nosiła więc istotnie cechę późniejszych dobrze znanych „upominków." Jeśli daléj wzmiankę o niéj spotykamy i w akcie z początku XV-go, wskazuje to jedynie na zagrożony stan naszéj krainy, pozbawionéj przez śmierć Spytka z Melsztyna na czas pewien dzielnego obrońcy, jakiego późniéj odnalazła w Witoldzie; choć i ten mimo wszystko, ledwie w ostatniém dziesięcioleciu swego panowania zdołał zapewnić większe krajowi bezpieczeństwo.

W stosunku do koczowników polityka Witolda polegała głównie na tém, iż przy rozpadnięciu się Złotéj hordy na kilka pomniej-

szych, z początku zależnych wszakże nominalnie od hordy macierzystéj, starał się on osadzać na tronie wielkochańskim własnych kandydatów, a dopiéro przez nich oddziaływać na chanów hord pomniejszych. Oczywiście najbardziéj go obchodziła horda perekopska czy krymska, tuż u jego granic. Władał tam bitny i groźny Edyga, z którym też Witold przebojował całą pierwszą połowę swego panowania na Litwie. Każde zaś powodzenie jego, jak każda klęska odbijały się i na Podolu. Po nieszczęśliwéj bitwie nad Worsklą 1399, zostało ono najbardziéj wystawionéin na napaści Edygi. Za to w. książe Litwy osadzać począł na swych ziemiach zastępy zbrojnego Tatarstwa z przyjaznych sobie ułusów; zasłaniając w ten sposób (jak na głębszém, stepowém Podolu), wzorem dawnych książąt ruskich, granice swe od nawały koczowników piersiami podobnéj-że dziczy sobie posłusznéj. Tymczasem trzeba było prawie lat dwudziestu, aby złagodzić smutne następstwa fatalnéj klęski nad Worsklą; w ciągu którego to czasu i Podole ulegało nieustannym najazdom tatarskim. Oprócz tego rozmieszczeni na kresach stepowych owi sojusznicy niby, Tatarzy, nie tak śpiesznie też odzwyczajali się od wrodzonych sobie zapędów łupiezkich. W r. 1410 w czasie gromadzenia się na wyprawę przeciw krzyżakom pod Grunwald — srodze spustoszyli oni Podole. Nie wiele również wzmocniło bezpieczeństwo kraju śmielsze po zadanym zakonowi ciosie wkroczenie Witolda w zamęt spraw ordyńskich. Podczas groźnego najazdu Edygi 1415 r., kiedy to Kijów został srodze spustoszonym, ucierpiało nie mało i Podole; nie mniéj cierpiéć ono musiało i w całym następnym ciągu wytężonéj z Tatarstwem wojny, któréj dotkliwe skutki znikły dopiéro chyba po ostatecznym pojednaniu się w. księcia Litwy z owym niezwalczonym chanem Perekopu 1419 r. Bez wątpienia odosobnione napady nomadów zdarzały się jeszcze i późniéj za życia Witolda, ale nie miały one już téj cechy systematyczności jakiéjś, co pierwéj. Bezpieczeństwo wzrastało wszakże, gdy Witold bez trudu już sadowił chanów na tronie hordy Złotéj, a całe ułusy plemion, zwyciężonych w krwawych zajściach domowych, szukały przytułku pod jego władzą. W takich warunkach o „dani“ mowy być nie mogło; poczęła ona iść w zapomnienie zupełne. Przy spokoju zaś i bezpieczeństwie zwiększoném, prawdopodobnie i tak różnoplemienna masa ludności Podola mogła wejść bardziéj stanowczo na drogę powolnéj asymilacyi, dającéj przewagę żywiołowi tubylczemu, bardziéj już skonsolidowanemu. Stosować się to może nie tylko do właściwego Podola, lecz i do przestworu stepów podolskich. Wogóle polityka Witolda względem Tatarów, na ile takowa dotyczyła skutkami swemi kresów podolskich, została uwieńczoną widocznie świet-

ném choć na nieszczęście krótkotrwałém powodzeniem. Dobroczynném następstwem tego było oczywiście i większe bezpieczeństwo całego północnego czarnomorskiego pobrzeża między Dniestrem a Dnieprem, dozwalając na ożywienie i handlowych stosunków.

Zręczną swą i wytrwałą polityką osłabiając koczowników w samych ich gniazdach, starał się Witold po oczyszczeniu gruntu dla swéj władzy na Podolu aż do brzegów morskich stworzyć tu i ustalić nadal mocne punkty opory. Wielce mu też chodziło o wysunięcie linii obronnéj ile można w step najdaléj. Tak wprędce po pojednaniu się z Edygą nakazuje on 1421 swemu staroście podolskiemu Gedygoldowi zbudować zamek (Majak?) u ujścia Dniestru, przeciw Białogrodu (Akkermann); w tym razie jednak, mając na względzie bardziéj może Wołochów i Turków niż Tatarów. Nie posiadamy wprawdzie wskazówek o budowaniu tu przez niego innych nadto zamków, lecz spotykamy tam u brzegu morskiego Kaczybej, czy Kaczybejowo horodyszcze (na miejscu dzisiejszéj Odessy) z portem, zkąd Jagiełło 1415 miał wyprawić zboże cesarzowi greckiemu, oblężonemu w stolicy swéj przez Turków; wyżéj zaś na Pobożu — Latyczew, Chmielnik, Daszów (?) i in. oprócz dawniéj znanych.

Wobec ciągłego niebezpieczeństwa ze strony Tatarów cały stosunek mieszkańców Podola do zwierzchniczéj władzy w. księstwa nosił charakter przeważnie wojenny. Litwa uważała Podole z jego stepami za swą linię obronną od południa, za obóz zbrojny, gotowy w każdéj chwili nie tylko do obrony własnych kresów, lecz do zasilenia zastępów wojowniczego pana swego i w innéj stronie—podług potrzeby. Nie łatwo przecie wyobrazić sobie należycie owoczesny ustrój naszéj krainy — bezpośrednich wskazówek brak; wypada poprzestawać na danych z daty późniejszéj dla robienia retrospektywnych wnioskowań.

Za stolicę Podola uważanym był Kamieniec, mocno obwarowany, posiadający już od Koryatowiczów prawo magdeburskie i prowadzący znaczny handel. Tu więc miał swe siedlisko w. książęcy namiestnik Podola, „starosta ziemi podolskiéj." Na zamkach pomniejszych siedzieli zależni od niego zawiadowcy, niżsi „dzierżawcy", władza których, przy ówczesnym ciągle zagrożonym stanie kraju, była przeważnie wojenną, a obowiązek zależał głównie na strzeżeniu zamków. Skutkiem tego dziarżawcy ci czy starostowie wchodzili w bezpośrednią styczność z ludnością przydzielonego do ich zamku obwodu. Dla zatrzymania zamków w należytym stanie na ludność tę były nałożone naturalne głównie powinności, których dopełniania pilnowali właśnie starostowie. Nadto w czasie wojny mieszkańcy przynależnego obwodu chronili się ze swém dobrem w zam-

ku; niemniéj szli na wyprawę lub w pogoń za nieprzyjacielem—również pod dowództwem starostów. Ze wszystkich zamków wszakże jeden tylko Kamieniec był należycie obronnym i zaopatrzonym; inne zaś były to zameczki drewniane, z takąż łatwością burzone jak i wznoszone. Nie mamy wprawdzie opisów zamków podolskich z czasów Witolda, ale znane nam ich rewizye z XVI i XVII w. (Źródła dziejowe t. VI i V) dozwalają poniekąd wnosić bez obawy pomyłki i o dawniejszym ich stanie. Zarys zaś zamku kamienieckiego z końca XV w. podaliśmy tu już (Ateneum r. 1880, t. III), w artykule „Podole.“ Mało obronne właściwie, były one jednak dostateczną osłoną podczas najazdu Tatarów, którzy zdobywaniem zamków bawić się nie lubili. Raz téż tylko za Witolda spotykamy wzmiankę o zdobyciu i spaleniu przez Tatarów zamku, mianowicie winnickiego. Wyprowadzając przecie wnioski z opisów późniejszych o stanie zamków i związanych z ich utrzymaniem powinnościach mieszkańców za Witolda, nie należy spuszczać tego z uwagi, że pod ręką tak surowego jak on władcy wszystko ściśléj było dopełnianém aniżeli potém przy ogólném rozluźnieniu stosunków i omdleniu sprężystości władzy za Jagiellonów.

Na właściwém Podolu siłę obronności kraju, opierającéj się głównie o zamki, wzmacniały poniekąd rozległe pieczary—licznie rozsiane po skalistém wybrzeżu średniego Dniestru i jego dopływów. Pochodzenie ich bardzo starożytne; stały się one od niedawna przedmiotem wielce żywego zajęcia archeologii. Że zaś służyły one dla mieszkańców osad okolicznych za miejsce schronienia w czasie napadów tatarskich, świadczą o tém tak legendy ludu, jak akta urzędowe. O jednéj z tych pieczar, znajdującéj się na urwistéj skale lewego brzegu rzeczki Smotrycza, między wsiami Czercze i Załucze, zachowała się bardzo szczegółowa wiadomość z połowy XVI wieku. Pieczara sama zwaną była przez mieszkańców wsi sąsiednich Horodyszczem. Wykuta w zupełnie pionowéj skale, była ona niedostępną zwykłą drogą i dostać się do niéj można było tylko po drabinie, opartéj o sam brzeg płynącéj pod wejściem do pieczary rzeczki. W razie najazdu tatarskiego ludność wsi okolicznych kryła się w téj pieczarze, wciągając za sobą drabinę i czekała spokojnie nim przeminie niebezpieczeństwo. Dla tak ważnego znaczenia téj miejscowości, jako schroniska w niebezpieczeństwach, okoliczni mieszkańcy uważali Horodyszcze za własność swą wspólną. Ztąd więc i w akcie z r. 1543, zawierającym rozgraniczenie dóbr sąsiednich, największą uwagę zwrócono na to, iżby nikt nie śmiał przywłaszczać sobie prawa majątkowego posiadania i wzbraniać innym użytkowania z tego wspólnego przytułku w czasie grozy. Bowiem „pieczara... zawżde

a na wieki ma być spólna tak ludziom załuckim jako i czernieckim, a nie ma jéj żadna strona za swoje liczyć, jedno spolna pieczara a spolne bieżyszcze dla pogaństwa a każdego nieprzyjaciela, czasu zapłochów ziemie, ma być wolna każdemu tak mużewi, jako i żoncy i namniejszemu dziecięciu tak Załucza . . jako i każdemu z Czerńcza biskupiemu człowieku, pod zakładem niży napisanym", t. j. trzech grzywien. „Jeśli że by abo sam ksiądz biskup, abo jego kapituła, abo jego urzędnicy na ten czas będący bronili by człowieku, abo samemu Załuckiemu, abo paniéj jego, abo służebnikowi i służebniczce bronił ztąpić do pieczary czasu zapłochu, a takież załucki pan ludziem księdza biskupiem broniłby, ma przepaść zaklad a wińe sto grzywien liczby a monete polskiéj." Drabiny niezbędne dla dostania się do pieczary obowiązane były włości sąsiednie utrzymywać wspólnie pod zagrożeniem z góry oznaczonéj kary. Oczywiście powstanie podobnego faktu należy odnieść do czasów daleko wcześniejszych. Tutaj więc śmiało zaznaczyć możemy, że rozrzucona śród skał nadbrzeżnych liczna ilość pieczar obszernych a ukrytych ułatwiała oddawna mieszkańcom Podniestrza możność przebywania nawałnic tatarskich bezpieczniéj niż w innych ziemiach ruskich.

Wracając do powinności mieszkańców względem władzy książąt, winniśmy tu dodać, że oprócz obowiązków ściśle zamkowych, znanych skądinąd w ich urozmaiceniu, ciężył na ludności cały poczet poborów, przeznaczonych na utrzymanie książęcych dzierżawców razem z ich podwładnymi. Pobory te dotykały w części samych mieszkańców pogłównie czy z dymu, częścią zaś rozmaite kategorye dochodu, przedmioty handlu, przemysłu, zakłady różne i t. p. szczegóły opodatkowania. Nadto na rzecz dzierżawców szły starym zwyczajem i różne pobory dodatkowe w naturze i pieniędzmi, nie mniéj pewna część sądowych opłat i kar. Wogóle przecie przyjąć można, iż wszystkie te powinności, pobory, opłaty wcale nie były jeszcze uciążliwemi dla mieszkańców: nie ważyli się podwyższać takowych starostowie.

Oprócz poborów i powinności, ustanowionych na potrzeby zamków i urzędu starościńskiego, pobieranym był od wszystkich wogóle mieszkańców do skarbu książęcego podatek wojenny, noszący w aktach wcześniejszych nazwę „srebra", „poddańszczyzny", „ordyńszczyzny." Najprawdopodobniéj za podstawę rozkładu tego podatku na mieszkańców służyła posiadłość ziemska, jako najwyraźniejszy przedmiot obciążania. Było to właściwie przeobrażenie „dani tatarskiéj", jaką Podolanie płacili przed ogarnięciem ich krainy przez książąt litewskich. Przy Koryatowiczach dań ta nie zupełnie jeszcze straciła pierwotny swój charakter i dopiéro przy Witoldzie zamie-

nioną została na zwykły podatek wojenny, odpowiadający pobieranemu po całej Litwie ówczesnéj. Stosownie do stopniowania stanów i klas w litewskim ustroju feudalnym, podatek ten jak i inne pobory nie dotykał wszystkich mieszkańców w równéj mierze: ziemianie obowiązani do stałéj powinności wojennéj, bojarowie posiadający na starych prawach kawałki ziemi, atamanowie, którzy nie stracili jeszcze zupełnie swego znaczenia, jakie mieli pod władzą Tatarów, ponosili owe ciężary niezawodnie w daleko mniejszym stopniu niż reszta ludności albo nawet całkowicie od nich byli wolni.

Nieposledniego znaczenia rubrykę dochodu książęcego stanowiło „hospodarskie myto", pobierane od różnych przedmiotów handlu, jak woły, wosk, skóry i t. p. Ztąd nazwy specyalne poborów: „powołowszczyzna", „woskowe" i t. p. Dla pobierania tego myta urządzał Witold i na Podolu, praktykowane wszędy w owych czasach, wewnętrzne komory celne, „mytnice." Dochód zaś z nich szedł całkowicie na rzecz skarbu książęcego; gdyż wtedy jeszcze ani miasta, mało różniące się od sielskich osad, nie otrzymały były przywilejów przymusowego składowego, ani też możnowładcy nie ważyli się zaprowadzać myt w swych dobrach. Ilości mytnic i wysokości poboru nie znamy.

Co zaś do owoczesnych dróg handlowych — droga wschodnia z krain tatarskich szła przez Bracław i Winnicę wprost na Łuck i Olesk; przyczém oczywiście dla kupców wschodniego Podola nie mógł być obowiązującym przywiléj na prawo składu m. Lwowa, jak nie był dla nich krępującym i w czasach późniejszych. Inne przecie były warunki handlu, zwracającego się przez Kamieniec w części na Wołoszczyznę i Węgry, częścią Dniestrem ku Czarnemu morzu, wreszcie lądem po tak zw. „szlaku kuczmańskim" w świat tatarski. Ruch handlowy Podola właściwego, zachodniego, ogarniętym już został sferą wpływu m. Lwowa i ciężył ku temu ognisku, za pośrednictwem też którego tylko stykał się on i z miastami handlowemi Polski oraz Niemiec. W drugiéj połowie XV w. Kamieniec uczuł jednak znaczne niedogodności z powodu przywileju Lwowa, kupcy więc podolscy połaci zachodniéj poczęli wymijać miasto to składowe i zwracać się podobnież jak ich towarzysze ze wschodniéj Podola dzielnicy na Łuck i Olesko. Powstał ztąd między Lwowem a Kamieńcem spór zacięty, ciągnący się przez długie lata. Chociaż nakoniec komisya królewska 1462 przyznała prawo Lwowu, widoczne jednak, że sam Witold za swych rządów już w celu fiskalnym chociażby, starał się zwracać drogą tranzytową z zachodu na Podole bardziéj przez swe litewskie posiadłości, t. j. Wołyń.

Nawiasem dodamy tu jeszcze, że tak ważny przedmiot handlu, jak sól dostarczanym był Podolowi z żup kołomyjskich i sprzedawanym bez cła, zdaje się przez kmieci.

Gdy się zwrócimy potém wszystkiém ku widowni stosunków klas społecznych na owoczesném Podolu, znajdziemy je nieco odmienniéj ukształtowane jak w innych ziemiach ruskich pod litewskiém panowaniem. Najprzód nie zastała tu Litwa starych a potężnych rodów książęcych. Jedyną wskazówkę o istnieniu jakiéjś latorośli książęcéj na Pobożu spotykamy w akcie Świdrygiełły z 1401 r., gdzie w liczbie świadków wymieniony kn. Wasyl Bożski. Koryatowicze przybywszy na Podole, znaleźli tu tylko, zdaje się szerokie gmin grupy pod atamanami z ich żełona. Rody bojarskie zaledwie wydzielały się z masy ludności wyraźniéj. Systemat feudalny litewski, jaki zawitał na Podole razem z pierwszemi tu litewskiemi książęty, musiał tedy uledz tu znacznym odmianom w porównaniu z porządkiem wprowadzonym w innych ziemiach ruskich. Przyczyniało się ku temu i ciągle niebezpieczeństwo zestrony Tatarów, którzy długi jeszcze czas nie przestawali uważać za swoję dziedzinę bogate „tmy“ podolskiego „ułusu“; w obec czego stawało się nieodzownem działanie jednomyślne całéj ludności, co chwyciła za broń dla obalenia jarzma. Lecz główna przyczyna kryła się w tém, iż na Podolu nie było poprostu o co oprzéć feudalnéj budowy: ani tu kniaziów ani bojarów służebnych.

Miało się tu do czynienia przedewszystkiém z masą, bardzo mało rozczłonkowaną w znaczeniu podziału klas i uorganizowaną, prastarym obyczajem, w rozległe gminy sielskie. Tatarzy rozgrupowali je we „tmy“ i poddali „atamanom.“ Na razie książęta litewscy wnieśli tu nowe idee raczéj jak nowe porządki; ostatnie powoli tylko dały się przeobrażać pod działaniem nieodzownêm nowych czynników. Z książętami bowiem najprzód zjawił się też ich „dwór“ tj. grupa służebnych ludzi wojennych. Byli oni im niezbędnymi dla zarządu militarnego krajem, dla obrony wznoszonych zamków i utrzymywanie na pogotowiu zbrojnéj siły, dla walki z wrogiem w każdéj potrzebie. Daléj—samo właśnie budowanie zamków wymagało znacznych zmian w dotychczasowym trybie stosunków: zamki wznosiła sama ludność a stawieni po nich książęcy starostowie występowali jako naczelni dowódcy obwodów, których mieszkańcy obowiązani byli na pierwsze ich powołanie iść na wroga „konno i orężnie“. Głównymi przecie pośrednikami pomiędzy nową władzą zwierzchniczą a ludnością krainy była niewątpliwie dawna ich starszyzna, gdy Koryatowicze, według latopisca, przedewszystkiém „woszli w pryjaźń s atamanami.“ W ostatecznym tedy wyniku upostaciowanie nowo-

wnoszonego porządku feudalnego na Podolu musiało przy podobnych warunkach odstąpić od ogólnéj znanéj skądinąd normy litewskiéj.

Wprawdzie klasa wojenna ludzi służebnych, co przyszli razem z litewskiemi książęty, starała się tu usadowić na zawsze: książęta nadawali przybyszom, na prawie feudalno-wojenném, większe lub mniejsze kawałki ziemi—pustéj czy zaludnionéj; ale nie było to wystarczającém. Nadania podobne nie były ani liczne, ani częste, zastęp zbrojny książąt nie znaczny, pustkowi mnóstwo; ciągłe zaś niebezpieczeństwo od Tatar zmusza nowych panów do liczenia się ze staremi prawami gmin i miejscowego bojarstwa. Długo tedy jeszcze czuć różnicę między tém ostatniém, dziedzicznie władającém swemi ojcowiznami a klasą ziemian, pomnażaną przez przybyszów i dzierżącą swe nadania lennie. Dopiero powoli tylko bojarstwo traci swe samoistne znaczenie i spada aż do stopnia późniejszych „pancernych“ i „putnych“, służebność ogólna staje się i jego udziałem.

Przeprowadzeniu nakoniec ścisłemu litewskiego ustroju feudalnego na Podolu przeszkodził wczesny tu przypływ żywiołu szlacheckiego z Polski, począwszy od Spytka. Żywioł ten zmuszonym był pierwotnie wejść w skład ogólny klasy służebnéj ziemian, ale aspiracye jego były inne. Osiadła na Podolu szlachta małopolska lub czerwonoruska, przywykła już do tychże, co tamta swobód, zżymała się na uciążliwości porządku litewskiego i z upragnieniem wyglądała przyłączenia do Korony. Przykładem téż swym pociągała w tymże kierunku i inne odłamy nieskonsolidowanych jeszcze ziemian podolskich. Lecz przy bacznym na wszystko i sprężystym Witoldzie prąd ten nie mógł groźnie wezbrać; tém bardziéj, iż popierał on i obdarowywał nadaniami w ziemi przybyszów rusko-litewskich przeważnie. W przeciągu zaś lat 20-stu od 1410 po 1430 rozdane były przez Witolda pod ogólnym obowiązkiem służby wojennéj dość liczne udziały ziemi tak pustéj jak i osiadłéj.

Stan ziemiański tedy zaledwie tylko poczynał się wytwarzać na Podolu. Wchodziły zaś w skład onego przeróżne żywioły: widzimy tu i resztki starożytnych rodów bojarskich i sługi książęce i przybyszów z obcych krajów; w skład onego weszła również, choć niechętnie, i zwabiana oddawna bogactwem gleby szlachta polska. Surowy porządek litewski, jakeśmy wspomnieli—nie mógł się jéj oczywiście podobać, jak był nie mniéj dla starego ruskiego bojarstwa wstrętnym. Ztąd téż Witold szukał podpory dla swéj władzy na Podolu w obdarowywanych przezeń nadaniami służebnych ziemianach. Popierana przez nich kolonizacya kraju poczęła odtąd przybierać

szersze rozmiary. Przy ubezpieczeniu się na czas dłuższy od Tatarów, pochód kolonizacyjny posuwał się razem z granicami Podola, sięgającemi ówcześnie nie tylko do morza, lecz i po za Boh daleko w głąb' stepów.

Stan roboczéj ludności wiejskiéj za Witolda mniéj dokładnie da się określić, niż stojąca tuż nad nią klasa ziemian. Względnie do tych ostatnich stanowiła ona główną wartość nadawanych im przez władzę zwierzchniczą kraju posiadłości. Osiadłą w nich ludność nazywają akta „ludźmi ziemiańskimi"; oddają ich książęta ziemianom „ze wszystkiém prawem", z „danią" a czasem nawet—„z winami, sądy i przesądy"—jak w nadaniu z 1392 ks. Teodora Koryatowicza. Wszakże nie wyzuwają się książęta ze wszystkich praw swoich na rzecz ziemian: „ludzie" ziemiańscy obowiązani są pełnić powinności zamkowe i składać „srebro" Tatarom. Ale pośrednikiem między nimi a księciem jest już ziemianin, za nich odpowiedzialny przed władzą. Jemu też, jako pełniącemu ciężką służbę wojenną, obowiązani byli poddani odpowiednie środki zapewnić. Stosunek wszakże poddanych do ziemian nie był oczywiście stale określonym, i zaledwie późniejsze lustracye pozwalają robić prawdopodobne wnioski o faktycznym w owe czasy stanie rzeczy (p. art. „Podole u schyłku w. XV-go" Ateneum 1880 r.). Nadto lustryacye zamków późniejszéj Bracławszczyzny (w. „Źródł. dziej." t. V) z w XVI-go dotyczą odmiennych nieco niż na Podolu właściwém stosunków. W ogóle jednak można przedmiot ten zamknąć wyżéj już wypowiedzianém zdaniem, że za Witolda lud włościański o tyle mniéj niż w późniejszych czasach ponosił ciężarów, o ile więcéj sami ziemianie byli takowemi względem zamku i księcia dotknięci.

Wobec tego wypada nam tu wydatnie zaznaczyć, że mimo nadań ziemianom oraz dawnych posiadłości pochylającego się ku nim bojarstwa, nie mała ilość ziemi zaludnionych ciężyła bezpośrednio ku zamkowi i zostawała pod przysądem starostów książęcych. Śmiało można nawet przypuścić, że znaczniejszą część przestworów i nadal stanowiły ziemie niezaludnione, mające być dopiero osadzonemi; większość zaś dawnych gmin wolnych, przy zaprowadzeniu feudalnego porządku litewskiego, stawała względem zamku w równie bezpośredni stosunek co i ziemianie. Gminy owe, jako zbiorowe jednostki, ponosiły jednostajne z ziemianami ciężary wojenne; podlegały sądownictwu namiestników książęcych, trzymając się tylko w sprawach ściśle miejscowych dawnych sądów „kopnych". Czy już wtedy poczęła się żywiéj uwydatniać różnica w stanie osad tych zamkowych, „hospodarskich" a ziemiańskich—wątpliwa: ziemianie dla przyciągnięcia osadników na nadawane sobie pustkowia, nie mogli

jeszcze być niepowściągliwymi w swych wymaganiach. Gminy wolne najwidoczniéj, starym obyczajem z czasów tatarskich pochodzącym, zawiadywane były przez atamanów, reprezentujących je w obliczu władzy książęcéj; którzy jednak powoli, zwłaszcza we włościach zapisywanych ziemianom, spadli do znaczenia sołtysów wiejskich, panom uległych.

Co do stanu miast podolskich za Witolda—tyle można powiedzieć, że za wyjątkiem stołecznego Kamieńca, posiadającego prawo magdeburskie jeszcze od Koryatowiczów, zbliżał się on mocno do stanu nierozdanych ziemianom siół hospodarskich czy zamkowych. Miasta te nie były jeszcze ogniskami choćby najmniéj rozwiniętego ruchu w zakresie przemysłu i handlu i tém się głównie od rozleglejszych wiejskich osad różniły, że się znajdowały tuż przy zamku i podlegały „stacyi" (kwaterunkowi), od czego byli wolnymi dalsi mieszkańcy. Właściwie stan miejski, mieszczański jeszcze był się nie wyłonił, gdy i późniéj nawet znaczną część ludności miejskiéj stanowili „ludzie ziemiańscy." Ztąd i powinności miast nie różnią się od odbywanych przez włości hospodarskie; nie mniéj pod względem sądowym ulegają one starostom.

Gdy nakoniec dotknąć zechcemy spraw wyznaniowych na Podolu za Witolda, winniśmy najpierw z góry uprzedzić, iż książe ten, mimo wszystko, odznaczał się wysoką tolerancyą religijną. Wszelkie wyznania używały przy nim zupełnéj swobody kultu. Obrządek wschodni starożytny, najprzemożniejszy w krainie podolskiéj, nie posiadał widocznie nigdy odrębności hierarchicznéj: Kamieniec zależał od władyków Halicza czy Lwowa: czy zaś był pociągniętym bardziéj bezpośrednio ku Kijowowi, po przywróceniu tam 1415 przez Witolda staréj metropolii—rzecz wątpliwa. Rozprzężenie wszakże hierarchiczne cerkwi ruskiéj nie mogło nie ułatwiać postępów propagandy rzymskiéj. Obrządek łaciński wszakże, mimo wszelkie przeciwne temu domniemania, szerzył się na Podolu bardzo powoli. Nieznacząca ilość wyznawców nie dozwalała tu długo na utworzenie osobnego biskupstwa: katolicy podolscy należeli najprawdopodobniéj do archidyecezyi halickiéj (lwowskiéj) bezpośrednio. Jedynymi zaś przedstawicielami hierarchii byli zakonnicy reguły św. Dominika i Franciszka, którzy uposażeni jeszcze przez Koryatowiczów i Świdrygiełłę, założyli klasztory w Smotryczu, Kamieńcu i Czerwonogrodzie. Wprawdzie mogli pewni zakonnicy otrzymywać od władzy papieskiéj umocowanie do urządzenia kościoła na Podolu, lecz ustanowienie istotne biskupstwa zaszło dopiero po r. 1404, w którym kraina ta zajętą była czasowo na rzecz Korony. Przypływ żywiołu polskiego, tak rycerstwa jak i osadników wszelkiego rodzaju, podnosił

zarazem i siłę obrządku rzymskiego. Z biskupów protegowanym Witolda był Paweł z Bojanczyc, który go przeżył. Lecz stan duchowieństwa katolickiego za tego księcia wcale nie był świetnym: nie wiemy nic ani o jego nadaniach na rzecz kościoła ani o pobieranych dziesięcinach. Wśród samego kleru zajścia gorszące, jak 1424 między wikarym zakonu Franciszkanów o. Markiem a jego podwładnymi na Podolu. Nie mogło to nie wpływać ujemnie i na powagę stanowiska duchowieństwa katolickiego w oczach wyznawców innego obrządku, a w następstwie i na podniesienie środków jego materyalnych. Ztąd nawet w Kamieńcu jeszcze 1450 r., za świadectwem samego biskupa, kanonicy kościoła św. apostołów Piotra i Pawła, byli w takiem ubóstwie, iż musieli żyć o żebranym chlebie.

Wszakże stronnictwo zachodnie, koronne, polskie, mimo wszelkie zabiegi przeciwne Witolda, wzmogło się pod jego władzą do tego stopnia, iż czekało niecierpliwie tylko jego śmierci, by wziąć się otwarcie do dzieła, ostatecznym wynikiem którego miało być zupełne poddanie właściwego Podola Koronie. Nie chodziło tu o to osiadłéj szlachcie polskiéj jedynie lub w ogóle żywiołowi polskiemu tylko; ponętny przykład swobód klas uprzywilejowanych w pobratymczéj a o miedzę leżącéj Rusi Czerwonéj pociągał w tamtą stronę i podolskie stare bojarstwo możniejsze i bez wątpienia nowych, osadzonych na twardém prawie litewskiém, ziemian służebnych nawet. Było tedy o co się oprzéć i na miejscu głównym przodownikom śmiałego zamysłu, jakich wydała ze swego łona przedewszystkiém pełna zapędu, młodzieńcza historycznie szlachta czerwonoruska. Plan podchwycenia stołecznego Kamieńca w razie śmierci Witolda widocznie dawno był ułożonym. Gdy tedy śmierć istotnie zabrała 1430 tego bohatera północy a po pogrzebie zwłok jego w Wilnie Jagiełło rozprawiał się ciężko z panami radami litewskimi i bratem swym Świdrygiełłem o dalsze losy w. księstwa i prawny stosunek onego do Korony, sprzysiężeni na pierwszą wieść o tém rzucili się raźnie do wykonania wcześnie obmyślanego planu. Bracia Buczaccy, Hryćko Kierdejewicz i inna szlachta ruska, porozumiawszy się z biskupem Pawłem z Bojanczyc i przychylnymi mieszczanami, opanowali podstępem względem Litwinów zamek kamieniecki i osadzili go mocną załogą polską, na czele któréj stanął Michał Buczacki. Wnet po Kamieńcu zdobyto na rzecz polską trzy inne zamki zachodniego Podola: Smotrycz, Skałę i Czerwonogród. Świdrygiełło wszakże, nowoobrany w. książe lit. nie myślał ustępować Koronie ani jednéj piędzi ziemi jaką władał wrogi mu Kiejstutowicz i nastawał ostro na króla. Ten nawet pozornie zgodził się już był, przyciśnięty w Wilnie, na zwrócenie Litwie zamków, ale ostrzeżony wczas Buczacki Kamień-

ca umocowanym posłom nie wydał. Spór z tego powodu między Polską i Litwą jeszcze bardziéj się zaognił. Świdrygiełło obawiając się dalszych zamysłów szlachty, zjawił się sam na Podolu i przez to wschodnią przynajmniéj onego dzielnicę (późniejszą Bracławszczyznę) przy w. księstwie utrzymał. Oblężenie przecie Smotrycza wcale mu się nie powiodło. Działaniom tym z zewnątrz towarzyszyła wojna domowa stronnictw wśród tak różnorodnéj klasy ziemian podolskich. Po wielkiéjnocy zaś 1431 r. została wypowiedzianą przez Koronę wojna formalna Świdrygielle. Zbrojne zastępy polskie wkroczyły na Wołyń, kusząc się o zdobycie tamecznych zamków; jeden zaś z oddziałów zwrócił się aż ku Bracławiowi, pustosząc wszędy kraj po drodze, lecz spotkał odpór w saméj ludności. Obok tego domowa wojna stronnictw na Podolu zawrzała tém żywiéj. Zburzonym został wtedy jeden ze starożytniejszych tam, odnowiony zamek w Bakocie. Co przytém charakterystyczne: mieszkańcy zamkowego obwodu tego miasta podzielili się na dwa stronnictwa a włościanie osad szlacheckich i ziemiańskich tegoż obwodu podnieśli głowę i nie chcieli uznawać nad sobą władzy swych panów, mając się za wolnych od wszelkich ku nim zobowiązań. Walka była uporczywą i pod koniec 1431 Polacy oprócz 4-ch zamków zachodnich ledwie zdołali opanować dwa mniejszéj wagi stanowiska, mian. Holczedajew i Ołtuszków—osady ku Kamieńcowi ciążące. Dalsze Podole stało mocno przy Litwie. W obwodzie kamienieckim wypadło nadto bronić się od najazdu sojusznika Świdrygiełłowego, hospodara sąsiedniéj Wołoszy mołdawskiéj, Aleksandra, którego jednak bracia Buczaccy należycie ukarali, zadając mu przy powrocie z łupami dotkliwą klęskę. W ogóle przecie wojna owa cała między Polską a Litwą wyczerpywała zarówno obiedwie strony, na korzyść odwiecznego ich wroga—krzyżactwa jedynie. Pomyślano tedy o zawieszeniu broni, które téż istotnie pod koniec 1431 r. na zasadzie *status quo ante bellum* na rok jeden zawarto. Na Podolu zamki zachodnie zostały przy Koronie; co zaś do obwodu bakockiego—zamku zburzonego zgodzono się obustronnie nie wznawiać, ziemianie mieli i nadal podlegać téj ze stron, jakiéj się podczas wojny trzymali, a „kmiecie“ do wyjścia zawieszenia broni za wolnych uznani. Ani jedna wszakże ani druga strona nie myślały naseryo o zawarciu pokoju na podstawie *status quo*, szła tu gra właściwie o supremacyą Polski i niezawisłość Litwy; gotowano się tedy wzajem do walki na całéj linii, szukano sprzymierzeńców. Namiestnik Świdrygiełły na Podolu, kniaź Fedor Nieświcki wiąże się z Tatarami i Wołoszą.

Pożądana skuteczność zbliżającéj się zawziętéj wojny przedstawiała się dla Polski bardzo niepewną; Świdrygiełło nadto okazał się

przeciwnikiem nie do ukorzenia. Lecz dyplomacya dworu krakowskiego trzymała w swych ręku środek o ile surowy o tyle niezawodny, a takim było wysunięcie przeciw zapamiętałemu Olgierdowiczowi niespodzianego współzawodnika do w. książecego tronu. Że Świdrygiełło opierał się przeważnie na stronnictwie ruskiém w. księstwa, wyzwano przeciwko niemu stronnictwo szczero-litewskie, katolickie stawiąc na czele onego Kiejstutowicza, brata Witolda, księcia dotąd starodubowskiego, Zygmunta. Walka domowa na Litwie zawrzała; Świdrygiełło zmuszonym został z tronu w. książęcego ustąpić. Nowy w. książe Zygmunt, uznając się aktem 1432 lennikiem Korony, zrzeka się zarazem na jéj rzecz Podola, jako głównego jabłka niezgody i przyrzeka za siebie i swych następców nie niepokoić o nie Polski, co następnie jeszcze dwa razy r. 1433 i 1434 uroczyście potwierdza. Ale mimo tego urzędowego upewnienia się, faktycznie wypadało resztę Podola z bronią w ręku zdobyć: na średniém Pobożu trzymał się dzielnie, w imieniu Świdrygiełły, starosta jego kn. Fedko Nieświcki. Znaczne wojsko polskie, wysłane 1432 r. przeciw niemu, zastało zamek bracławski spalonym, a dokoła szarpiące je oddziały partyzanckie.

Stanowczéj potyczki kn. Fedko unikał. Nie znajdując nigdzie na Pobożu oparcia, Polacy za zbliżeniem się zimy zmuszeni byli myśléć o odwrocie. Nieprzyjaciel tymczasem wciąż ich niepokoił zawzięcie. U przeprawy przez Murachwę w pobliżu Kopysterzyna kn. Nieświcki urządził na nich zasadzkę i naraził na straty dotkliwe, mimo pozorów zwycięstwa. Wspierają go wszędy Tatarzy i Wołosi. Lecz powodzenie to Świdrygiełłowego starosty na Podolu nie wywarło żadnego wpływu na podniesienie jego sprawy, a zarazem sprawy stronnictwa ruskiego na Litwie. W tydzień po mordeczéj rozprawie kopysterzyńskiéj został on na głowę pobitym przez swego przeciwnika Zygmunta Kiejstutowicza. Podolski jego namiestnik kn. Fedko znów znalazł się odosobnionym. Tém żywiéj za to znosił się on z jednéj strony z przyjaciołmi Świdrygiełły na Wołyniu kn. Aleksandrem Nosem i Iwaszkiem Rohatyńskim, z drugiéj zaś— z Tatarami oraz wojewodą mołdawskim — i mocno się trzymał. Wprawdzie obiecywana na r. 1433 znaczniejsza pomoc kipczacka zawiodła, a następca hospodara Aleksandra, Stefan, zawarł z Jagiełłą przymierze, jednak wojna dorywcza była ciągle podsycaną. W jednéj z podjazdowych wycieczek, kn. Fedko z oddziałem tatarskim zapuszcza się aż pod mury Kamieńca i pustoszy srodze okolicę. Ówczesny starosta kamieniecki Teodoryk Buczacki, korzystając z rozproszenia napastników, wypada z zamku i ściga pozornie uchodzących, nagle otoczony, dostaje się z całym swym orszakiem do nie-

woli. Nie poprzestawał na tém kn. Nieświcki, lecz dla wsparcia swego stronnictwa zapędza się aż w głąb Wołynia. Wszystko to przecie okazało się bezskuteczném dla sprawy Świdrygiełły wobec fatalnego dlań zwrotu wypadków na szerszej widowni politycznéj. Wspierający go całemi siłami zakon, znużony bezowocną wojną, zmuszonym był zawrzéć pod koniec 1433 r. 12-letni z królem Jagiełłą pokój. Świdrygiełło pozostawiony własnym siłom, tracił coraz bardziéj grunt pod sobą na Litwie: pustoszone przezeń krainy szczero-litewskie przez lat parę rozgorzały nienawiścią ku jego poplecznikom z pośród Rusi; nadomiar tego w samém jego ruskiém stronnictwie powstały nieporozumienia i rozstrój coraz większy. Oczywiście nie omieszkiwa z tego korzystać Zygmunt Kiejstutowicz. Na Podolu walka trwa; wiosną 1434 r. odpiera jeszcze pomyślnie kn. Nieświcki oddział polski wkraczający na wschodnie Podole, ale jego energia nie wystarcza.

Tymczasem w maju 1434 umiera król Jagiełło. Stronnictwo Świdrygiełły nabiera otuchy, kn. Fedko z Tatarami tém natarczywiéj poczyna pustoszyć zostające w ręku polskich zachodnie Podole, zmuszając Polaków do wysłania przeciw niemu znacznego wojska. Naraz niespokojny, gwałtowny jego suzeren i mocodawca, dla którego, czy tylko w imieniu którego, on tak zawzięcie ze stronnictwem koronném bojował, jednym krokiem nierozważnym usuwa sobie sam główną swą podstawę Podola. Już w r. 1433 chodziły wieści, umyślnie może przez przeciwników puszczane, jakoby kniaź Fedko Nieświcki i kn. Aleksander Nos przeszli byli na stronę polską. Wieści te wszakże okazały się nieuzasadnionemi. Ale za to z drugiéj strony kn. Fedko naprawdę stawał się jakby udzielnym księciem a nie starostą bracławskiego Podola. Istniały tedy powody do podejrzeń. Popędliwy Świdrygiełło kazał go uwięzić i odebrał mu poddane jego władzy zamki, niepomny, iż traci przez to jedynego dzielnego ich obrońcę. Co gorzéj dlań, nie omieszkali skorzystać z tego w swój sposób Polacy. Najwięksi dotąd przeciwnicy uwięzionego Wincenty z Szamotuł i Mich. Buczacki podali mu dłoń. Uwolniony przy ich pomocy kn. Nieświcki przechodzi stanowczo na stronę polską i już we wrześniu tegoż 1434 składa przysięgę na wierność królowi i Koronie polskiéj. Zapewnia on sobie przytém osobnym aktem dożywotne posiadanie zamków Bracławia i Krzemieńca, które po jego śmierci miały być zajęte na rzecz Korony. Po przejściu na stronę Polski, nowy ten jéj hołdownik wziął się widocznie żwawo w jéj imieniu do dzieła; z aktu 1435 bowiem widzimy, iż oprócz zamków powyższych znajdują się już w jego posiadaniu: Winnica, Sokólec, Chmielnik i Zbaraż. Skutkiem czego składa on teraz hołd z całéj téj części Podola i obiecuje osadzać na podwładnych mu zamkach

takich tylko starostów, którzy przysięgną na wierność Koronie oraz zobowiążą się wydać zamki po śmierci jego królowi. Faktycznie jednak nie zdołał zdaje się kn. Fedko posiąść całéj późniejszéj Bracławszczyzny. Najprzód sam Bracław, zdobyty istotnie może przez hospodara wołoskiego Stefana i oddany Polakom, zostaje przez pewien czas w dzierżeniu Dersława Włostowskiego i tylko przemocą potém odebrany mu przez Litwinów. A oprócz tego i Świdrygiełło, wyrugowany ostatecznie z Litwy, po fatalnéj dlań klęsce, jakiéj doznał 1435 od swego współzawodnika Zygmunta pod Wilkomierzem, władał jeszcze widać jakąś częścią Podola, gdy i nadania tam sługom swym robił i trzymał swych starostów, jak Moniwid, piszący się jeszcze 1438 starostą „podolskim i krzemienieckim.“ Kn. Fedko Nieświcki, przez niektórych utożsamiany z innym stronnikiem Świdrygiełły Fedorem Korybutowiczem, zdołał przekazać swemu potomstwu jedynie Zbaraż z obwodem, który to stał się gniazdem, pochodzącego od tego podolskiego bojownika, głośnego w następstwie rodu książąt Zbaraskich, Wiśniowieckich, Woronieckich i Poryckich. Wracając do samego faktu ugody Korony z kn. Fedkiem, nie rozstrzygał on rzeczy: spór o posiadanie całego Podola wrzał między Litwą a Polską jeszcze stulecie z górą, aż do unii lubelskiéj; ale w każdym razie w procesie posuwania się wpływu polskiego ku wschodowi był to już znaczny krok naprzód, nowy punkt oparcia nadał prrzynajmniéj. Polityka zaś polska — tak Korony saméj jak i przewodniczącéj wówczas warstwy społeczeństwa — zmierzała pod tym względem bardzo umiejętnie i wytrwale ku swemu celowi. Ułatwiały jéj oddziaływanie na Podolu żywe wzory tego, co zdobywały sobie pod jéj kierunkiem klasy wyższe sąsiedniéj z niém Rusi Czerwonéj. Pierwszém téż zadaniem Korony było przyciągnięcie i tutaj na swą stronę ziemian i bojarów oraz zamożnego mieszczaństwa kamienieckiego. Kamieniec téż wnet po zajęciu go na rzecz Polski, po śmierci Witolda, otrzymał 1432 potwierdzenie królewskie swego prawa magdeburskiego. Co do ziemian, ci obciążeni surowym litewskim porządkiem feudalnym, z tęsknotą spozierali ku braci czerwono-ruskiéj, coraz bardziéj stanowczo zrównywanéj w prawach swych i swobodach ze szlachtą polską, śmiało kroczącą w zdobywaniu na władzy królewskiéj ustępstw za ustępstwami. Oto na pół roku przed śmiercią Witolda 1430 przypuszczone i ówczesne ziemie ruskie do dobrodziejstw, tyle ważnego dla szlachty wogóle, przywileju zdobytego na Jagielle w Jedlnie. Łatwo tedy zrozumiéć, jaki mogła wywrzéć wpływ sama obietnica podobnegoż przypuszczenia do równości praw, dana podolanom niby przez tegoż króla. Nie mniéj téż pojąć nie trudno, na ile to oddziaływać musiało na wzmoc-

nienie się przypływu ku Podolowi szlacheckiego żywiołu polskiego, upewnionego teraz w cieszeniu się i tam swobodami posiadanemi w ojczyźnie. Polityka Korony, ze swego też stanowiska, dla tém skorszego umocowania swéj władzy w nowo ogarniętéj krainie, ruch ten oczywiście najusilniéj popierała. Ztąd istotnie w owym tak krótkim przeciągu czasu, pomiędzy 1430 a 1434, bardzo znaczna ilość ziem na zachodniém Podolu przybyszom z Polski rozdaną została; nadto z wyraźném najczęściéj zastrzeżeniem, by obdarowany przemieszkiwał na nowosiedlu: *„quod in terris Podoliae residentiam faciat personalem ipsarumque defensioni toto posse intendat.“* Tak przygotowane Podole właściwe, kamienieckie, zostało 1434 r. ostatecznie wcieloném do Korony i zamienionem na województwo; pierwszym onego wojewodą był Piotr ze Sprowy h. Odrowąż.

*Aleksander Jabłonowski.*





# ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
## I WRAŻENIA LITERACKIE.

---

Pamiętnik fizyograficzny. T. VI. Warszawa, 1886.

Obszerny rocznik, pod powyższym tytułem wydawany przez toż samo grono przyrodników, które prowadzi „Wszechświat,“ jest jak wiadomo, zbiorem rozpraw i materyałów, odnoszących się do badań nad przyrodą kraju. Tom, który mamy pod ręką, nie różni się układem od poprzednich i rozpada się na cztery działy,—meteorologią i hydrografią, geologią z chemią, botanikę i zoologią, i wreszcie antropologią.

W dziale pierwszym mamy zestawienie obserwacyi meteorologicznych za rok 1885 z dwu tylko miejscowości królestwa polskiego: z Płońska, gdzie dostrzeżenia od r. 1875, prowadzone są przez dr. Jędrzejewicza. i z Lublina, gdzie rozpoczęte zostały, dopiero od roku 1883. Rezultaty obserwacyi lubelskich przedstawione są nadto graficznie w dwu liniach krzywych, dających całoroczny bieg termometru i barometru. Z dwuletnich tych dostrzeżeń temperatura średnia roczna okazuje się 7°,9C, różnica między temperaturą średnią miesiąca najcieplejszego i najzimniejszego wynosiła w 1884 r. 20°C, w 1885 r. 21°,6C.

Dział meteorologiczny „Pamiętnika“ w tomie VII zyska znaczne rozszerzenie, znajdą się tam bowiem obserwacye tych stacyi, które pod kierunkiem stacyi centralnéj przy Muzeum rolnictwa i przemysłu działają od początku 1886 r. i w liczbie około trzydziestu rozrzucone są po różnych stronach kraju. Ostatnia ta data stanowi początek systematycznych badań nad meteorologią królestwa polskiego.

W dalszym ciągu tegoż działu znajdujemy wykaz spostrzeżeń fenologicznych, nadesłanych do redakcyi „Wszechświata“ w ciągu roku 1885. Są to obserwacye nad zjawiskami w świecie roślinnym i zwierzęcym, prowadzone w skutek odezwy i na podstawie instrukcyi, przez redakcyą ogłoszonéj. Na wezwanie to odpowiedziało wprawdzie dwanaście tylko osób, szczęśliwym jednak zbiegiem okoliczności są to spostrzeżenia z bardzo odległych między sobą punktów i rozrzuconych na rozległéj przestrzeni od 45° do 55° szerokości płn., i od 39° do 52° długości wschodniéj. W szczególności znajdujemy tu czas kwitnięcia wielu roślin w różnych tych miejscowościach, czas przelotu wielu ptaków wędrownych, spostrzeżenia tyczące się snu zimowego niektórych zwierząt ssących, a wreszcie chwile pierwszego na wiosnę i ostatniego przed zimą ukazania się wielu owadów. Obserwacye tego rodzaju z różnych względów bardzo są pożądane. Szczególniéj ciekawe są oddzielnie zestawione „średnie wypadki spostrzeżeń fitofenologicznych, poczynionych w ogrodzie botanicznym w Warszawie od r. 1865—1885“ przez Hipolita Cybulskiego. Znajdujemy tu dla 96 roślin czas średniego czyli normalnego kwitnięcia i odpowiadającą mu temperaturę średnią, oraz czas najwcześniejszego i najpóźniejszego kwitnięcia każdéj z tych roślin w ciągu; odstępstwa czasu kwitnięcia od normalnego czyli średniego zestawione są w oddzielnéj tablicy.

Prace powyższe mają znaczenie jedynie jako materyał naukowy; oprócz nich wszakże w dziale pierwszym „Pamiętnika“ znajdujemy dwie rozprawy, mogące zainteresować pewne koło czytelników. Pierwsza tyczy się oznaczenia „współrzędnych obserwatoryum w Płońsku.“ Dr. Jędrzejewicz opisuje dokładnie metody, jakich użył dla ścisłego wyznaczenia długości i szerokości geograficznéj swéj dostrzegalni, a według tych badań punkt ten położony jest pod 52° 37' 40" szerokości północnéj i o 2 m. 35,35 s. na zachód Warszawy. Druga zaś z rozpraw, o których mowa, ma na celu „poszukiwanie zmiany pogody w Warszawie na zasadzie rachunku prawdopodobieństwa“ przez Apol. Pietkiewicza. Stosując metody rachunkowe do obserwacyi dokonanych w Warszawie w ciągu lat dziewięciu 1876—1884, autor znajduje, że pogoda u nas ma dążność do utrwalania się w raz przyjętym kierunku, czyli że stan pogody mniéj jest zmiennym niżby to miało miejsce, gdyby oddany był na los jedynie przypadku. Ma to miejsce przynajmniéj co do pogody,—im dłużéj ona trwa, tém mniejsze jest w ogólności prawdopodobieństwo zmiany; co do deszczu natomiast, prawdopodobieństwo zmiany maleje tylko przez 6—7 dni, następnie zmiana staje się coraz prawdopodobniejszą.

W dziale drugim „Pamiętnika“ najważniejsze są „sprawozdania z poszukiwań geologicznych“ dokonanych przez księcia Antoniego Giedroycia w gub. grodzieńskiéj i w przyległych jéj powiatach królestwa polskiego i Litwy, w r. 1878, oraz w Augustowskiém i na Żmudzi w r. 1883,—badania te przeprowadzone były z polecenia komitetu geologicznego w Petersburgu. Obszar zbadany przez autora jest w całéj rozciągłości pokryty pokładami czwartorzędowemi, które rzadko tylko pozwalają dostrzegać warstwy głębsze, utworzone z kredy; skamieniałości w nieznacznéj tylko znajdują się tam ilości. Między innemi rozpatrzył téż autor i piaski bursztynowe okolic Ostrołęki, a z poszukiwań swych wnosi, że piaski te są najnowszéj formacyi aluwialnéj i leżą powyżéj czerwonych glin dyluwialnych. Doliną, którą piaski te wypełniły, płyną dziś rzeczki: Orzyc, Omulew, Rosoga, Szkwa; spływając z sąsiednich wzgórz dyluwialnych, wypłukiwały z nich bursztyn wraz z piaskiem i iłem, przyczém cięższe kawałki bursztynu wraz z piaskiem osiadły najbliżéj, glinę zaś woda daléj unosiła. Przemysł wreszcie bursztynowy okolic Ostrołęki jest dosyć nieznaczny; gdy bowiem w Prusiech w r. 1876 sprzedano na targu gdańskim bursztynu za 784000 marek, w okolicach Ostrołęki produkcya jego roczna nie przenosi 2000 rs. Wyjątek stanowi jedynie rok 1863,—z powodu zupełnego braku dozoru w lasach rządowych, pokrywających większą część przestrzeni zajętéj przez piaski bursztynowe, włościanie osady Gliny rozkopali wszystkie znane sobie pokłady bursztynu w obrębie tych lasów i wydobyli go w ciągu tego roku za 20.000 rs.

Następna rozprawa zawiera ciekawy „Opis tak zwanego anamezytu wołyńskiego“ przez Stanisława Pfaffiusa. Osobliwa ta skała, mająca wejrzenie bazaltu, znajduje się w pobliżu miasta Równego, nad brzegami Horynia i Kropiwnicy; wołyńskie bazalty nie występują wszakże na powierzchnię gruntu, ale wszędzie pokryte są grubą warstwą pokładów kredowych i piasku, a sztuczne obnażenia istnieją tylko w kamieniołomach koło wiosek Berestowca i Zlaźni. W kamieniołomach tych obnażone skały anamezytu, jak to widzimy z załączonych rysunków, mają postać wielokątnych, pionowych słupów okazując zupełnie wejrzenie i zewnętrzne cechy bazaltów; są barwy ciemno-bronzowéj, która w wyższych częściach słupów przechodzi w szarawą i szaro-zielonkawą. Z badań wszakże autora wynika, że skały téj nie można uważać za odmianę bazaltu, jest ona bowiem pochodzenia znacznie dawniejszego; dla tego téż nazwa anamezytu, która oznacza właśnie odmianę bazaltu, jest dla niéj niewłaściwą, a zarówno skład jéj mineralogiczny jak i wiek geologiczny nakazuje ją umieścić w szeregu porfirytów augitowych. Oprócz ry-

sunków ogólnéj postaci tych głazów, znajdujemy téż szlif téj skały, widziany pod mikroskopem, oraz mapkę tych okolic, z pewnemi uzupełnieniami przerysowaną z karty Ossowskiego.

W „przyczynku do fauny kopalnéj warstw kredowych w gubernii Lubelskiéj“ podaje dr. Józef Siemiradzki opis 49 gatunków zwierząt skamieniałych—gąbek, szkarłupni, a głównie różnych mięczaków; tekst objaśniają dwie piękne tablice litograficzne. Wreszcie „rozbiory chemiczne czterech rud cynkowych“ dokonane przez Stanisława Pfaffiusa i Zygmunta Toeplitza, oraz „rozbiór rud miedzianych gór kieleckich“ przez Maksymiliana Flauma, uzupełniają dział geologiczny.

W dziale trzecim—botanika i zoologia—nie znajdujemy w tym tomie wyjątkowo żadnéj rozprawy zoologicznéj, botanika natomiast zajmuje przeważną część tomu. (O dziale tym będzie niżéj sprawozdanie szczegółowe).

Dział IV—antropologia obejmuje głównie materyał archeologiczny. Znajdujemy tu najpierw opis badań przeprowadzonych w „Jaskini Wierzchowskiéj górnéj“ przez G. Ossowskiego. Rozległa ta jaskinia, któréj plan przedstawiony jest na załączonéj tablicy, zawiera obfite ślady pobytu w niéj człowieka przedhistorycznego oraz kości zwierząt zaginionych. Znaczna wszakże część pokrywającego ją namuliska rydlem badacza tkniętą dotąd nie została i zachęca do dalszych poszukiwań.

„Pamiątki z czasów przedhistorycznych na Żmudzi“, opisane przez Tadeusza Dowgirda, znalezione zostały przez autora w zbadaném przez niego cmentarzysku Mełżyn-Kapas w pobliżu folwarku Jasnogórka. Są to różne wyroby bronzowe i żelazne—łańcuszki, pierścienie, noże, groty,—odrysowane na dwu tablicach; mamy tu téż plan sytuacyjny cmentarzyska i przecięcie grobu, gdzie przedmioty te znalezione zostały.

Następna rozprawa zawiera opis „*Siekierek bronzowych znalezionych we wsi Czubinie*“ w powiecie Błońskim 1886 r. przez niedawno zmarłego archeologa Jana Zawiszę; opis objaśniony jest rysunkiem trzech tych siekierek, oraz czwartéj, znalezionéj w Raszewie pod Kutnem.

„*Groty o inkrustowanych napisach i ich znaczenie w sprawie znaków runicznych*“ przez Al. Szumowskiego,—jest to historya inkrustowanego srebrem grotu włóczni, znalezionego przed dwudziestu laty na Wołyniu i będącego własnością autora. Ciekawy ten zabytek, kilkakrotnie już zresztą opisany, był rozpatrywany przez wielu archeologów i runiczny na nim napis rozmaicie tłómaczony. Autor

znajduje tu punkt wyjścia do wysuwania domysłów o pierwotnéj siedzibie szczepu indo-europejskiego. *St. Kr.*

Daleko szersze koło czytelników żywo zainteresować może rozprawa „Imiona własne polskich miejsc i ludzi od zatrudnień" Jana Karłowicza.

Pracowity nasz lingwista zebrał tu „stokilkadziesiąt osnów," oznaczających rzemiosła i wogóle zatrudnienia, „od których poszły mniéj lub więcéj liczne nazwy własne ludzi i miejscowości." Przy osnowach naszych polskich, litewskich, ukraińskich, białoruskich, autor przytacza częstokroć i odpowiednie czeskie. Pozwolimy sobie podać tu uzupełnienia i uwagi, jakie się nam nasunęły przy czytaniu téj pięknéj pracy.

P. Karłowicz wątpi, aby *bartodziéj* pochodził od barci i mniema, że raczéj pochodzi od barta=siekiera. Skoro jednak mówi się „dziać barci" w znaczeniu: dłubać czyli robić barci, nie sądzimy, żeby przypuszczenie powyższe było słuszne. Wsi téj nazwy w Królestwie jest pięć, a wszystkie znajdują się w okolicach dzisiaj lub niegdyś leśnych, co na pszczelnictwo wskazuje; gdyby bartodzieje byli wyrabiaczami siekier, prawdopodobnie wsi téj nazwy znajdowałyby się w okolicach obfitujących w żelazo.—*Kłodnik* nie było nazwiskiem człowieka, lecz nazwą pewnéj kategoryi społecznéj, zdaje się, więźni: cf. rosyjskie „kołodnik".—Z czeskiém Kladruby, galicyjskiém Kołodruby, zestawić należy polskie Kołdrąb, Kodrąb.—Ponieważ po czesku „korabnik" oznacza łupiącego korę, autor więc przypuszcza, że i nasze nazwy, od téj osnowy pochodzące, „raczéj do kory niż do korabia się odnoszą"; jedyna w Królestwie wieś Korabniki, leży nad samą Wisłą (poniżéj Włocławka), sądzimy więc, że ludność tutejsza wyrabiała istotnie statki wodne, „korabie"; wyraz ten nie był nam obcym, czego dowodem herb téj nazwy i wyobrażenie na jego tarczy, wszakże i arkę Noego nazywano korabiem; gdyby korabnik oznaczał łupiącego korę, to nazw miejscowych tego rodzaju w krainie bogatéj niegdyś w lasy, byłoby może więcéj. Łatwo jednak przyjąć, że korab pochodzi od kory i że był z niéj wyrabiany.—Przy wyrazach „łupiskura" „Kravlupy", (obok których postawilibyśmy mazowieckie Karwosieki, tj. krowosieki), zapytuje p. Karłowicz „skąd pochodzi nazwa dwu wsi polskich Charłupia?" Mniemamy, że ona pochodzi od imienia ich założyciela, a raczéj osadczego, Hartlieb, a na poparcie tego mniemania mamy nazwę sąsiedniego pustkowia „Harlubna" („Tabella miast, wsi" etc.); w księdze ziems. Sieradzkiéj w XIV wieku pisano te wsi „*Chartlupa*". Że w ustach polskich brzmienie niemieckie uległo zmianie—to dziwić nie powinno, a przykładów tego, udowodnionych dokumentami, nie brak: Wolbrom zowie się od

swego założyciela Wolframa (Staroż. Pols. II. 84), a galicyjski Grybów, w chwili założenia swego w r. 1340 otrzymał miano „Grynberk“ (Cod. dipl. Pol. III, 207). Kujawski Lubraniec, dawniéj Ludbrancz, był bezwątpienia założony przez jakiegoś Luitbranda.—Wsi Makomazów nie zestawialibyśmy z „Mącznikiem“, ale chyba z Makowiejem i z Łomazami.—Nie wiemy, czy każdy Mielnik ma związek z mieleniem mąki; przynajmniéj co do miasta téj nazwy nad Bugiem, dopuścićby można, że pochodzi od wyrazu miel=kréda, podobnie jak nazwa wsi Miały lub Miely pod Grodnem: w Mielniku kopią krédę, w Miałach jest ona widoczną na powierzchni ziemi (ob. art. Giedroycia str. 13 i 14 w tomie VI Pamięt. fizyogr.). Natomiast z młynem jest pono w związku wieś Minoga, dawniéj Mlinoga.—Co do przytoczonego pod wyrazem „Mnich“ nazwiska Miszewicz, mniemać by można, że pochodzi od imienia Misza, zdrobniałego od Michał.—Staropolskie Mycino, końcówką swą wskazuje, że jest przymiotnikiem uformowanym od imienia osobowego, kończącego się na *a*, np. Myca lub Myta.—Jeżeli wyraz „Ochlicz“ pochodzi od niemieckiego *Hechler*, to nazwy miejscowe Ochle, Ochla, nie mają z nim chyba związku, dawniejsze są bowiem od kolonizacyi niemieckiéj: pierwsza jest w akcie Mieszka Starego, podrobionym w pierwszéj połowie XIII wieku, druga istniała już za Władysława Odonicza (kod. dypl. Wielkop. N. 33 i 340).—Pod wyrazem „Opat“ dodać można cztery wsi zwane Opacz.—Formy „podczasze, podkomorze“ nie są czysto polskie, ale raczéj kaszubskie, pomorskie, bo w tamtejszych tylko dokumentach się spotykają; u nas było zdawna „podczaszy“, równie jak „podkoni“ zamiast staroczeskiego „podkonie.“—Przeworsk nie pochodzi od przeora; stary ten gród leżał już w granicach Rusi i zwano go tam w XIII wieku Pereworesk.—Pod wyrazem „Rada“ przywiódł autor kilka nazw, jak sądzimy, niewłaściwie. Nazwisko Rajczyński nie koniecznie powstało z „Radźczyński“, wszakże jest wieś Raj, jest téż Rajec (w Sandomierskiém); Radzicki pochodzi od wsi Radziki; Radecznicę zbliżyć by wypadało może raczéj z nazwami wsi Radecz, Redecz, aniżeli z wyrazem „radca.“—Cały szereg nazw zebranych pod wyrazem „Rogoźnik“ chyba nie powinien należéć do tego spisu, wyraz ten bowiem znamy jako nazwę rzeczek i strumieni od krzewów nad niemi rosnących, nie zaś jako nazwę rzemiosła.—Dziwnie brzmiące w naszych uszach wyrażenie „do rządcego, od rządcego,“ używane często przez lud warszawski, nie koniecznie jest błędem, spotkaliśmy bowiem „rządczego“ w księdze sądowéj Czerskiéj z XV wieku, gdzie oczywiście jest prawidłowym 2 im przypadkiem nie od rzeczownika „rządca“ lecz od przymiotnika „rządczy“, analogicznego z „koniuszy, woźny“ itp.—Bardzo zręcznie jest podany

przez autora wywód „skomorocha“ z włoskiego *scaramuccia*. — Pod wyrazem „Solnik“ możnaby dodać *solnicones*, znajdujące się (jeśli nas pamięć nie zawodzi) u Perlbacha (Pomerell. Urkundenb.).— Imię nasze Boguta nie ma żadnego związku z łużycką nazwą wójta *bogot*, jest ono u nas dawniejsze aniżeli osady na prawie niemieckiém, pochodzi od imienia Bogusław i ma analogiczne formy Bronuta, Dobruta i t. p.—Nazwie miejsca Wybranów dało początek imie osobowe Wybran, należące do tejże kategoryi co imiona Wygnan, Potkan, Kaczan, Kochan, Radwan, Miłwan; „wybrańcy“ zaś zjawiają się dopiéro w XVII wieku.—Duszoty pochodzą od imienia osobowego Duszota. — Dla uzupełnienia spisu p. Karłowicza przytoczymy następujące nazwy: Burlaki, Ceglarze, Chmielarze, Chorążyce, Cielętniki, Ciemiętniki (może powstałe z tienietniki = sieciarze, włóczkowie, cf. rosyjskie *tienieta*), Ciemierniki v. Czemierniki, Cudniki (kuglarze?), Drwały, Gajewniki, Garbarz, Gospodarz, Grabarz, Grotniki (robiący groty do strzał i dzid), Jastrzębniki, Kantorowice (wieś należąca do kantora w kapitule), Kijaki (rzeźnicy na Podgórzu), Krowniki, Kamierzniki, Kopytnik, Kośnik, Krawce, Łaźniki, Łasiczniki, Masztalerze, Mistrzowice, Obelniki, Ogrodniki, Owczary, Piekary (nie Piecarze), Pisary, Podsędkowice, Podskarbice, Proboszczewice, Pacierniki, Plebanka, Poprężniki, Przewoźniki, Pstroszyce (zamiast Pstrościce, cf. „pstre sto“), Pustelnik, Sanniki, Sitary, Szpitary (w Miechowskiém, =szpitalniki? wieś klasztoru Zwierzynieckiego, znana już w XIII w.), Tulniki, Wardężyn (ob. Stat. Wiślic.), Wojewódki, Zagrodniki, Żerniki (nie wyrabiali oni żarn, jak mniemał d-r T. Wojciechowski, lecz żerdzie, zapewne do dzid, ztąd też zwali się właściwie żerdnicy, w bulli z roku 1136 „Sirdnici“), Żeleźniki, Żurawniki. *St. Ł.*

Dział III. *Botanika* (str. VIII i 274). — Nader bogaty materyał, zebrany w części botanicznéj Pamiętnika fizyogr., zachęcił mnie do bliższego jéj rozpatrzenia, oraz do rozebrania tak zalet, jakoteż tu i owdzie występujących braków całego wydawnictwa i pojedyńczych prac w nim umieszczonych. Sądzę, że to specyalne omówienie rzeczy, podjęte jedynie w gorącéj chęci przysłużenia się tak usilnie a do tego i z pewném poświęceniem przez garstkę naszych uczonych popieranéj sprawie będzie z większą korzyścią dla rozwoju tego pomnikowego wydawnictwa, niż najgorętsze nawet pochwały.

Największą ozdobą ostatniego tomu Pamiętnika jest bezsprzecznie znakomita i wyczerpująca, na długoletnich studyach oparta, praca prof. d-ra Tytusa Chałubińskiego: „*Enumeratio muscorum frondosorum tatrensium hucusque cognitorum.*“ Aby zrozumieć i ocenić tę pracę, trzeba porównać ją z obcemi rozprawami w podobnym kierunku. Ten wykaz mchów podaje nam z tak szczupłéj przestrzeni,

jak są Tatry, 442 gatunki, z których aż 61 gatunków jest zupełnie nowych, przedtém przez nikogo jeszcze w Tatrach nieznalezionych. Jeżeli porównamy ilość tę z florą mchów Tyrolu, zkąd dotychczas tylko 414 gatunków jest znanych, z Szląskiem (równiny i część górzysta) o 511 gatunkach, z austryackiemi Alpami o 580 gatunkach, z księstwem badeńskiém o 360 gatunkach, z królestwem saskiém o 355 gatunkach, z krajami, gdzie już przeszło od stu lat zajmowano się zbieraniem mchów, to wtedy dopiéro możemy zrozumiéć ogrom pracy p. Ch. Po dokładnym przeglądzie całéj literatury przedmiotu, przechodzi autor do szczegółowego wyliczenia poszczególnych gatunków. Nomenklatura, jakiéj używa, ma być, wedle Schimpera, *Synopsis* (Ed. II), przyczém miał autor odstępować od niéj tylko w razie uznanéj przezeń konieczności. Ja jednak widzę w nomenklaturze właśnie wielką różnicę; Schimper cytuje tylko autora, który opisał gatunek, nie troszcząc się zupełnie o tego, który dany gatunek zaliczył do odpowiedniego rodzaju. Pan Ch. przeciwnie, konsekwentnie wszędzie, gdzie tego potrzeba, wprowadza obudwóch autorów, czém się już gruntownie od Schimpera różni. Rzecz ta, starannie przeprowadzona, nadaje jeszcze większą wartość pracy p. Ch., a byłaby pod tym względem jeszcze gruntowniejszą i znacznieby na naukowéj wartości zyskała, gdyby nasz badacz był zechciał przytoczyć dzieła, gdzie synonim i imiona były spisane. Opuszczenie to wprawdzie oszczędziło wiele miejsca i pracy autorowi, narazi jednak korzystających z tego wykazu nie tyle przy gatunkach, ile przy odmianach na niepewność i szukanie źródła, nie zawsze łatwego do domyślenia się. Oprócz nader starannie oznaczonych miejscowości, z podaniem często i wysokości w metrach, gdzie jakiś gatunek został znalezionym, nader cennymi są dla bryologii uwagi i dopiski do poszczególnych odmian i gatunków. Dodatkiem do całéj pracy jest pierwsza dotychczas, polska, nader starannie wykonana mapa Tatr z podaniem spisu miejscowości. Dodatek ten załatwił wreszcie dwie oddawna zaniedbane sprawy: mamy wyborną własną mapę Tatr i zbiór nazw, na którym wreszcie już polegać można. Rzecz podobną mógł jednak wykonać tylko p. Ch., jest on bowiem najlepszym i najsumienniejszym znawcą gór, praca więc jego nad słownictwem tatrzańskiem musi być uważaną za podstawę dla wszystkich przyszłych robót w tym kierunku. Niniejszy wykaz mchów tatrzańskich może pod każdym względem zadowolić naszą dumę narodową, przedstawił on bowiem wielkie bogactwo naszéj flory w takiéj formie, że lepszéj trudnoby nawet było znaleść za granicą wśród tych, którzy już od tak dawna przyzwyczaili się wiedzą i umiejętnością nam przodować. Zresztą pod każdym względem wyczerpujące to dzieło jest dla nas niezbitym dowodem, ile stworzyć może dobra wola i praca:

znaczą one więcéj niż samo specyalizowanie się w nauce, dają bowiem więcéj zapału, a wreszcie w naszych warunkach może i więcéj zadowolenia.

Z prac pana Kazimierza Łapczyńskiego przedewszystkiém podnieść muszę pierwszą, „Półwysep birsztański", która aczkolwiek drobna, jest cennym dodatkiem do naszéj flory. Oby tylko więcéj było takich prostych, nie przeładowanych fantastycznemi hipotezami prac, a prędko zbliżymy się do poznania naszéj flory. Opis dokładny saméj ziemi w okolicy Birsztan daje dokładne zrozumienie gruntu i roślin na nim rosnących. Jedna rzecz jest tylko zupełnie zbyteczną, a to są przy nazwach łacińskich nazwy polskie roślin. Dowolne dawanie, do tego jeszcze dwuwyrazowych nazw wedle pewnego dzieła, nie ma najmniejszego znaczenia w tego rodzaju pracach, a nawet utrudnia zrozumienie. Dopis nazwy polskiéj może mieć tylko wtedy znaczenie, jeżeli ta nazwa wyjęta jest z ust ludu badanéj okolicy, w przeciwnym zaś razie jest to balast, który omijamy okiem szukając łacińskiéj nazwy. Zapatrywania w tym kierunku pana Ł. sądzę, że nie wiele różnią się od moich, cieszy się on bowiem prawdziwie zbiorkiem roślin, jakie zebrała dla niego, tak szczęśliwie początkująca na polu poznania naszéj flory, panna Helena Romer, a nadewszystko z dopisku do nich nazw ludowych. Całą rozprawkę kończy p. Ł. z właściwym sobie humorem, który jest możliwym nawet w tego rodzaju pracach, opisem nieudanéj wyprawy po jemiołę, mającą rosnąć na dębach w Birsztanach i po buki do kowieńskiéj doliny; ani jednéj, ani drugich nie znalazł, zkwitował téż z jemioły, nie tracąc jeszcze nadziei odszukania litewskich buków. — Druga praca p. Łapczyńskiego: „Wspólne gatunki roślin jawnokwiatowych nasze i nadbajkalskie", mająca cechę więcéj porównawczą i nie odpowiadającą już tyle treścią celowi założonemu przez wydawnictwo Pamiętnika, jest podaniem uwag i osobistych zapatrywań na podobieństwo i różnice dwóch flor, dosyć od siebie odległych.

„Krytyczne zestawienie paprotników Królestwa Polskiego" przez p. Józefa Rostafińskiego jest dopełnieniem, a raczéj obrobieniem na nowo przedmiotu podanego przez p. Fr. Kamieńskiego w tomie piątym Pamiętnika fizyograficznego pod wiele obiecującym tytułem „Spis paproci krajowych." Uzupełnienie pracy téj było koniecznem, gdyż zaledwo w części odpowiadała ona szerokiemu tytułowi. P. Rostafiński podejmując na nowo tę pracę, nie wyczerpał wprawdzie jeszcze przedmiotu, stworzył jednak całość, która dopiéro mogła odpowiadać tytułowi pracy, ogłoszonéj przez poprzednika. Rzecz swą rozpoczął p. R. od części historycznéj, przeglądając najstarszych autorów, którym pierwsze wzmianki o paprociach krajowych za-

wdzięczamy. Pomijając rozprawę Schenkfelta, zajmującą się głównie Szląskiem, wspomina o katalogu roślin ogrodów królewskich warszawskich i okolic Warszawy, ułożonym i wydanym przez M. Bernica w Gdańsku w r. 1652. Dziełka tego nie miał autor pod ręką, dlatego wspomnę o niém słów kilka, zwłaszcza, iż jest ono małą zagadką bibliograficzną. Wydania, o którém pan R. wspomina, nie znam zupełnie, mam jednak o rok późniejsze, prawdopodobnie odbicie téj pracy w zbiorowém wydaniu Szymona Pauli (1): *Viridaria Varia Regia et Academica publica, in usum Magnatum ac* Φιλοβοτάνων etc. etc. Hafniae 1653. Część drugą książeczki téj od str. 203 do 324 stanowi *Catalogus Plantarum tam exoticarum quam indigenarum: quae anno 1651 in hortis regiis Warsaviae nasci observatae sunt*, na drugiéj stronie zaś tytułu znajduje się wierszyk odstraszający krytyków:

*In Nasutum Momum et Ineptum Mimum.*

Cur minus apte alios rodis Nasute labores,
Si tu necquicquam par facis aut melius?

z podpisem: *Andreas Cnöffelius, S. R. M. Pol. et Svec. Supremus Medicus*

Dziełko to w porównaniu z Bernicem (Bernhard Martin) tytułem swym zupełnie się nie różni, jeno ilością stronnic, a format przytém obydwoch wydań zdaje się być jednakim (12°). Opierając się tylko na podpisie, przypisują niektórzy, jak Sprengel, Trautvetter, rzecz tę Cnöffeliusowi, o ile mnie się zdaje, zupełnie niesłusznie; nie jest to bowiem nic innego jak przedruk z Bernica. Spis roślin ogrodów i okolicy Warszawy składa się z trzech części: w pierwszéj jest wykaz roślin *Horti suburbani Warsaviensis*, z dodatkiem roślin przewiezionych tamże z Węgier; w drugiéj katalog roślin *Horti Regii sub Arce Regia*, w trzeciéj części zaś, dla nas najważniejszéj, pod tytułem „*Catalogus tertius plantarum indigenarum, quae in locis paludosis, pratensibus, arenosis et sylvis, circa Warsaviam nascuntur*" (od str. 288—326), jest wykaz przeszło 700 roślin przeważnie jawnokwiatowych, dziko koło Warszawy rosnących. Rzecz tę omówiłem nieco obszerniéj, jest to bowiem praca na swoje czasy zdumiewających rozmiarów, będąca najlepszym dowodem, jak gorąco już wtedy zajmowano się poznaniem flory naszéj. Największą trudność sprawia zrozumienie dawnéj nomenklatury, do czego potrzeba wielkiéj wprawy i specyalnych studyów. Z paproci wyliczono dziesięć gatunków i to najpospolitszych, dwa zaś oprócz tego są dla mnie dosyć wątpliwe, zdaje się bowiem, że autor je sam dopiéro imieniem obdarzył.—Przytoczenie daléj przez p. R. dzieła Georgi „*Bemerkungen auf einer Reise im russischen Reiche*" 1775 (nie 1770) zdaje mi

(1) Dziełko to zawdzięczam uprzejmości p. J. A. Knappa w Wiedniu.

się być omyłką, dzieło to bowiem obejmuje głównie spis roślin nadbajkalskich, za to jednak w czwartym tomie trzeciego działu pracy tego samego autora p. t. *Geographisch-physikalische und naturhistorische Beschreibung des Russischen Reiches* (Königsberg 1800) jest wzmianka o kilku paprociach znajdujących się w Polsce, a pomiędzy innemi i o *Scolopendrium vulgare*. którą p. R. właśnie cytuje.— Po przeglądzie starszéj literatury botanicznéj przechodzi p. R. do epoki, w któréj na nowo wzbudzone nauki przyrodnicze zaczynają coraz więcéj zyskiwać zwolenników. Po świetnym wystąpieniu Kluka dali cenne przyczynki do poznania przyrody naszego kraju Szubert, Waga i Jastrzębowski. Z obcych prac pominął tutaj autor Ledeboura (Flora Rossica), który w czwartym tomie (Sztutgart 1853) oprócz zestawienia dawniejszéj literatury przytoczył także nieco nowych danych do powyższego przedmiotu. Zestawienie nowszych prac polskich zdaje się być zupełnie wyczerpującém, pomija jednak literaturę obcą, zkąd innąd dobrze mu znaną. A mianowicie pracę p. A. Rehmanna: *Die Gefäss-Kryptogamen von Westgalizien* (Bot. Zool. Gesell., tom XII), dwie prace p. F. Karo, rozprawkę pana Fritze, oraz dwie prace p. Bänitza.

W spisie swym podaje p. R., opierając się na dotychczasowéj literaturze, 42 paprotniki dla Królestwa polskiego z dodatkiem 12, które są wątpliwe albo mogą być jeszcze znalezione. Mimo nader cennych tu i owdzie uwag dodanych do pojedyńczych gatunków, świadczących nie tylko o wyczerpaniu samego przedmiotu ale i o wielkiéj znajomości kraju, zaznaczyć muszę pewne punkta, na które niezupełnie zgodzić się mogę. Pan R. pisząc o *Scolopendrium vulgare*, dodaje: „roślina wogóle wyłącznie południowa.... nie przekracza na wschód Wisły“, tymczasem roślina ta znaną jest z Ameryki północnéj, Skandynawii, Niemiec północnych i na wschód po za Wisłą i z Litwy. Uwaga autora co do *Asplenium fontanum Bernh.*, że tu u nas, mimo podania jéj przez Jastrzębowskiego i Kluka, rosnąć nie może, jest nader słuszną, bytność jéj nawet w Galicyi mimo oryginalnych egzemplarzy prof. Weissa we Lwowie, wedle mego zapatrywania, musi być bardzo zakwestyonowaną. Jednym z dostarczających rośliny dla prof. Weissa był służący instytutu botanicznego niejaki Zygm. Jarolin (on miał téż znaleść owo galicyjskie *Asplenium fontanum*), a na ścisłość tegoż pod tym względem nie radziłbym nikomu przysięgać. Daléj *Botrychium simplex*, którego obecność tylko p. R. przypuszcza, jest już dawno podane przez p. Fritzego z pod Ojcowa „*auf der alten Burg des Königs Łokietek* (1). Grupie *Selagi-*

(1) R. Fritze: Aus dem südwestlichem Zipfel des Königreichs Polen. (Verhandl. des bot. Ver. f. Brand. XI. 1869, str. 133).

*nellaceae* muszę poświęcić nieco więcéj uwagi. Obecność *Selaginella spinosa* w Polsce zdaje mi się być zupełnie nieprawdopodobną i przypuszczam tutaj pewne pomieszanie jéj przez florystów z podobnym do téj rośliny widłakiem *Lycopodium inundatum*. Oprócz niéj jednak muszę dodać jeszcze dla flory polskiéj *Selaginella denticulata Link*, któréj obecność trzebaby przypuszczać, opierając się na takich powagach naukowych, jakimi byli Willdenow i Bory de St.-Vincent. Roślina ta, trzymająca się wyłącznie wybrzeży morza Śródziemnego, tworzyłaby przez swą obecność pod Warszawą jeden z niezrozumiałych a przecież już istniejących w rozmieszczeniu roślin wyjątków. Dla ułatwienia sprawdzenia jéj bytności w naszych okolicach podaję dotyczący ustęp z monografii Springa (1): *Willdenow, dans son Species Plantarum, indique encore la Pologne, sur la foi d'un échantillon à lui communiqué par Bory de St.-Vincent. L'espèce aurait été rencontrée dans le bois d'Ustanow, à huit lieues de Varsovie.* (Autogr. Bory, dans l'herbier de Willdenow, N⁰ 19377, fol. 2). Jakkolwiek obecność rośliny téj zdaje mi się nieprawdopodobna, wartoby jednak było jeszcze i na miejscu przekonać się o jéj istnieniu i czy nie jest może tylko zdziczałą.—Z paprotników przez p. R. dla Polski zupełnie nieprzewidywanych możnaby jeszcze przypuścić u nas *Woodsia ilvensis*, znaną już dziś z Galicyi i Wołynia, oraz *Marsilea quadrifolia*, znaną z najbliższych stanowisk ze Szląska pruskiego i Podola galicyjskiego. — Kończąc na tém omówienie pracy p. R., muszę przedewszystkiém podnieść nader staranne obrobienie samego przedmiotu, które, sądzę, że jak mnie już zachęciło do uzupełnienia literatury, zdoła pobudzić naszych florystów do sprawdzenia i uzupełnienia na gruncie jego zapisków. Wprawdzie ogólne zestawienia tego rodzaju są może u nas jeszcze zawczesne, zbyt mało bowiem mamy danych z poszczególnych miejscowości, aby obejmować całość kraju, zbyt wiele jeszcze zostaje do pracy na samym gruncie badań florystycznych przez poznanie jednostek, nim przejdziemy do zestawienia krytycznego ich form; mimo tego praca p. R. musi być przyjętą z wielką wdzięcznością przez ogół, była ona bowiem nie tylko koniecznym wynikiem moralnego usposobienia botanika, starającego uzupełnić temat przedtém dosyć nieszczęśliwie poruszony, lecz także chęcią stworzenia wzoru prac podobnego rodzaju, oraz wykazania bogactwa naszéj flory.

Z prac p. B. Eichlera podnieść mogę tylko pierwszą: „Spis porostów znalezionych w okolicach Międzyrzeca“, tworzącą dodatek do pierwéj już ogłoszonych badań nad roślinnością skrytokwiatową

(1) Spring: Monographie de la Famille des Lycopodiacées. Bruxel. 1842—49, str. 85.

téj okolicy. Wykaz ten, składający się z 196 gatunków (pomiędzy niemi jest 15 rzadszych), jest doskonałą podstawą do dalszych badań w tym kierunku. Słabą stronę tworzy tylko nomenklatura sama,— niestety wynik dosyć niekrytycznie napisanego dziełka, na którém p. E. swe wszystkie oznaczenia opierał. Ośmieliłbym się dlatego p. E. poradzić przy dalszych robotach tego rodzaju zwrócić się do dzieł więcéj ten przedmiot wyczerpujących. Druga praca tegoż autora: „Budowa i zawartość pęcherzyków pływaczy krajowych“, nie dająca dla nauki nic nowego, a pomijająca nawet nowsze obce badania, zupełnie nie kwalifikuje się w łamy Pamiętnika fizyograficznego. Obecność jéj tém bardziéj zaś razić nas musi, gdy przypomnimy sobie słowa od wydawców na karcie wstępnéj, gdzie dowiadujemy się o zatrzymaniu do przyszłego tomu kilku sprawozdań z wycieczek botanicznych, rzeczy bezwarunkowo więcéj odpowiadających założeniu samego wydawnictwa.

Kończąc na tém nasze sprawozdanie z części botanicznéj t. VI Pamiętnika, muszę przedewszystkiém podnieść usilne staranie wydawców, którzy mimo trudnych warunków, w jakich niestety to wydawnictwo istnieje, zdołali obdarzyć nas jeszcze jednym tomem tych nader cennych materyałów do poznania naszego kraju. Porównywając to czysto tylko prywatne przedsiębiorstwo z wydawnictwami zagranicznemi, pobierającemi subsydya krajowe, musimy się prawie zdumiewać nad energią i prawdziwém poświęceniem tych, którzy rzecz taką potrafili doprowadzić do skutku. O ile ogół przyczyni się do rozwoju tego nieodzownego dla nas wydawnictwa, rzecz ta zależy od zrozumienia obowiązków obywatelskich jednostek. Niestety, nie wszyscy możemy, o ile by to leżało w naszych chęciach, wesprzéć to wydawnictwo, czyż mało jest jednak między nami takich, którym środki dozwalałyby na to, gdyby tylko sami zechcieli wreszcie skierować swą działalność nie tam, gdzie ich osobista próżność kusi, ale gdzie woła obowiązek. *Dr. Ign. Szyszyłowicz.*

---

Heinrich Denifle. Die Universitäten des Mittelalters bis 1400. Berlin 1885. 1 Band. Die Entstehung der Universitäten.

Dawno już minęły czasy, kiedy naukowe zajęcia wyłącznym były przywilejem duchowieństwa, zwłaszcza mnichów. Sekularyzacya nauki stanowczo już została dokonaną w w. XIX i odwrotny stosunek zapanował we wszystkich krajach Europy. Nie brak wprawdzie i obecnie znamienitych pomiędzy duchownymi uczonych, ale wobec ogromnych zastępów uczonych świeckich, drobną bardzo

wydaje się ich liczba. Główną zwrotu tego przyczynę stanowi niedostateczne wykształcenie, jakie pobiera zazwyczaj zakonne zwłaszcza duchowieństwo. Gdy na uniwersytetach postępy są nieustannie widoczne i każdy rok niemało wybitnych przynosi innowacyi, nie ma śladów, aby coś podobnego odbywało się po szkołach klasztornych. Wyjątek stanowią pod pewnym względym Jezuici, którzy ze wszystkich zgromadzeń zakonnych najmniéj są zacofani i nie przestają w bliskich z ogólną nauką pozostawać stosunkach.

Nie wyobrażam sobie, aby i dzisiaj był ktokolwiek inny bardziéj do głębokich studyów powołany niż zakonnik. Bezwzględny spokój, oderwanie od świata, zapewnione utrzymanie pozwalają mu o wiele swobodniéj swym czasem rozrządzać, o wiele mniéj na powodzenie zewnętrzne być dbałym, niż to w przecięciu zachodzi u walczących nieraz bardzo ciężko o chleb codzienny uczonych świeckich. Gdy kierunek pracy wymaga podróży po bibliotekach i archiwach, z łatwością znajdzie klasztorny badacz potrzebne na to fundusze, a czego zwłaszcza mu nie zabraknie, to czasu, w czém przewyższa tak korzystnie nawet położonych uczonych świeckich, jakimi są zresztą profesorowie uniwersyteccy. Zarzuci kto może, że niemałą nieraz stanowić będzie przeszkodę surowa reguła, że nie wszędzie możliwém jest dotrzéć w habicie. Ależ dziś żaden już przeor lub opat nie będzie się wahał zwolnić na pewien czas od ścisłego reguły zachowywania nauką słynącego mnicha, a gdyby znaleźli się jeszcze tak zacofani, to w wyższéj instancyi generał a w danym razie sam ojciec święty, bardziéj się okażą liberalnymi.

Dwa dopiero minęły lata, gdy niemałego narobiła wrażenia niewielka książka, zatytułowna „*Les Allemands.*“ Autorem jéj był słynny kaznodzieja paryski, ojciec Didon, który w świeckiém przebraniu przez lat kilka uczęszczał na sławniejsze uniwersytety niemieckie, a następnie w dziełku, z niezwykłą napisaném werwą, porównywał wyższe zakłady naukowe we Francyi i Niemczech. Porównanie wypadło po większéj części niekorzystnie dla ojczyzny autora, a ściśle naukowa krytyka, w postaci w *Revue des deux Mondes* pomieszczonego sprawozdania pana Ernesta Lavisse, w wielu bardzo względach przyznała słuszność wywodom utalentowanego dominikanina. W tym więc wypadku do tak surowéj należący kongregacyi zakonnik potrafił, bez zdradzenia swego *incognito*, lat kilka w Niemczech przebywać, jako zwyczajny uczeń wykładom uniwersyteckim się przysłuchiwać, bez narażenia się ani swym przełożonym, ani bez innych funduszów, jak te, których mu własny udzielił klasztor.

Jeżeli ojciec Didon dał w swéj książce przedewszystkiém dowody bystréj obserwacyi i wymownego stylu, to całkiém inne zalety

stawiają niemieckiego dominikanina, ojca Henryka Denifle pomiędzy koryfeuszami dzisiejszéj historycznéj nauki.

Dzieło, którego pierwszy tom mamy obecnie w rękach, jest niezawodnie jedném z najbardziéj pracowitych i oryginalnych, jakie się ukazały w drugiéj połowie naszego stulecia. Pięć lat nieustannych podróży po wszystkich archiwach i bibliotekach europejskich, dały ojcu Denifle możność rozporządzania olbrzymim istotnie materyałem. Powołany przez kardynała Hergenröthera na zarządzającego watykańskiém archiwum, ma ojciec Denifle nieustannie pod ręką najcenniejsze źródła do dziejów wszystkich narodów chrześciańskich. W takich tylko warunkach i po takiém przygotowaniu można było podjąć pracę tak ogromną i tak trudną, jak spisanie historyi wszystkich najdawniejszych w Europie uniwersytetów. Mniemać można było dotychczas, że o średniowiecznych uniwersytetach najważniejsze szczegóły są już znane. Savigny zwłaszcza za pierwszą pod tym względem uchodził powagę. Czytając już ten pierwszy tom dzieła o. Denifle, przekonywujemy się, że z właściwych źródeł mało kto dotychczas czerpał, że większą część wiadomości o włoskich np. uniwersytetach zawdzięczaliśmy późnym, bo dopiéro z w. XVI pochodzącym statutom, że wiele baśni o dawności rozmaitych „*studia generalia*“ w najpoważniejszych przyjęło się dziełach; że jedném słowem nie będzie to przesadą, jeżeli omawianą obecnie książkę nazwiemy pierwszém, ściśle krytyczném, ze wszech miar na wysokości nauki stojącém dziełem.

Ojciec Denifle zamierzał początkowo napisać historyą uniwersytetu tylko paryskiego, i obecnie nie zupełnie od pierwotnego zamiaru odstąpił, bo z pięciu tomów, z jakich ma się dzieło jego składać, aż trzy poświęconych zostanie wyczerpującemu przedstawieniu losów szkoły wyższéj paryskiéj. Lecz właśnie to jest cechą wszystkich badań nad dziejami wychowania, nauki, cywilizacyi, że ograniczać się do jednego kraju lub do jednego miasta w żaden nie można sposób. Wszystko tu jest w tak bliskim z zagranicą związku, że tylko postępując jak ojciec Denifle, który nie zapomniał ani o Węgrzech, ani o Polsce, możliwém jest do zadawalniających zupełnie dojść rezultatów.

Niepodobieństwem jest streszczać dzieła tyloma nowemi zapełnionego szczegółami, jak pomnikowa ta historya uniwersytetów; podamy tylko w krótkości ważniejsze omówione w niéj kwestye.

W pouczającéj przedmowie skreśla nam autor obraz swych studyów i daje pogląd na dotychczasową literaturę. Że zgryźliwym jest i w sądach nader ostrym, przebija się w każdéj uwadze. Tak dalece nawet folguje skłonności swéj do miażdżenia przeciwników,

że to dziwne usposobienie wytłómaczyć się chyba daje z jednéj strony chorobliwym stanem autora, z drugiéj kwitnącą widocznie do dziś dnia w kaznodziejskim zakonie, krewkością w dyalektycznéj dyskusyi.

W pierwszym rozdziale ustala ojciec Denifle pojęcie średniowiecznego uniwersytetu, rozbierając wszystkie pojawiające się w źródłach terminy techniczne. Następnie zajmuje się na 200 blisko stronach dwoma najdawniejszemi uniwersytetami: paryskim i bolońskim. Kreśli ich organizacyą, będącą wzorem wszystkich późniejszych. Inne uniwersytety, po odrzuceniu mylnie do nich zaliczanych szkół wyższych, jak np. w Lugdunie, Palermo, Mantui, Parmie, dzieli autor na fundacye: 1) bez listu fundacyjnego temi są, prócz dwóch już wymienionych, uniwersytety w Salerno, Oxfordzie, Padwie etc.; 2) z listem fundacyjnym papieskim, np. w Rzymie, Pisie, Ferarze, Tuluzie, Cambridge, Valladolid, Heidelbergu, Kolonii, Erfurcie etc.; 3) z listem fundacyjnym cesarskim lub miejscowego władcy, jak w Neapolu, Salamance; 4) z listami fundacyjnemi papieża i świeckiego panującego, jak we Florencyi, Pradze, Wiedniu, Krakowie. Ostatnią kategoryą stanowią uniwersytety, które mimo założenia, nie weszły w życie. — Bardzo pouczające są ostatnie rozdziały o stosunku uniwersytetów do szkół dawniejszych i o przyczynach powstania średniowiecznych uniwersytetów.

Gdy ukaże się tom drugi dzieła ojca Denifle, mający tworzyć z pierwszym odrębną całość, powrócimy do interesującego tego przedmiotu. Zwracamy jeszcze uwagę, że ojciec Denifle wydaje obecnie wraz z Jezuitą Ehrlem w Berlinie czasopismo *„Archiv für Litteratur und Kirchengeschichte“*, o którym przy najbliższéj sposobności zdamy sprawę. *B.*

---

= **Żywot Józefów Reja** stał się w roku zeszłym przedmiotem dwu naraz opracowań, które na podstawie tychże samych materyałów wykazują dowodnie pożyczki porobione przez naszego autora z literatury obcéj, sobie spółczesnéj. Prof. Władysław Nehring w IX-ym tomie „Archiv für slavische Philologie“ i w osobnéj nadbitce ogłosił rozprawę p. n. *Die dramatische Geschichte Joseph's: Żywot Józefów von Nicolaus Rej*, a p. W. A. Bruchnalski w „Muzeum“ (wychodzącém we Lwowie, zeszyt październikowy i listopadowy) wydrukował rzecz p. n. *M. Reja Żywot Józefa w stosunku do literatury obcéj*. Obaj autorowie wymieniają téż same materyały, które im posłużyły do wykrycia zależności naszego autora w zdramatyzowaniu

historyi biblijnéj o Józefie od wydanych przed nim sztuk dramatycznych, na tymże temacie osnutych. Materyałami temi są: 1) W. Scherer'a: „Deutsche Studien“ III, art. Dramen und Dramatiker; 2) Allgemeine deutsche Biographie, art. D. Jacoby'ego Macropedius; 3) Weller'a Annalen der poetischen Nationallitteratur der Deutschen im XVI und XVII Jahrh.; 4) tegoż Weller'a: Das alte Volkstheater der Schweiz, oraz historya literatury niemieckiéj Goedeke'go. Z licznych dramatycznych opracowań historyi o Józefie obaj autorowie odkryli wyraźne podobieństwo, tak w pomysłach jak w toku ich przeprowadzenia oraz w całym szeregu zdań, pomiędzy dwoma głównie utworami obcemi a dziełem Reja. Pierwszym z nich i w stosunku do Reja najważniejszym jest komedya nauczyciela amsterdamskiego Crocusa wydana po raz pierwszy w Kolonii r. 1537, a przedrukowana zaraz następnego w Antwerpii, p. n. „Comoedia sacra cui titulus Joseph, ad christianae juventutis institutionem juxta locos inventionis veteremque artem, nunc primum et scripta et edita.“ Crocus za treść komedyi swojéj obrał stosunek Józefa do Żony Putyfara; stąd najwydatniejsze pożyczki z niego znajdują się w sprawie IIIa, IIIb i IV Żywota Józefa, gdzie właśnie przedmiot ten traktuje Rej i to w ten sposób, że Nehring nie waha się twierdzić, iż w tych częściach utwór Reja jest swobodną kopią komedyi Crocusa. Musimy jednak zwrócić uwagę na to, że w téj przygodzie miłosnéj występuje u Reja wydatna osobistość służebnéj Achizy, któréj ani u Crocusa ani w żadnym innym z dotychczas znanych utworów dramatycznych o Józefie nie znajdujemy. Ta okoliczność w połączeniu z kilkoma innemi skłania p. Bruchnalskiego do przypuszczenia, iż istniał jakiś pierwowzór w języku łacińskim, dziś nieznany, z którego Crocus i inni pisarze XVI wieku w wielkiéj mierze korzystali, a który Rej „przełożył“ na język polski. Prof. Nehring zaś nie skłania się ku takiemu przypuszczeniu, twierdząc, iż jeżeli zważymy całkiem swobodne posługiwanie się Zodyakiem Życia Palingena w „Wizerunku“ to nietruduo nam będzie przyznać, że różnice od Crocusa w Żywocie Józefa mogą w zupełności od samego Reja pochodzić. Drugim utworem, z którego obaj autorowie wywodzą już-to pewne pomysły, już to wyrażenia Reja, lubo w daleko mniejszym stopniu niż z dzieła Crocusa, jest dramat napisany spólnie przez Joachima Greffa i G. Maiora wydany w Magdeburgu r. 1534 i 1535 p. n. „Ein lieblich und nützbarlich Spil von dem Patriarchen Jacob und seinen zwelff Soenen, aus dem ersten Buch Mosi gezogen und gedruckt.“ Prof. Nehring wykazawszy prawdopodobieństwo dostania się sztuki téj do kół protestanckich w Polsce za pośrednictwem osób i stosunków łączących je z Niemcami, uwydatniwszy kilka miejsc podobnych

w dziele niemieckiém i polskiém, poprzestaje na uwadze, że sztuka owa mogła być znana Rejowi, przynajmniéj z drugiéj ręki. P. Bruchnalski zaś oprócz wskazania lubo krótszego niż u Nehringa miejsc podobnych w obu sztukach, sądzi, że w sprawach od 5 do końca Żywota Józefa panuje szkicowy charakter traktowania przedmiotu tak samo jak w dramacie Graffa i Maiora. Na jednę jeszcze okoliczność zwraca prof. Nehring uwagę. Rej prowadzi Jakóba i Synów jego do Rameses w Egipcie. Otóż nazwa ta w formie Ramasses spotyka się w sztuce Garta: „Joseph, biblische komödie“ (1542) jako imię wykładacza snów. Zresztą innych dowodów znajomości tego dramatu u Reja Nehring odkryć nie może.—To są najważniejsze wyniki poszukiwań pp. Nehringa i Bruchnalskiego; uznając w zupełności ich ważność, trzeba atoli wyrazić żal, iż mówiąc o zapożyczaniu się Reja u sobie spółczesnych, nie powiedzieli, że w XVI wieku wogóle bardzo swobodnie postępowali sobie dramaturgowie z treścią i pomysłami swoich poprzedników, jak to widzimy u Szekspira i innych; przy takiém oświetleniu inaczéj trochę stosunek Reja do Crocusa przedstawiłby się czytelnikom. Prof. Nehring opracował nie tylko stosunek Reja do obcych wzorów, ale także wogóle dramat Reja poddał analizie, przyczém zbyt surowym się okazał, odmawiając mu wszelkiego *dramatycznego* znaczenia, lubo w nim, jakkolwiek słabe, ale bądźcobądź jest pewne dążenie do stworzenia całości i lubo kilka charakterów (Zefira, Achiza, Putyfar) przedstawia się w bardzo dobréj wydatnéj charakterystyce. Co autor twierdzi, jakoby słowa Trzycieskiego o tym Żywocie: „którego Józefa ludzie chętnie *widzieli*,“ nie mogły być inaczej rozumiane, tylko jako odnoszące się do przedstawienia go na scenie, to chyba polega na zapomnieniu, iż u nas słowa *chętnie widzieć* używane też bywają w znaczeniu *lubić*, *darzyć uznaniem*.





# KRONIKA MIESIĘCZNA.

Hasło Katona.—Czułe struny społeczeństwa.—Nasycenie życia kwestyą żydowską.—Antysemityzm na balu.—Potrzeby organizacyi rzemieślniczéj.—Cechy, żydzi i względy religijne.—Zaczarowane koło.—Jak myślano o najściu Izraelitów na cechy w różnych chwilach.—Ustępstwa delegacyi.—Nasze tradycye i opinie publiczne w kwestyi żydowskiéj.—„Mizerni krzykacze": czy Mickiewicz z Lelewelem?—Doniosłość przełomu uczuć w pamiętnéj chwili.—Memoryał rzemieślników.—Kiersz i prasa.—Nowe wydanie książeczki pedagogicznéj.—Chłód dziennikarstwa i zapał publiczności.—Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych.

Dzisiejszego czytelnika znudzi nieraz i zirytuje nieustanne powtarzanie Katona, o czémkolwiek bądź mowa: „a więc pamiętajcie o Kartaginie!" Po dwudziestu wiekach nabrało to wszelkich barw dziwactwa, wyglada na pozowanie oryginała; pojąć zaledwie można, jak starczyło człowiekowi temu chęci przystosowywać maksymę swoją ni przypiął, ni przyłatał, do każdego zdania i popisywać się logiką: „wlazł na gruszkę, rwał pietruszkę, cebula słodką była." A jednak ani senat, ani naród rzymski nie dziwił się i nie gorszył monotonnością napomnienia, bo usta Katona powtarzały tylko, niby echo, ten głos, który nieustannie dźwięczał w duszy każdego obywatela. Zburzenie Kartaginy było tak wciąż przytomne umysłowi rzymianina, jak artyście pomysł przed wykonaniem, jak kochankowi obraz kochanki, jak ból rany piekącéj, którego nie zagłuszy ani uciecha, ani praca, ani sen. Narody świata całego w wyjątkowych tylko chwilach szczęścia wolne są od takiéj, wszystko przenikającéj troski. Czasem chodzi o zburzenie Kartaginy, czasem o ratunek Rzymu, czasem o sprawę wewnętrzną, która, wydostawszy się raz z głębin życia na powierzchnią, nasyca umysły i dążenia barwą swoją i smakiem. Staje się ona wtedy podobną do kropli oliwy w wodzie, ani rozpuścić, ani zatopić się nie da; jest jak krwawe piętno na czole Balladyny, uwolnić od niego nie może ani woda, ani ogień, ani żelazo, ani modlitwa.

Do téj kategoryi spraw należy u nas w téj chwili kwestya żydowska. Nie jest ona najważniejszą, ale wśród omawianych drukiem zajmuje jedno z pierwszych miejsc. O cokolwiek zaczepimy, o rozwój handlu, czy o szkoły, o budowę mostu, czy o urządzenie wystawy starożytności, wszędzie spotykamy się z kwestyą żydowską. Doszło do tego, że w r. b. urządzające bal publiczny damy uznały za potrzebne uwzględniać semityzm i antisemityzm. Fakt ten lepiéj niż inne, ilustruje właściwy stan rzeczy. Nadobne gospodynie, traktując sprawy potoczne, chcąc zabawie zabezpieczyć wszelkie warunki powodzenia, może nie domyślały się nawet, że dotykają sprawy ważnéj i drażliwéj i że ich pomysł jest lekkomyślnością, mogącą dolać poważną dozę oliwy do istniejącego już płomienia.

Świeżo zaszły wypadki, charakteryzujące dobitnie usposobienia większości, w stosunku do kwestyi żydowskiéj i stan saméj kwestyi.

Delegacya rzemieślnicza sekcyi 4-éj oddziału Warszawskiego Towarzystwa popierania przemysłu i handlu powzięła zamiar zorganizowania stanu rzemieślniczego. Niełatwo zdecydować, czy zadanie to jest trudniejsze do wykonania, czy donioślejsze pod względem społecznym. U nas rękodzielnicy stanowią liczną, poważną, a nawet wpływową klasę. Wprawdzie w miarę rozwoju przemysłu wielkiego znaczenie ich słabnąć będzie, a sami oni topniéć i znikać, jak te resztki śniegu, które Marzec przekazuje Kwietniowi, tém nie mniéj jednak dopóki fabryki nie zostały jedynymi panami na polu wytwórczości krajowéj, opieka nad stanem rzemieślniczym i jego organizacya jest rzeczą wielkiéj wagi. Nie znaczy to wszakże, jak tłómaczyli niektórzy z naszych socyologów, iż potrzeba pielęgnować ten stan, wspierać go w walce o byt z nowymi środkami produkcyi i chronić od zagłady. Nie, bo podobne tamowanie koniecznego biegu i rozwoju stosunków, ani możliwém, ani pożytecznem nie jest. Protegowanie rzemiosł, jako współzawodnika wielkiego przemysłu, równa się przekładaniu furmanów frachtowych nad pociągi kolei żelaznéj. Jestto jedno z tych konserwatywno-sentymentalnych westchnień za przeszłością, które pewnych ludzi skłaniało do używania krzesiwka po wynalezieniu zapałek. Musimy powtórzyć to, cośmy powiedzieli w zeszłéj kronice o rolnictwie. Zwiększone środki produkcyi, zwiększona ilość bogactw nikomu na złe wyjść nie mogą. Zarzucają przemysłowi fabrycznemu, iż wytworzył proletaryat. Mniejsza, że proletaryat starszym jest o wiele od pierwszego zastosowania pary i że istniał dawniéj w gorszéj formie; ale czyż dla tego, że pożary pochłaniają pracę ludzką można i należy zaprzestać gotować

obiad przy ogniu. Rany, wynikające z ograniczonéj ilości środków bytu materyalnego, nie mogą być leczone przez zmniejszanie tych środków. Produkcya powinna być zawsze najwydajniejszą, a reszta należy do organizacyi społecznéj. Pomimo jednak zdumiewająco szybkiego podboju świata przez machiny, rękodzieła przetrwają długie jeszcze lata, szczególniéj niektóre gałęzie, dotąd niemal niezagrożone w swym bycie.

Organizacya rzemieślników, jak i każdego innego stanu, winna odpowiadać naraz wielu potrzebom. Winna dążyć do przerobienia pojedyńczego z anarchicznemi i samolubnemi skłonnościami człowieka w karnego członka zbiorowości, z nią solidarnego; winna podnosić moralnie, wyrabiając opinią i poczucie godności; winna wytwarzać spójność i społecznie zbawienną świadomość, że jesteśmy potrzebni innym i sami wciąż korzystamy z pomocy bliźnich. Członek wszelkiego zbiorowego ciała dokładniéj zrozumiéć może swoje stanowisko wobec większéj całości i łatwiéj może te obowiązki wykonać. Pozatém pozostają inne potrzeby, jak pomoc materyalna, szkoły fachowe, wpływ na rozwój jakiegoś rzemiosła itd. Nareszcie organizacya wewnętrzna wytwórców i ich wzajemna kontrola daje gwarancyą nabywcom, wzbudza w nich zaufanie, chroni od partactwa.

Ostatnie dwa względy nie są trudne do osiągnięcia i umiejętna interwencya państwa, lub gminy byłaby nieraz wystarczającą rękojmią. Zupełnie inaczéj rzecz się ma z moralnemi wpływami instytucyi,—tu żadne egzekucye, ani nakazy nie pomogą. Światłem i ciepłem darzyć mogą te tylko ciała, które je mają same w sobie. W tym razie źródłem dobroczynnego oddziaływania musi być powaga instytucyi, wypływająca z przeszłości i tradycyi, opartych na najogólniejszych i najwyższych uczuciach. Ufundowanie takiéj organizacyi, która by odrazu posiadała wszystkie przymioty, jest niepodobieństwem; wytworzenie warunków, które by pozwoliły je zdobyć, z biegiem czasu napotka bardzo doniosłe trudności. W danym wypadku pozostawało więc uciec się do instytucyj, istniejących dawno, a przez to posiadających już wiele właściwości niezbędnych do należytego zadosyć uczynienia potrzebom. Delegacya więc zwróciła swój wzrok na cechy, prągnąc to dziedzictwo wieków średnich uczynić przydatném do zadowolnienia potrzeb chwili dzisiejszéj.

I tu zaraz na pierwszym kroku wystąpiła kwestya żydowska. O znaczeniu jéj obecném w naszém społeczeństwie sądzić można z tego, że była ona tu tylko szczegółem w zadaniu rozległém i zawikłaném, a odrazu wystąpiła na plan pierwszy, dla szerszego ogółu zaćmiła wszystkie niemal inne względy, roznamiętniła interesowa-

nych i nieinteresowanych, ostudziła zajęcie się pozostałemi stronami sprawy, a na ostatniém zebraniu ogólném zapanowała wyłącznie.

Delegacyą składali ludzie niezależni, zaliczający się do różnych profesyj (wśród których większość jednak stanowili rzemieślnicy), może też ona być w tym wypadku uważaną za przedstawicielkę jeżeli nie całego inteligentnego ogółu, to przynajmniéj bardzo przeważnego jego odłamu; pierwsze zaś jéj słowo, wypowiedziane bez żadnego nacisku, przed mącącemi sprawę sporami, jedynie na podstawie ocenienia potrzeb i sytuacyi, wzięte być powinno na wyraz dążeń społeczeństwa; a słowo to brzmi odnośnie do kwestyi żydowskiéj tak: „Wszyscy oddani pracy rzemieślnicy bez *różnicy płci* i *wyznania* należéć *muszą* do zgromadzeń rzemieślniczych, jako uczniowie, towarzysze, lub majstrowie“ (§ 132 pierwotnego projektu delegacyi rzemieślniczéj). Na 107 odpowiedzi na kwestyonaryusz, rozesłany w téj sprawie, 69 oświadczyło się za przyjęciem żydów do cechów, bez wszelkich zastrzeżeń, 20 bezwarunkowo jest przeciwnych temu, reszta pozwala, ale z pewnemi ograniczeniami. Takie było zdanie i pragnienie opinii, dopóki ta pozostawała w spokoju, dopóki nie przemawiał niedaleko sięgający wzrokiem egoizm indywidualny. Późniéj zaczęły się spory, waśnie nawet, posypały się protesty różnych zgromadzeń cechowych i pojedyńczych rzemieślników. Energia opozycyi skłoniła delegacyą do cofnięcia się z pierwotnego stanowiska i dla tego paragraf 146 projektu otrzymał dodatek, że w tych zgromadzeniach, w których dziesiątą część przynajmniéj członków stanowią chrześcianie, urzędy starszych, zarządy kas pomocy i wszelkie delegacye składać się mogą w połowie tylko z żydów, przyczém prezes i jego zastępca w urzędach rzemieślniczych, starszy i podstarszy w urzędach zgromadzeń, oraz przewodniczący i jego zastępca w sądach rzemieślniczych nie mogą być jednocześnie żydami. Na zgromadzeniu sekcyi Towarzystwa 15 głosujących oświadczyło się za wprowadzeniem ograniczeń praw żydów w cechach, 9—przeciw.

Przypatrzmy się teraz, jak się rzecz przedstawia sama w sobie. Pominięcie zupełne żydów w organizacyi rzemieślniczéj nie odpowiada dążeniom delegacyi, przeczy założeniu i z góry rujnuje cały gmach projektów. Należenie do zgromadzeń pociąga za sobą pewne zobowiązania, krępuje rzemieślnika, utrudnia konkurencyę z tym, który niczém krępowany nie jest. Pozbawienie żydów prawa do pracy wytworczéj nie leży chyba w planach najfanatyczniejszych nawet antysemitów. Zorganizowanie więc samych chrześcian w cechy byłoby nadaniem żydom przywileju, na którym stracili by inni majstrowie i całe społeczeństwo. Temi względami kierowała się delegacya, używając w ustawie słowa „*muszą*.“ Przytém nie byłoby

właściwém, mając na względzie potrzeby moralne stanu całego, wyłączać z pod dodatniego wpływu i kontroli żywioł, najwięcéj tego potrzebujący.

Z drugiéj jednak strony, bodaj czy natura cechów zniesie mieszaninę religijną, lub jeżeli ją zniesie, czy nie ulegnie tak stanowczym zmianom, że straci wszystkie te właściwości, które skłaniać mogą do użycia za podstawę organizacyi budowy o fundamentach i belkach, pruchniejących od starości. Na tę okoliczność zwrócił bardzo słusznie uwagę p. J. Jeleński. Moralna powaga cechów złączona jest z wystąpieniami na procesyach publicznych, z oddzielnemi ławkami w kościołach, z chorągwiami, z utrzymywaniem ołtarzów itd.; czy wejście żydów nie odbierze odrazu dodatnich stron cechom, zaczerpniętych z tradycyi, pozostawiając inne, które dałyby się daleko skuteczniéj załatwić po za istniejącemi dziś zgromadzeniami? Dwa odmienne żywioły spotkały by się w cechach na gruncie najmniéj przyjaznym do zgody i porozumienia. Udział w obrzędach religijnych, albo by ustać musiał zupełnie, co by drażniło pobożnych rzemieślników i oddało by *nowe* cechy w pogardę, albo trwały by daléj z ujmą materyalną nawet, znacznéj części uczestników, ponoszących jednakowe ciężary i ograniczenia. Zamiast wytwarzać spójnię, organizacya jątrzyła by daléj nieprzystające do siebie żywioły. Jestto *jedyny* poważny argument, użyty przez przeciwników pierwszego projektu delegacyi.

A więc, jeżeli się żydów wyłączy ze zgromadzeń cechowych, cel całego przedsięwzięcia będzie zupełnie chybiony; jeżeli się ich tam wprowadzi, również ani jedna część zadania wypełnioną nie zostanie. Dylemat nie łatwy do rozstrzygnięcia i prawdopodobnie dowodzący, że droga, która prowadzi do zaczarowanego koła, nie zawiedzie do celu, zamierzonego przez autorów projektu ustawy. Kilku członków sekcyi postanowiło prześliznąć się pomiędzy dwoma niepodobieństwami ścieżką ustępstw. Owocem takiego pojednawczego prądu był właśnie dodatek do projektu, którego treść wyżéj przytoczyliśmy. Uchwalono dopuścić żydów, ale ograniczyć ich prawa. Jeżeli chodziło o zyskanie ustępstw od dwu skrajnych partyj na posiedzeniu, o umożliwienie jakiejkolwiek uchwały, to manewr był bardzo zręczny; o ile zaś myśl ma przejść po za granicę debatów, to nie ma wartości istotnéj. Praktycznie żadnéj trudności nie usuwa, społecznie jest szkodliwą, przeczy najlepszym tradycyom naszym, moralnie odstręcza duszącą wonią praw wyjątkowych. Żydzi, wprowadzeni do cechów w ten lub inny sposób, z połową, lub z ćwiercią, a nawet z dziesiątą częścią praw, wywołają zupełnie ten sam skutek, jak gdyby tam weszli z ich pełnią. Ograniczenia więc

musiały mieć inny cel na widoku. Szło może o to, że żydzi wydają się żywiołem podejrzanym i budzą obawę, aby cechów nie używali za narzędzie wyzysku. Główną, a może nawet jedyną zasadą podobnych obaw jest wewnętrzna spoistość wśród wyznawców starego zakonu, nieprzyjazna wobec wszystkiego, co istnieje na zewnątrz nich. Zapominać jednak nienależy, że skupianie się, solidarność uciśnionych jest zawsze koniecznym i właściwym rezultatem ucisku. Skutek następuje tu nieodzownie po przyczynie, jak łoskot po uderzeniu. Prawa wyjątkowe są najbardziéj sprzyjającą atmosferą do wytworzenia odrębności; gdy ich podmuch ustanie, sama odrębność gaśnie jak płomień, niepodsycany powietrzem. Przed 60 laty wewnętrzna jednolitość żydów była o wiele większą niż dzisiaj, przejawiała się co dzień niemal w sposób brutalny; od tego czasu kilka pokoleń pracowało nad jéj zatarciem, usuwając przesądy i baryery prawne. Skutek okazał się taki, iż wiele dzieci Izraela odrywało się bądź zupełnie od chałatowéj masy, jednocząc się z narodem, bądź téż, co ważniejsza, stanowili pomost, łącznię pomiędzy dwoma częściami ludności, bliskiéj zamieszkaniem, a obcéj duchem sobie. Wytworzona wiekami solidarność, terroryzm religijnéj wyłączności, nie zaginął w ciągu lat kilkunastu, lecz osłabł znacznie, odhartował się. Kto choć pobieżnie zna dzieje żydów warszawskich, ten musiał fakt ten spostrzedz.

Usuwanie żydów od urzędów w cechach, ograniczanie prawa w zawiadywaniu kasą, jest podejrzéwaniem ich o jakieś szczególne skłonności do nadużyć, jest obelgą nieuzasadnioną. Niemyślę wcale rehabilitować opinii szachrajów-kupców, spekulantów-bankrutów; może nawet u nas w téj klasie jest ich więcéj, aniżeli wśród innych narodów; ale czy jednostki żydowskie, wyniesione bądź przez talent i bogactwo, bądź przez zaufanie współobywateli na wybitne i wpływowe stanowiska, dały powód do szczególnéj nieufności? Przypominają się tu nazwiska Eizenbauma, Mayzelsa, Rozena, Hirszfelda, Jakóba Natansona i tylu innych. We wszystkich niemal, powstających z ofiarności prywatnéj instytucyach znajdują się żydzi i żadna plama nie piętnuje ich działalności. W Banku Polskim i w akcyjnych instytucyach pracuje znaczna ilość urzędników semickiego pochodzenia, a tymczasem w długiéj niestety w ostatnich czasach litanii przeniewierców nie znajdujemy wcale niemal nazwisk żydowskich. Jeżeli zestawimy tę okoliczność z przysłowiową giętkością sumienia przekupniów i kantorzystów, to musimy dojść do przekonania, że zaszczytne stanowiska wcale nie wpływają źle na żydów i nie powinny być z tego powodu przed nimi zamykane.

Przez cały wiek bieżący, wszystkie bez wyjątku pokolenia dążyły do wciągnięcia żydów w ogólny ruch życia społecznego. Otwierano im coraz to więcéj drzwi, dopuszczano do coraz wyższych godności, od szeregów armii do warsztatów rękodzielniczych, od udziału w zabawach do krzeseł prawodawczych. Wszystkie niemal wyższe umysły i dzielniejsze serca nawoływały do sprawiedliwości i miłości względem żydów: Czacki, Mickiewicz, Lelewel, Kraszewski, Korzeniowski, Jeż, Orzeszkowa. Ostatni mąż stanu, którego kraj nasz wydał, ukoronował nareszcie wieloletnie dążenia społeczeństwa całego, darząc żydów pełnią praw obywatelskich, nie zostawiając najmniejszych nawet ograniczeń. Krok ten niepopularnego działacza zyskał wówczas gorący poklask całego ogółu. Takie tradycye stanowią spuściznę, której lekceważyć nie można. Szał, uprzedzenia, namiętności chwili nie powinny świętokradzką ręką burzyć pracy i stuletnich poświęceń ojców i dziadów. W co się w takim razie zamieni ciągłość społeczna, jednolitość pracy?—w szarpaninę bez celu i przyszłości. Doświadczenie wcale nie nakazuje nam zwracać z drogi, uspołecznianie żydów dało narodowi i pracowników i obywateli bez skazy, zmniejszając tém samém liczbę pijawek, pasorzytów, nieprzyjaciół. Opinia społeczeństwa—to nie uniesienie cząstki jednego pokolenia, to nie wrzaski roznamiętnionych krzykaczów, którzy za prawych jéj piastunów uchodzić by chcieli. Opinia narodu—to idea przewijająca się jak nić złota przez myśli i czyny pokoleń, którą z głowy i z serca snują mężowie wielcy, co umieli wzrok orli w daleką zapuścić przyszłość, co jak drogowskazy, jak słońca oświetlają gościniec życia. Idea taka nie wciąga nigdy w bagna nienawiści, lecz wiedzie na wyżyny miłości i braterstwa. Herezye, ogłaszane drukiem przez tego lub owego pozostaną bez wpływu, a głos Mickiewicza i Lelewela wyraźnie i porywająco przemawiać będzie do nas i do dzieci naszych. To też projektodawcy tacy, jak sekcya Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, jeżeli chcą uwzględnic wolę opinii, jeżeli chcą trafić w myśl i dążności ogółu całego, nie powinni przykładać ucha do pulsu w owładniętych chwilową gorączką kończynach, lecz wsłuchiwać się w rytm serca.

Wieki ubiegłe zostawiły w spadku naszemu stuleciu niechęci, pogardę, wstręt do żywiołu różnego rasą, religią, mową, obyczajami. Prawodawcze zmiany były fraszką wobec wielkości przewrotu duchowego, jaki musiał poprzedzić możność stłumienia tych wszystkich uczuć. Poddanie burzących egoistycznych popędów pod kierunek pojęcia o potrzebach społecznych, wobec konieczności wspólnego życia, stanowi doniosłą zdobycz; pozbycie się jéj byłoby cofnięciem naszego rozwoju duchowego o sto lat wstecz. Kto nie potrafi

zapamiętać, odczuć i uczcić wielkości doniosłéj w dziejach naszych chwili, kiedy szlachcic zapomniał wobec ogarniającéj wszystko miłości, o przesądach rodu i kasty, i przyciskał do ust trędowatą dlań dotąd twarz żyda, ten nie działa i nie mówi pod wpływem uczuć obywatelskich, lecz pchany jedynie namiętnością.

Z tych wszystkich racyj i pobudek, wstrzymując się od rozważania, czy cechy przydatne będą do zamiarów delegacyi rzemieślniczéj, czy nie, protestujemy przeciwko posługiwaniu się w tym razie jakiemikolwiek ograniczeniami i sądzimy, że wśród nas zbyt żywo odczuwany jest wstręt do praw wyjątkowych, aby głos podobny nie był wyrazem opinii większości.

Pomiędzy różnymi protestami, wystosowanymi z powodu musowego wprowadzania żydów do cechów, jeden odznacza się szczególną bezwzględnością. Wiadomość o nim podaje nr. 74 „Kurjera Warszawskiego.“ Podpisali go starsi zgromadzeń: rymarzy, nożowników, iglarzy i pilnikarzy, tokarzy, białoskórników, jubilerów, szewców, stelmachów, kowali, kapeluszników, rękawiczników, blacharzy, tapicerów oraz spora liczba majstrów. Ciekawą jest rzeczą, że ten właśnie najbardziéj antyżydowski memoryał najmniéj się kłopocze o obywatelską stronę kwestyi, najmniéj pamięta o warunkach i względach natury ogólniejszéj. Wyrażono tam zdziwienie, że w całéj sprawie nie miał przewagi głos rzemieślnika, którego nowa ustawa bezpośrednio dotyczy, lecz głos osób, nie mających nic wspólnego ze stanem rzemieślniczym. Omówiwszy ze swego stanowiska szkodliwość udziału żydów w cechach, memoryał zaprzecza delegacyi prawa wyrokowania o losie rękodzielników. Pominąwszy nawet ten fakt, że w delegacyi większość stanowili rzemieślnicy (jak to stwierdza „Kuryer Warszawski“), trudno wynaleść bardziéj wyłączny punkt widzenia. Było by pożądaném, aby kto wytłómaczył panom majstrom, że ani oni ani ich organizacye nie istnieją, ani tworzą się dla nich wyłącznie, że wewnętrzne sprawy ich stanu oddziaływają bezpośrednio na życie całego ogółu i dla tego muszą być kontrolowane. Wszystkie instytucye winny dążyć do jednego celu i strzedz się egoizmu stanowego; dla tego ma za sobą niejakie racye zasada, iż regulująca siła nie powinna być ani wyłącznie rzemieślniczą, ani spoczywać tylko w ręku handlarzy, ani należéć do samych rolników. Udział żydów w cechach jest drobnym szczegółem doniosłéj i zawadzającéj o wszystko kwestyi, musi więc być zastosowany do całości; rzemieślnicy, mając przedewszystkiém na widoku swoje fachowe cele, nie zdołali by prawdopodobnie objąć okiem całéj sprawy. Gdyby delegacya nie miała w swém łonie ani jednego przedstawiciela stanu rękodzielniczego i oparła swe wnioski jedynie na po-

znaniu sprawy organizacyi rzemiósł w ogóle i zbadaniu warunków miejscowych, gdyby tylko wysłuchała dokładnie zdań, żądań i dążności wśród klasy rzemieślniczej, to i wtedy przysługiwałoby jéj najzupełniéj prawo wzięcia inicyatywy w téj sprawie, témbardziéj, iż trudno odgadnąć, ktoby ją w tém mógł zastąpić. Żałować można, że prawa są ograniczone, ale nie należy zapominać o tém. Nawet w zapale agitatorskim, pewnych argumentów się nie używa. Mylą się pp. starsi cechów, dowodząc, że członkowie delegacyi nie mają nic wspólnego z rzemieślnikami.

W początkach zeszłego miesiąca zemknął z Warszawy Władysław Kiersz, nakradłszy, sprzeniewierzywszy się, wyłudziwszy sumę pieniędzy, przenoszącą 100,000 rs. Wspominamy o tym fakcie, bez zamiaru wyklinania winnego, oburzania się lub opowiadania szczegółów. Tak przykry jednak wypadek stał się powodem zjawiska bardzo dodatniego i pocieszającego. Kiersz podpisywał się jako redaktor i wydawca na piśmie postępowém, krewkiéj natury, które niejednego uszczypnęło i dla wielu było solą w oku. Gdyby podobna gratka zdarzyła się kilkanaście lub kilka nawet lat temu, w epoce, kiedy zbrodnie przypisywano czytaniu dzieł Darwina i wydawnictw „Przeglądu Tygodniowego“, kiedy postępowcom wyrzucano, że „nie szanują nic, nawet kotletów smażonych przez rodzonego ojca“, chór dzienników i tygodników wydałby okrzyk radości i pociągnął do spółwiny najdotkliwiéj skrzywdzonych spółpracowników, a grzeszących jedynie niczém niepohamowaną chęcią wypowiadania się. Słyszelibyśmy wykłady, jak to pewien kierunek prowadzi do złodziejstwa i t. d. Teraz wszystkie pisma, z ledwie dostrzegalnym wyjątkiem, postąpiły z godnym uznania taktem i delikatnością. Jeżeli przykład zapamiętany zostanie, to z pewnością staniemy się o wiele pożyteczniejsi dla społeczeństwa.

Księgarnia krajowa Konrada Prószyńskiego wypuściła w tych dniach nowe wydanie książeczki (zatwierdzonéj przez ministeryum oświaty dla szkół początkowych) p. t. „Obrazowa nauka czytania i pisania do użytku szkolnego, domowego i dla samouków. Obmyślił, wypróbował i ułożył Kazimierz Promyk. Część pierwsza (do nauki zarazem czytania i pisania dla nic nieumiejących, a także do nauki samego pisania dla tych, co już czytać umieją).“ Nowe to wydanie różni się od dawnego większym i wyraźniejszym drukiem i lepszymi rysunkami; dodane są objaśnienia dla nauczycieli, jak również na końcu załączony jest zbiorek „czytanek“ dla wprawy. Szczególne, choć nie bardzo zaszczytne dla prasy naszéj, są dzieje téj książeczki. Wśród ubogiéj pedagogicznéj literatury naszéj stanowi ona zjawisko wybitne. Autor jest gruntownym znawcą rzeczy,

utalentowanym i oddanym nauczaniu pracownikiem; w książeczkach tych, zaczepiając o tradycye Komisyi Edukacyjnéj (Wydawnictwo 1785 r.), uwzględnił postęp na tém polu dokonany u obcych i dołączył rezultaty własnych badań, spostrzeżeń i doświadczenia. Wydawnictwa, łamiące rutynę, ułatwiające trudność pierwszego wychowania, powinny były zwrócić uwagę informatorów ogółu i uledz dokładnéj ocenie, tymczasem usiłowania autora i wydawcy prawie zupełnie, prócz dwu wyjątkowych wypadków, zostały przez prasę przemilczane. Natomiast ogół przyjął pracę Promyka gorąco, z uznaniem, i edycya pierwsza została wyczerpaną. Mamy przecie już fachowych nauczycieli, powinniby oni zwrócić uwagę nad „Obrazową naukę"; jesteśmy pewni, że „Przegląd Pedagogiczny" nie zaniedba zamieścić wyczerpującego jéj rozbioru i oceny.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiém dał sprawozdanie ze swéj działalności za rok ubiegły. W instytucyi téj, jak wiadomo ześrodkowuje się znaczna część estetycznych przejawów życia naszego.

Towarzystwo w 1886 r. liczyło członków rzeczywistych i zwyczajnych, którzy wnieśli należną składkę, 4569 osób, o 292 więcéj niż w 1885. Wystawę zwiedziło za biletami 111397, t. j. o 52319 osób więcéj niż w roku poprzednim.

Dochód Towarzystwa dosięgnął sumy rs. 42254 kop. 11, przewyższając o rs. 6873 kop. 81 dochód roku 1885.

Na wystawę Towarzystwa przyjęto 378 dzieł sztuki; nadto urządzone były czasowo wystawy: sztuki ornamentacyjnéj i reprodukcyjnéj i doroczna konkursowa w dziełach malarstwa i rzeźby. Wystawienie obrazu Munkaczego „Chrystus przed Piłatem" przyniosło Towarzystwu 938 rs. kop. 28 zysku, wystawienie zaś „Joanny d'Arc" Matejki — 1601 rs. kop. 81.

Do rozlosowania między członków nabył komitet z wystawy 95 dzieł sztuki za sumę 13166 rs., o 11 dzieł za 2176 rs. więcéj niż w roku 1885.

Sprzedano z wystawy osobom prywatnym 58 dzieł za 6503 rs. Oprócz tego komitet zakupił do zbiorów Towarzystwa 2 dzieła za rs. 115. Ogółem nabyto w Towarzystwie w ciągu roku 1886 dzieł sztuki 115 za rs. 19784.

Artystom w postaci nagród, stypendyów i zapomóg wypłacono 21494 rs. 83 kop.

Czyniąc zadość życzeniom artystów, komitet w ciągu roku ubiegłego postarał się o lepsze oświetlenie sali głównéj wystawy, zajął się uporządkowaniem biblioteki Tow., będącéj w zawiadywaniu profesora Gersona, członka komitetu, dla ułatwienia korzystania z tako-

wéj artystom i miłośnikom sztuki, tudzież zapewnił należyte oświetlenie sali rysunkowéj Tow. zostającéj w zawiadywaniu p. Łaszczyńskiego, członka komitetu.

O budowie własnego gmachu czytamy w sprawozdaniu: „Sprawa budowy własnego domu Towarzystwa była przedmiotem ciągłych starań i zabiegów komitetu, tém trudniejszych, iż gromadzony od lat pięciu na ten cel fundusz nie dosięgnął jeszcze cyfry dostatecznéj do nabycia odpowiedniéj posesyi w środkowych punktach miasta. Jednak dzięki poparciu władz miejscowych i życzliwemu usposobieniu dla Towarzystwa osób w odnośnych sferach, komitet ma nadzieję, iż niezadługo będzie się mógł podzielić z członkami Towarzystwa pożądaną wiadomością, iż tak gorąco upragniony przez wszystkich projekt przejdzie niezadługo w fazę urzeczywistnienia. I dlatego komitet usilnie prosi członków Towarzystwa o przyczynienie się, o ile możności, do funduszu budowlanego drogą ofiar dobrowolnych, które mogą być przysyłane wprost do kancelaryi Towarzystwa, lub składane na ręce p. Feliksa Gebethnera, kasyera Towarzystwa, w kwotach choćby najmniejszych. Obecnie fundusz ten wynosi rs. 38800, więcéj niż w roku 1885 o rs. 2000 i znajduje się w depozycie Towarzystwa Kredytowego m. Warszawy w listach zastawnych tegoż Towarzystwa.“

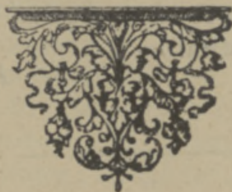
*Ludwik Straszewicz.*

# NEKROLOGIA.

† **Adam Chałupczyński**, urodzony w Piotrkowie 30 lipca 1822 r. po ukończeniu szkół tamże, oddał się aptekarstwu, ale po 7 latach, postanowiwszy uczyć się medycyny, udał się do Moskwy i tam roku 1849 otrzymał stopień lekarza. Wróciwszy do kraju, osiadł w Kozienicach, ale niebawem dostał się do twierdzy w Zamościu, gdzie przebył cztery lata. W r. 1857 zamieszkał w Działoszynie, r. 1859 objął obowiązki lekarza w szpitalu maciejowickim, w r. 1863 przeniósł się do Izbicy i tu oddał wiele usług obywatelskich. Od r. 1876 zajmował się praktyką lekarską we Włocławku, gdzie zasłynął jako człowiek niepospolitéj zacności charakteru. Zmarł 16 marca 1887 r. Najpierwszą jego pracą, drukowaną w Warszawie r. 1860, były „Pomysły do wiedzy dziejów życia świata“, gdzie kilka poglądów analogicznych z teoryą Darwina wygłosił. Potém napisał „Kilka słów

o pokątném leczeniu“ 1867, „O niektórych błędach w teoryi Darwina“ 1880, wreszcie „Gawędy ekonomiczne i społeczne“ 1886. Prócz tego był spółpracownikiem „Tygodnika lekarskiego“ oraz „Przyrody i Przemysłu.“

† **Jan Heurich,** urodzony 8 czerwcu 1834 w Warszawie, ukończywszy gimnazyum realne, wstąpił na oddział architektury w Szkole sztuk pięknych, gdzie się kształcił pod kierunkiem Henryka Marconiego. W r. 1856 ukończył szkołę i zwiedził zbiory sztuki za granicą. Następnie, złożywszy egzamin, zajął się praktyką budowlaną. Zmarł 24-go marca r. b. Ogłosił drukiem „Przewodnik dla stolarzy, obejmujący cały zakres stolarstwa“ (Warsz. 1862), „Przewodnik dla cieśli“ (Warsz. 1871), „Jak robotnicy nasi mieszkają a jak mieszkać powinni“ (Warsz. 1873). Był współpracownikiem *Przeglądu technicznego* i *Gazety rzemieślniczéj*. W ostatnich czasach redagował *Słownik techniczny*.



# POLEMIKA.

## Wyjaśnienie Ryszarda Puciaty.

W Kronice miesięcznéj w zeszycie lutowym „Ateneum“ poczyniono mi zarzuty, dla odparcia których przytoczę następne szczegóły życia mojego.

Od najmłodszych lat przyszedłem do przekonania, że poświęcić się powinienem zawodowi wychowawczemu, do którego przy zdolności uprzystępniania drugim wiedzy przez siebie nabytéj i przy łatwości pociągania ku sobie serc dziecięcych, czułem w sobie powołanie. Z czasem zamiłowanie moje utrwaliło się przeświadczeniem, że pracą nad przerobieniem młodych pokoleń przyłożyć mogę skromną cegiełkę do dzieła odrodzenia naszego.

Nie illustrując stosunków studentów petersburskich, wyraźnie zaznaczam, że wszystko, co o części tychże p. S. mówi, żadną miarą do mnie zastosowaném być nie może, ponieważ do wręcz przeciwnego obozu należałem.

Od trzeciéj klasy zacząwszy, miałem już uczniów, a zamiłowanie do nauczania znalazło mnie zawsze chętnym do udzielania, bezinteresownie nieraz, pomocy innym i urządzania dla kolegów przed egzaminami lekcyi zbiorowych z dziedziny nauk ścisłych. Ukończywszy gimnazyum w Warszawie zdobyłem już na tyle praktyki pedagogicznéj, że łatwo uzyskać mogłem posadę nauczycielską. I gdybym to uczynił lub kształcił się daléj po za granicami państwa, zapewne nie uczynionoby mi zarzutu, jakobym nieprzygotowany podjął się swego obowiązku. Uczyniłem inaczéj, a wobec braku u nas kursów wyższych specyalnie pedagogicznych, nic mi nie pozostało jak wstąpić do jednéj ze wszechnic ogólnych. Wybrałem tę, która wychowańcom swoim najwięcéj daje wiadomości praktycznych z nauk ścisłych i zaspakajała zamiłowanie moje do rzemiosł, mechaniki i fizyki, a dyplom z któréj nadaje prawa nauczycielskie na równi z dyplomem uniwersyteckim.

Marzyłem ja též o politechnice w kraju, gdzie mógłbym kiedyś zostać profesorem. Rzeczywiście, w czasie gdym Instytut ukończył, agitowano sprawę otworzenia u nas w kraju podobnego zakładu. A to było powodem, że zaczepiłem się chwilowo przy ówczesnym wielkiéj nauki dyrektorze Instytutu petersburskiego i z porady tegoż dyrektora uczęszczałem następnie do uniwersytetu, pracując jednocześnie w szkole p. G. jako nauczyciel i guwerner przez lat 2. Zajęcie wychowawcze zawsze uważałem za cel, a zajęcie inżynierskie jako środek do życia, o ile pierwsze chleba mi nie daje.

Około r. 1880 nadzieja otworzenia u nas politechniki upadła, powróciłem przeto do kraju z zamiarem otworzenia kursów przygotowawczych technicznych, a *zaproszony* przez ś. p. Łopuskiego, przyjąłem w szkole jego realno-techniczněj obowiązek nauczyciela mechaniki i fizyki, następnie zaś obowiązek zarządzającego zakładem. Pod koniec życia ś. p. Łopuski odstąpił mi zupełnie szkołę, którą pod własną firmą utrzymywałem, aż do czasu przejścia na posadę do Studzieńca i zwinąłem ją dopiero po objęciu téj posady, nie zaś przedtem; a nawet, przyjmując obowiązek w Studzieńcu żywiłem przekonanie, że nie będę zmuszony zwijać swego zakładu, dla którego tyle

ofiar poniosłem i że uda mi się uzyskać aprobatę władzy na urządzenie zastępstwa w zakładzie, lub przynajmniéj na odstąpienie go swojemu pomocnikowi.

Muszę tu wyjaśnić okoliczności, jakie skłoniły mię do przyjęcia posady w Studzieńcu, o którą się nie starałem przez jakiekolwiek wpływy, a którą przyjąłem po trzechmiesięczném wahaniu się i zupełném zbadaniu wszystkiego, co się tego zakładu tyczyło.

Program swój pedagogiczny wypowiedziałem jasno w dwóch aforyzmach pomieszczonych w jednodniówkach, wydanych na rzecz tutejszych powodzian, i na rzecz pogorzelców grodzieńskich. W myśl tegoż programu, święcie wypełnianego, nie tylko nie unikałem, i w czasie odpoczynku, obcowania z uczniami, ale nawet wakacye postanowiłem zużytkować w tym celu, ofiarując swe usługi dzieciom rodziców stale przebywających w Warszawie, a przez względną zamożność swoją tracących prawo do korzystania z kolonii letnich, urządzanych dla biednych. Dla tych uczniów założyłem własną kolonię i wyjechałem z nimi osobiście, przyjąwszy do pomocy nauczyciela gimnastyki i pływania. Z wycieczek takich obiecywałem sobie osiągnąć wielkie rezultaty wychowawcze, przekonawszy się dowodnie jak wielki one wpływ wywierają na jednostki potrzebujące szczególniéj pieczy wychowawcy — jednostki zbłąkane, które chętnie zawsze dla poprawy do siebie przyjmowałem i z miłością ku sobie przygarniałem.

Pracę w tym kierunku przerwały na wstępie skutki ciężkiéj kilkomiesięcznéj choroby mojej piersiowéj, wywołanéj według zdania innych nadmierną pracą, a w rzeczywistości przez zaziębienie się w czasie owych wycieczek wakacyjnych. Ta też choroba poddała mię na czas pewien pod wpływ przyjaciela lekarza, którego głos przeważać musiał w dalszych postanowieniach moich. Odzyskawszy dostateczne zdrowie do następnéj pracy, niemniéj jednak zalecane sobie miałem, abym zdecydował się na dłuższy pobyt na wsi,- co przy utrzymywaniu zakładu stanowczo uważałem za niepodobne. Rada téż owego przyjaciela lekarza przeważyła szalę wahania się mego czy przyjąć, czy nie przyjąć posadę w Studzieńcu, który pociągał mię całkowicie ku sobie swemi owieczkami zbłąkanemi, swemi warsztatami, a zwłaszcza potrzebą ujęcia go w karby, jakie tam podówczas rozluźniać się zaczęły. Nie przyjąłem tego obowiązku lekkomyślnie, ażeby zaś ocenić czy przyjąłem go bez należytego przygotowania i czy trzechmiesięczne obznajmianie się z przedmiotem przy jakiéj takiéj praktyce wychowawczéj i fachowém obznajmieniu w rzemiosłach tam uwzględnianych, mogło być wystarczające, należy zastanowić się przedewszystkiém nad tém, czém jest w saméj rzeczy owa osada Studzieniec, najrozmaiciéj przez nieświadomych istotnego stanu rzeczy pojmowana. Nie chcę zasłaniać się tém, że miejsce to według zdania prasy może zajmować i mniéj odpowiedni, ani też tém, że z pomiędzy wielu innych zostałem wybrany, sam zaś się nie nominowałem ani narzucałem.

Studzieniec w rzeczywistości jest skromnym zakładem wychowawczym dla wyjątkowo dostać się tam mogących, opuszczonych chłopców, których liczba dotąd ograniczaną była do 180 (nie przechodziła 170), a przez prawo ograniczona jest do 200. Ogół wstępujących do tego zakładu dzieci nie różni się wcale od ogółu chłopców naszych niższych warstw społecznych, z których się przeważnie kompletuje. Pochodziło to ztąd, że oprócz zakładu mokotowskiego, przeznaczonego dla bardzo małéj liczby zbyt młodych dzieci, nie posiadamy żadnego innego przytułku dla dzieci opuszczonych. To téż chociaż Studzieniec istnieje tylko dla nieletnich *przestępców*, dostają się jednak do niego tacy „przestępcy", których całą winą jest nieszczęście i opuszczenie, a którzy bardzo często lepszymi są w gruncie rzeczy od pozostałych na wolności. Zwykle gmina, często zaś opiekun i nawet sami rodzice, pierwsza dla pozbycia się ciężaru, jaki jéj sprawia dziecię opuszczone, drudzy w przeświadczeniu, że dzieciom lub wycho-

wańcom dobrodziejstwo wyrządzają, w braku u nas przytułków odpowiednich, uzyskują miejsce dla dziecka w Studzieńcu za cenę plamy, jaką mu na całe życie pozostawiają, oskarżając je przed sądem o drobną kradzież, dla uzyskania niezbędnego wyroku, bez którego do Studzieńca dostać się nie można. Zdarza się, że wyrok taki ferowany bywa za kradzież kilku jajek z pod kury, jednéj gęsi, lub paru bułek dla całéj partyi „małoletnich przestępców", ale uprawomacnia się tylko co do tych, za którymi nikt się nie upominał, a którzy często, jak wyroki i przebieg śledztwa sądowego wskazują, najmniéj z całéj partyi byli winnymi. Zwykle wyroki naznaczają w razie nie przyjęcia do Studzieńca, bo zmusić do tego nie można, karę kilkotygodniowego więzienia w oddziale dla małoletnich, ale bardzo często zdarzają się i takie wyroki, które wyraźnie zastrzegają, *że w razie nieprzyjęcia w Studzieńcu, dziecko oddane ma być rodzicom lub opiekunom na wychowanie.* Jeżeli więc nie pierwszych to przynajmniéj drugich wina jest więcéj niż problematyczną; nie przeszkadza to jednak nazywać te nieszczęśliwe dzieci nawet po opuszczeniu Studzieńca „kryminalistami", jak to niedawno wygłosił publicznie jeden z obrońców prywatnych dla osłabienia świadectwa takiego byłego wychowańca studzienieckiego.

Przełożony podobnego zakładu, albo będzie suchym urzędnikiem i na takiego nadaje się każdy zdolny do kierowania innym zakładem wychowawczym; albo téż wnikając w ducha inicyatywy podobnych ludzi, jak ks. Bosko, lub nasz ś. p. Wieczorkowski, obowiązek swój pojmie, jako misyją do pewnego stopnia, a na takiego nikt pewnie nie ma gotowych ludzi, za którymi ręczyć może, że go nie zawiodą. Za krótko byłem w Studzieńcu, abym na tém miejscu miał mówić o swojej tam działalności, tómbardziéj, że rocznik za r. 1885 powinien był wyraźnie bez ogródki zaznaczyć, czy była ona dodatnią czy ujemną, nie mogę się jednak nie powołać na opinią o mnie zarządu Towarzystwa Osad Rolnych i przytułków rzemieślniczych, który nie raz oddawał mi sprawiedliwość, a pomimo tak przykrego zatargu, nie może mi uczynić tego co p. S. zarzutu i tylko oskarża mię o mniemane nieposłuszeństwo, chęć zmycia z siebie którego popchnęła mię pomimo woli na jedyną drogę, jaką mi od początku ferowano, a jakiéj przez tyle czasu wszelkiemi środkami uniknąć pragnąłem — na drogę sądową. A chociaż rok już upływa od czasu usunięcia mię ze Studzieńca sprawa moja z Towarzystwem wcale rozstrzyganą nie była z powodu excepcyi niekompetencyi sądów, wniesionéj przez Zarząd; nie mogłem téż ani nic wygrać, ani téż nic przegrać, skoro nic sądzoném nie było.

Usunięty niewinnie po odmówieniu mi tłómaczenia co do niesłusznie zarzuconego mi nieposłuszeństwa, wszelkiemi siłami starałem się sprawę swoję ujawnić przed społeczeństwem, od którego sądu oczekiwałem. A jakie temu stanęły przyczyny na przeszkodzie dość powiedzieć, że żądanie, aby prosta wzmianka „Kuryera Porannego" z dnia 28 Marca r. z., osłaniająca mię niby, była sprostowana w ten sposób, że nie sam dobrowolnie porzuciłem stanowisko, ale usunięty zostałem, spotkała tyle przeszkód, że dopiero 23 Lipca t. j. w cztery blizko miesiące *post factum* w N. 202 „Kuryera" była umieszczona i to nie w pierwotnéj, ale w następnéj zmienionéj redakcyi. „Artykuł nadesłany. Prostując pogłoskę „Kuryera" z dnia 28 Marca r. b. niniejszym oznajmiam, że dobrowolnie nie zrzekłem się dotąd obowiązku dyrektora Osady Studzieniec, lecz ustąpiłem na skutek wyraźnéj woli Zarządu Tow. Os. Rol. i Prz. Rz. i to do czasu wyjaśnienia zatargu; że pogłoski swéj sprostować „Kuryer" nie chciał przynajmniéj co do mojej osoby, pomimo natychmiastowego telegraficznego żądania mego; że następnie Zarząd wstrzymał ponowne sprostowanie moje, opóźniwszy go znacznie, i że nareście sprawa moja z Zarządem dotąd ukończoną nie została, a daj Boże, aby w sposób polubowny obecnie mogła być rozsądzoną."

Następnie robiłem wszystko, żeby zatarg swój polubownie zakończyć, poświęcając niejednokrotnie miłość własną na ofiarę; udawałem się do wielu z prośbą o pośrednictwo. A i w obecném nawet stadyum tych spraw, gdyby kto z osób poważnych zechciał podjąć się pośrednictwa, znajdzie mię zawsze gotowego puścić wszystko, co mię osobiście dotycze, w niepamięć, bylebym w sposób właściwy zrehabilitowany został, lub przynajmniéj byleby wyraźnie wyłuszczono, że nie mam innego zarzutu oprócz inkryminowanego nieposłuszeństwa, od którego wobec społeczeństwa oczyścić się w każdéj chwili gotów jestem i przyjąć sąd jego w pokorze. Stan jednak obecny nigdy wyjaśniony nie zostanie, dopóki z jednéj strony będzie nieświadomość i uprzedzenie, wykreślam złą wolę, a z drugiéj mocne przeświadczenie prawości, przez żadne poważne zarzuty nie osłabione. Opinia ogółu jest decydującą, ale tylko opinia świadomych istotnego stanu rzeczy. W danym wypadku co najmniéj dziwna, że najbliższa okolica w tych samych sprawach krańcowo z przeciwną niż prasa Warszawska zamanifestowała się opinią.

W chwili oddania broszurki swéj do cenzury, spotkałem na ulicy p. Straszewicza i według swego zwyczaju otwarcie, jako jednemu z adeptów téj saméj prasy, która, jak się wyraziłem, „pozuje na kierowniczkę opinii" (rozumiałem tu przeważnie prasę brukową) czyniłem mu zarzuty, że podobnie jak inni pisze o rzeczach nieznanych, wydając o nich sąd absolutny; nie obiecywałem mu jednak dostarczać dowodów na poparcie jakiegoś oskarżenia, o jakiém mówi, bo upominałem się o krzywdy, jakie publicznie są wyrządzone nie tylko mnie ale i innym. A uchylanie się właśnie od roli oskarżyciela jest przyczyną, że tak długo napróżno oczekuję na wymiar sprawiedliwości, znosząc najprzykrzejsze zarzuty i obelgi prasy brukowéj.

Pisałem w Puszczy, w Marcu r. 1887. *Ryszard Puciata.*

---

# OGŁOSZENIE.



---

Wydawca **W. Spasowicz.** — Redaktor **Piotr Chmielowski.**

# NOWE KSIĄŻKI

## nadesłane do redakcyi „Ateneum“

*w ciągu m. Lutego i Marca 1887 r.*

---

1. **Nowe zakłady publiczne** (przytułki) dla biednych rodzących w Warszawie opisał *Dr. J. Rogowicz* Vice-prezes Towarz. lek. Warsz. (odbitka (z „Medycyny“). Warsz. 1886 (1885), 4-o, str. 36.
2. **Słownik rytowników polskich** tudzież obcych w Polsce osiadłych lub czasowo w niej pracujących, przez *Edwarda Rastawieckiego*. Wydany staraniem Towarzystwa przyjaciół nauk poznańskiego z funduszów ś. p. Norberta Bredkrajcza. Poznań, 1886. 8-o, str. III i 316.
3. **Zasady matematyczne muzyki** przez *Władysława Witkowskiego* inżeniera (z 3 tabl.). Warsz. nakł. autora. 1887, 8-o. str. VIII i 95 (cena rsr. 1).
4. **O budowie zwrotek w poezyi polskiej** do J. Kochanowskiego. Napisał *W. A. Bruchnalski*. Kraków, 1886, 8-o. str. 90.
5. **Jakób Leopardi**. Wybór pism wierszem i prozą, w przekładzie *Edwarda Porębowicza*. Warsz. nakł. S. Lewentala, 1887, 8-o, str. 205.
6. **Sprawozdanie** z czynności zarządu czytelni akademickiej w Krakowie za rok 1885/6. Kraków, 1886, 8-o str. 28.
7. **Poczet rodów** w wielkiem księstwie Litewskiém XV i XVI wieku ułożył i wydał *Adam Boniecki*. Warsz. 1887. 4-o. str. XV, 425 i XLIX.
8. *Antoni Zaleski*. **Z wycieczki na wschód**. Notatki dziennikarza. Warsz. nakł. Gebethnera i Wolffa, 1887, 8 o, str. 514.
9. **Illustracye polskie** z życia uniwersyteckiego w XVII i XVIII wieku napisał *Dr. A. Karbowiak* Kraków. 1887. 8 o. str. 19.
10. **Wykład Metody nauk realnych** w szkole ludowej dla użytku Seminaryjów nauczycielskich polskich skreślił *Prof. Dr. Władysław Seredyński* czł. nadzw. Akad. Umiej. w Krakowie.—Tarnów, 1887, nakł. Edwarda Menkesa, 8-o, str. XI i 167.
11. **Ustawy Banku Ziemskiego** w Poznaniu. Pozn. 1886. str. 11.
12. *Stanisław Gabryel Kozłowski*: **Albert Wójt Krakowski**. Tragedya w 10 obrazach wierszem, uwieńczona pierwszą nagrodą na konkursie im. W. Bogusławskiego. Warsz. 1887. 8-o, str. XCI+222.
13. **Rys oświaty** i funduszów edukacyjnych w Polsce. Napisał *Aleksander Bosakiewicz*. Kraków. 1886. 8-o, str. nlb. 6 + 101.
14. **Magnetyzm i hypnotyzm**. Dawniejsze i spółczesne w tym zakresie badania. oraz poddawanie myślą w stanie hypnotyzmu i na jawie. Przez *Kazimierza Sosnowskiego*. Warsz. 1887. 8-o. str. 74.
15. **Księgarnia Stanisława Giejsztora**. Dział antykwarski. 5. **Katalog dzieł dawnych i wyczerpanych**. Warsz. nakł. księgar. St. Giejsztora, 1887, 8-o, str. VII i 119 (od N-ru 9482 do 12168).
16. **Wiara i niewiara** w stosunku do szczęścia osobistego. Napisał *Ksiądz Z. Szczęsny*. Lwów, nakł. księgar. Gubrynowicza i Schmidta, 1886, 8-o. str. XV. i 360.
17. **Thanatos** czyli śmierć i życie pośmiertne u dawnych Greków. Studyum mitologiczno-archeologiczne. Napisał *Antoni Chudziński* naucz. gimnaz. w Brodnicy. Pr. Z.—Lwów, 1886, 8-o, str. 76.

---

# ATENEUM

## PISMO NAUKOWE I LITERACKIE

**wychodzi w roku 1887 jak dotychczas na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniéj 12 arkuszy druku zawierającemi.**

---

Działy, w których myśl przewodnia znajdować będzie swe wyjaśnienie i rozwinięcie są następne:

I. Artykuły wstępne dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłomaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnym uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w której bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie, w których zawrze się obraz ruchu naukowo-literackiego i artystycznego, objawiającego się w nowo wychodzących utworach.

## Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

**Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie** (tylko w Warszawie) **Rs. 3.**

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

**DO REDAKCYI ATENEUM. Włodzimierska, 16.**

---

Дозволено Цензурою, Варшава 12 Марта 1887 г.